

Ptakon

Witold Horwath


Ptakon

Jirafa Roja
Warszawa 2006

© Copyright by Witold Horwath, 2006

© Copyright by Jirafa Roja, 2006

Korekta: **Magdalena Rejnert**

Łamanie: **Tatsu** 

Zdjęcie na okładce: **Żaneta Delegacz**

Druk: **Drukarnia Naukowo-Techniczna Oddział PAP S.A.**

ISBN 83-89143-64-X



Wydanie II – zmienione
Warszawa 2006

*When the white fog burns off,
the abyss of everlasting light is revealed.*

Denise Levertov

Autobus stanął przy rzędzie płotów,
zasłaniających nieład podwórek, smętek domostw z pustaków,
jazgot kundli. Jak wielki kod kreskowy wyglądał cień
rzucany przez sztachety na piaszczyste pobocze
lub jak drabina leżąca pod stopami
starego człowieka,
który wysiadł z autobusu.
Naprzeciw,
po drugiej stronie spękanego asfaltu, był uskok, a w dole
dachy domów, domków, bloków, kościelna wieża i komin fabryczny;
taki widok miał po lewej ręce, po prawej zaś, gdy już skończyły się
ploty,
ścianę lasu. Niepewny drogi, zawahał się chwilę, nim skręcił
w przesiekę. Szedł, wdychając zapach nie nazwany imieniem
brzozy, sosny, paproci,
mchu, bo takich nazw nie mógł dać woniom mieszcuch.
Szedł, myśląc o narodzinach tych wszystkich roślin; od najwyższego
drzewa
po zapyziałą trawkę, każde wzrosło tam,
gdzie wiatr miał kaprys powierzyć ziemi jego zarodek,
więc olszyna, którą minął, tak samo powstała przypadkiem
jak on, Stefan Kozerski.

Żaneta

Psychiatrą został mniej więcej tak, jak człowiek, który wsiada do metra i sam nie wie, czemu wybiera akurat ostatni wagon; i rzeczywiście ta specjalność, myślał później często, jest takim na końcu wagonikiem, co odczepił się od lokomotywy postępu — w owych latach jeszcze się mówiło „lokomotywa postępu”, a także „wróg postępu” — i za cholere nie pozwolił się wywlec z tunelu na pożądaną, naukową jaśń;

i chociaż uczeni co i rusz tromtadracko obwieszczali triumf, on, stary praktyk, doskonale wiedział, że tak naprawdę od czasów Pinela i Kraepelina zmieniło się żałośnie niewiele, i w tym interesie dwudziestowieczne jest tylko instrumentarium: prąd elektryczny, chemia, ba! nawet komputery zapręgli do roboty,

lecz to właśnie czyni komiczny kontrast, kiedy owych urzędników używają znachorzy, szamani oraz zaklinacze chorób, tacy jak on, których dyplom lekarski, a co za tym idzie, wiedza przydać się mogą wyłącznie wtedy, gdy ten, w kim chorobę nazbyt usilnie się zamawia, nie wytrzyma i dostaje zapaści;

a choroba nadal siedzi w mroku, nie bardziej przejrzystym niż średniowieczny. Że tak się sprawy mają, podejrzewał już po dwóch latach praktyki, po dziesięciu był pewien, a dziś, po czterdziestu, nie nazywa nabranego przekonania rozczarowaniem ani dramatem,

jeśli już — to znużeniem. Bo w rzeczy samej nuży profesora Kozerskiego myśl, że choćbyś pękł, ludzie się nie zmienią, a niektórzy spośród nich — statystycznie od 1 do 3 procent populacji — to wariaci, i ci nie zmieniają się już z całą pewnością; można użyć całej magii, podać takiemu kilogramy narkotyków, na rok uspić atropiną, kopać prądem aż do wytrząśnięcia bebechów, można jeszcze bardzo wiele,

lecz i tak próżny trud, wariat dalej będzie wariatem, a lekarzowi, bo za to bierze pensję, pozostanie tylko pilnować, by nie zrobił sobie lub — co gorsza — innym jakiejś krzywdy; aha! i jeszcze, by ci inni nie skrzywdzili wariata.

Mówił to wszystkim swoim studentom, więc również

dziewczynie w wytartych dżinsach i niegdyś czarnej koszulce, na której napis „Columbia University” wiele prań temu kontrastował bielą, a dziś zlał się z tłem w prawie jednolitą barwę,

szarą jak nastrój jego słów i zmierzch za oknem gabinetu, gdzie dzieliło ich biurko, różnica wieku oraz pamięć poprzednich spotkań.

Była dość ładna. Nie, zdecydowanie ładna, skorygował z lekkim zaskoczeniem. Zwłaszcza oczy ma wysokiej próby, gdy z napięciem wpatruje się w tekturową teczkę, którą położył przed sobą. Wyciszona, raczej inteligentna twarz młodej kobiety, i pewnie trzeba było jego wiedzy, by dostrzec to, co przebijało się przez jej rysy jak palimpsest, coś plebejskiego, z gruntu wulgarnego; Anka patrzyła na teczkę, a Kozerski monotonnie mówił.

— Czy to wszystko ma mnie zniechęcić do psychiatrii? — spytała wreszcie, taktownie mieszcząc się w pauzie. — Pan profesor dobrze wie, że moja motywacja...

Był mniej taktowny; przerwał jej.

— Twoja... przepraszam, pani motywacja jest rzeczywiście szczególna. — Rozsupłał tasiemki teczek, otworzył,

maszynopis jak skóra człowieka, z którego zdarto ubranie i którego zaraz będą bili, w oczach Anki przedbłyski łąku, dobrze skrywane, lecz nie przed starym praktykiem. — Zadała sobie pani iście benedyktyński trud. To imponujące zgromadzić ponad sto, dokładnie dziewięćdziesiąt siedem, opisów przypadków, i to aż od czasów Rzymu po najnowszą kazuistykę kryminologiczną. Mówiąc nawiasem, w kilku tych sprawach występowałem jako biegły i nie do końca podzielałam pani punkt widzenia. Ci ludzie nie byli chorzy. Gdybym miał choć cień wątpliwości, zaręczam, zaznaczyłbym to w opinii.

Poruszyła się niespokojnie.

— Nie mam na myśli choroby psychicznej, tak jak rozumie to kodeks karny. W świetle prawa byli odpowiedzialni za swoje czyny i ponieśli ich konsekwencje.

— Mieli zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim postępowaniem — zacytował z artykułu,

dokładnie takim samym znużonym tonem, jakim mówił przed chwilą o bezużyteczności psychiatrii. — Jako lekarz musiałem to potwierdzić, a jak jest naprawdę — rozłożył ręce w ironicznie bezradnym geście — sam Pan Bóg raczy wiedzieć. Jeśli rzeczywiście czeka nas po śmierci sąd, to mam nadzieję, że powołuje bardziej kompetentnych biegłych. — Okręcił tasiemkę wokół palca i obserwował, jak jego czubek bezkruwicie blednie. — Ten zgromadzony przez panią materiał, a zwłaszcza komentarze są niesłychanie interesujące, przeczytałem jednym tchem jak powieść. Oczywiście rozumiem, że nie uważa pani tego za pracę naukową.

— Sam pan powiedział, że psychiatria nie jest nauką *sensu stricto* — zripostowała..

— Oczywiście. Jednak nie jest aż do tego stopnia magią, by dało się ją sprowadzić do jakiegoś jednego kamienia filozoficznego, jak to pani próbuje robić. Przeciwnie: im mniej wiemy, tym ostrożniej powinniśmy formułować hipotezy.

— Akurat klinika padaczki skroniowej jest dość dobrze opisana. Nie wyszłam w swoich rozważaniach poza to, co mówią klasyczni autorzy, Jackson, Gastaut, Janz...

Zachnął się.

— Ale zupełnie dowolnie rozpoznawała pani zespoły chorobowe. Skąd, na przykład, pomysł, że Neron miał osobowość naprzemienną? Badała go pani? Stwierdziła dezorientację albo niepamięć, wskazującą na zamroczenie jasne?

Przerwał; spięta czekała na dalszy atak.

— Albo ten seryjny zabójca z Krakowa. Badałem go osobiście i gwarantuję, że miał tylko jedną osobowość, całkowicie zdominowaną przez zbrodnicze popędy!

— I wyklucza pan, że przyczyna tych popędów była zlokalizowana w płacie skroniowym? Przecież w tamtych czasach dysponował pan tylko odłą czaszkową. Nie było tomografii ani rezonansu...

— Zgoda. Dziś możliwości wglądu w centralny układ nerwowy są znacznie większe. Lecz mimo to, w przypadku psychopatów, rzadko znajdujemy tam coś godnego uwagi.

Anka wyjęła z paczki ekstra mocnego, obraca w palcach, nie zapala, jej twarz rozmazuje się w szarości, powinien włączyć światło,

powinien, ale nie robi tego, bo im mniej światła, tym słabsza pamięć, a po co oboje mają pamiętać przy trzech długich, grubych jarzeniówkach z sufitu; w 1972 na kongresie w Pilźnie czeski psychiatra miał referat o wpływie oświetlenia szpitala na proces leczenia psychoz, hokus-pokus, abrakadabra, czterdzieści lat przyswajania sobie tajników magii; podsunął dziewczynie popielniczkę, podał ogień, sam zapalił.

— Oboje wiemy, dlaczego powstała ta praca. Czy po to poszła pani na medycynę, żeby przy pomocy naukowych pojęć zracjonalizować sobie sprawę Żanety?

Zaprzeczyła. Nie słowem, ale jakby każdą komórką ciała. Przez chwilę sądził, że powie coś o spłacaniu długu, co brzmia-

łoby jak banał i kicz, mimo że pewnie byłoby prawdą, ale właśnie prawda ma to do siebie, że bywa banalna i kiczowata; nieprzypadkowo ci, którzy uciekać chcą w oryginalność, prawie zawsze skazują się na zakłamanie.

Nie powiedziała nic, odczekał, dwa razy zaciągnął się papierosem, musiał mówić.

— Pani odpowiedzialność za życie Żanety to wyłącznie sprawa sumienia. Choćby nawet odkryto patogenезę takich zachowań...

— Poczuję się do odpowiedzialności — przerwała mu twardo, tonem, którego zwykło się używać przy składaniu przysięg. — Za jej życie, i za jej śmierć!

Choćbyś pękł, ludzie się nie zmieniają, a jeśli zmieni ich naturalny, biologiczny proces starzenia się, aż wreszcie — i jedynie skutecznie — rozkładu, na opuszczone miejsce przychodzą inni, niekoniecznie gorsi, jak głoszą katastrofiści, wystarczy, że dokładnie tacy sami;

i dlatego widziałem cię już, słyszałem, mógł powiedzieć dziewczynie, która miała na rękawach piżamy krew i siedziała na brzegu żelaznego szpitalnego łóżka,

bo znał ten sposób mówienia i uśmiech, co zdawały się odwiecznym depozytem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie; więc mógł jej powiedzieć — ale jakież miałyby to sens? nie za to mu płacą — że w słowach i mimice jesteście identyczne, choć upływają stulecia, i zmienia się wszystko, również język, a zatem nie nazywają już was murwami oraz wszetecznicami, i również prawo, a zatem nie siekają już was różgami u pręgierza i nie wypędzają za bramy miasta; ale na przekór tym i wszelkim zmianom, wy pozostajecie sobą, w jakiejś gatunkowej nieprzeobrażalności, podobnie jak wesz z łona wikinga niczym nie różni się od tych, których nabawiłaś się tam, w więzieniu dla młodocianych.

Mógł też dodać — ale milczał, milczał i patrzył na nią —

że ma oczy tej młodziutkiej Niemki, pielęgniarki z baraku dziecięcego w Majdanku, która wstrzykiwała mu podskórnie kwas borny; tarzał się z bólu po podłodze, a Fraülein uśmiechała się prawie identycznie jak ty, szesnastoletnia kanalio,

a potem dziesięciolecia praktyki w zawodzie i setki replik twoich i jej, więc widziałem cię już, znam każdą twoją myśl, i tak naprawdę nie przerażasz mnie, tylko do mdłości nudzisz — nie powiedział; gdy dziewczyna cicho poprosiła o papierosa, z ulgą podsunął zapalniczkę, bo dym aromatyzowanego carmena mógł przytłumić troszkę zapach nie mytego od tygodni ciała, czemu tani dezodorant nie do końca sprostał; tym tylko różniła się od Niemki, że tamta szorowała się dwa razy dziennie i nie śmierdziała.

— Nazywasz się?

— Tam pisze. — Ruchem głowy wskazała zawieszoną na poręczy łóżka kartę choroby.

— A imię? — spytał nie zrażony, jak mógłby określić ktoś, kto z boku przysłuchiwałby się ich rozmowę;

lecz laik pojęcia nie ma, czym jest wywiad psychiatryczny, i nie wie, że psychiatry z ponad trzydziestoletnim stażem zrazić nie sposób,

bo choćby pacjent pluł mu w twarz, gryzł, kopał, choćby indagowany, nasrał w odpowiedzi w łóżko, co się zdarza — tu zdarzyło się już wszystko, prawdziwy festiwal zachowań, bachanalia ludzkich możliwości — dla Kozerskiego to i tak tylko materiał, na podstawie którego udzieli sądowi odpowiedzi, czy winien jest człowiek, czy choroba,

i, dalibóg, myśli za każdym razem, siadając do pisania opinii, lepiej, by był to człowiek, gdyż człowieka można powiesić lub zamknąć do więzienia, a z chorobą nie wiadomo, co robić,

przynajmniej on, lekarz z profesorskim tytułem, tego nie wie.

Tym razem nie stawiała oporu; przeciwnie, z wyraźnym zadowoleniem powiedziała:

— Żanet.

— I tak mam się do ciebie zwracać? Z akcentem na drugiej sylabie?

Wzruszyła ramionami, miała wąskie ramiona i była wątła i krucha, jak robak, którego powinno się zdeptać.

— Pierdol się w ciasną! Możesz się zwracać, jak chcesz.

A potem zaciągnęła się głęboko i teatralnie wydmuchała dym.

— To na kiedy jestem wyznaczona?

— Wyznaczona?

— No, kiedy zrobicie mi ten zastrzyk? — Lekarz, który ją prowadził, zanotował w historii choroby, że osiã jej systemu urojeniowego jest lęk przed śmiertcionośnym zastrzykiem, raz miał to być morbital, środek do usypiania zwierząt, kiedy indziej — na hitlerowską modłę w serce wstrzyknięta benzyna; tego lekarza, młodego chłopaka, świeżo po studiach, nazywała doktorem Mengele.

Z pustej paczki po carmenach zrobił popielniczkę i podsunął jej; dotąd strzepywała popiół na pościel.

— Boisz się śmierci?

Roześmiała się sztucznie. Albo tylko zabrzmiało sztucznie; to także wspólne dla tych wszy, że z boku wygląda, jakby grały przedstawienie w złym guście.

— Ochujaleś, doktorek? Dziewczyna na linę się rzuca, a ten pyta, czy boi się śmierci!

Trafiła tu po udaremnionej próbie samobójczej, próbie S, jak mawia się we wspólnym żargonie psychiatrów oraz biegłych w symulacji kryminalistów. Nie był przy tym, ale miał zaufanie do kompetencji służb więziennych — wiedział, że bezbłędnie odróżnią historyczną demonstrację od prawdziwego samobójczego zamachu i z byle powodu nie oddadzą swojego klienta lekarzom.

— Sumienie?

Miał ją leczyć, nie nawracać, jej moralność interesowała go wyłącznie w medycznym aspekcie; to była pierwsza ich rozmowa, gdy został poproszony o konsultację, a Żaneta zaczęła mówić w miarę zbornie, bo do tej pory, jak napisano fachowo w karcie, mowa pacjentki stanowi mieszankę neologizmów i dziwactw słownych z wulgaryzmami oraz żargonem środowiska przestępczego. Gdy przyszedł, odwiązano ją od łóżka; rzemienne pasy głęboko odcisnęły się na nadgarstkach, ale krew na pizamie pochodziła nie od pasów, lecz stąd, że mimo ich zastosowania, ciągle wyrwała igłę kropłówki, a nawet potrafiła gryźć się po rękach;

spytał o sumienie, a ona powiedziała coś, co po zakończeniu badania postanowił zanotować.

— Nie zrozumiesz, doktorek, ale to jest tak, jakby mi ze skóry wyrastała trawa. Żdźbła przesyty.

Ona też to zapisała. Kilka tygodni wcześniej, jeszcze w więzieniu.

*Rosną ze skóry obce źdźbła przesyty
I śmierć na pewno jest na dnie przesyty
A one ciągle patrzą na mnie mówiąc
Że dziewczyna ma ręce tak sprawne jak chirurg*

Tak mówiły naprawdę o jej rękach, o precyzji dłoni dziewczyny, która zdawała się wydana na zer, bo chociaż skazano ją z budzącego tu szacunek artykułu „kto zabija człowieka”, poza tym była dla nich nikim, nowa, obca, co nie zetknęła się dotychczas z prawdziwym światem przestępczym, bo przecież Rafał, Sylwek i Bogdan, mimo że skrajnie zdemoralizowani i brutalni, byli chłopcami z dobrych, prominenckich domów; drobna, wręcz filigranowa,

całkiem inna niż te, co od pierwszej chwili taksowały ją wzrokiem: zmaskulinizowane, toporne lesby, którymi można tylko rządzić lub zostać ich do dna upodloną niewolnicą; wybrała władzę,

bezwzględna, absolutna, jaką jedynie inteligentny i silny sprawować może nad słabym i głupim; były na pograniczu matołectwa, a ona miała 140 w skali Wechslera, lecz, aby wykorzystać miążdżącą przewagę umysłu, musiała naprzód porazić stado strachem,

i zrobiła to drugiego dnia, kiedy obstały ją pod natryskiem; przesiąknięte smrodem gówna i środków dezynfekcyjnych nimfy sanitariatu,

które były tu tak u siebie, jak gdyby urodziły się gdzieś tam za kibelem: wynaturzone samice o sile fizycznej mężczyzny gapiły się rozdziawiając usta i uśmiechały do jej nagości, tak jak uśmiecha się niedorozwinięty pomocnik murarza, dla rozrywki wieszając kota.

Patrzyła w oczy tej, która podeszła najbliżej, a potem wyrzuciła do przodu ramię — i już nie miała w co patrzeć,

bo gdy ustało epileptyczne miotanie się ciała i kumpelki oderwały ręce leżące od twarzy, była tam sama krew, nic tylko krew,

szkarłatna przepaska ciuciubabki.

— Którą jeszcze zapisać do Związku Niewidomych? — spytała Żaneta; stado cofnęło się.

— Chirurgiem mogłabyś być — powiedziała z podziwem jedyna wśród nich ładna i zgrabna, dziwka, co zabiła Araba,

i odtąd we dwie tresowały stado, a naczelnik nigdy nie dowiedziała się, kto okaleczył tamtą dziewczynę; ona sama — ślepa na lewe oko i ledwie widząca prawym — szła w zaparte i zasłaniała się niepamięcią.

W niepohamowanym impulsive, jak gdyby nowa, nagła refleksja uczyniła bezużyteczne dotąd obszary mózgu, i ów impuls

właśnie z nich pochodził, wbrew regulaminowi oraz powadze miejsca, uśmiechnął się i zakreślił ołówkiem kilka zdań na 561 stronie; miał dwadzieścia lat, i w bibliotece Colegium Medicum siedział zgarbiony nad opasłym tomem *Psychiatrii klinicznej*; wzięty w kółko fragment poświęcony był rozszczepieniu osobowości, ale to, co za jego sprawą niespodziewanie, iluminacyjnie pojał, dotyczyło podręcznika od deski do deski, jego wszystkich dziewięciuset stron oraz milionów stron wszelkich innych tego rodzaju publikacji,

lecz — co najważniejsze — dotyczyło studenta Kozerskiego, i całej jego przyszłej pracy zawodowej.

Z czasem chory, nauczał czeladnika mistrz, zupełnie wyraźnie określa swoją nową osobowość, osnutą na urojeniach wielkościowych, twierdzi np., że mianowano go generałem. Na zarzuty, że nie posiada przecież ani potrzebnego wykształcenia, ani mianowania, ma gotowe odpowiedzi. Podaje mianowicie, że sam nie rozumie, dlaczego właśnie na niego padł wybór, a mianowanie ma mu być wręczone przy najbliższej sposobności.

Rzeczowy, nienaganny stylistycznie, klarowny, precyzyjny język profesora — śmieszył; a co za tym idzie, śmieszył opisany *mente captus*, choć przecież oczywiste, iż nie było zamiarem czcigodnego akademika naigrawać się z psychicznie chorych; wtedy, w kolosalnej, marnie ogrzanej sali bibliotecznej, poczuł jak gdyby dodatkową porcję chłodu;

nie ma ucieczki przed ironią, zrozumiał,

bo ona po prostu pierwotnie tkwi w języku, od grubych żartów, jakie cierpieć musi wiejski przyglup, po literacko wy-smakowaną drwinę z Don Kichota;

i dlatego autor podręcznika, choć nie chciał, był ironiczny, i każdy opis szaleństwa będzie ironiczny, albowiem podobnie jak fala morska kształtuje nadbrzeże, tak samo obłąd narzuca wypowiedzi na swój temat formę oraz ton, czyli właśnie wymusza ironię,

którą on, Stefan Kozerski, adept psychiatrii, przyjmuje i przejmuję jako niezbywalny element swego zawodu;

lata mijały, gdy wcale do tej refleksji nie wracał, po prostu palił fajkę, palił papierosy z leciutko ironiczną miną; refleksja wróciła sama, kiedy powtórnie badał Żanetę;

już nie w półwieźiennej izolatce, ale w gabinecie udostępnionym przez ordynatora; jak rozmawiać, pomyślał, o jej żdźbłach trawy bez ironii? Bez tonu pobłażliwej wyższości, gdy samemu należy się do tych, którym na skórze żadna trawa nie rośnie? Spytał, bo musiał spytać, sztuka tego wymagała, czy to wrażenie było przykre,

a wtedy dziewczyna roześmiała się.

— Przepraszam, panie profesorze, ale wy, psychiatrzy, to chyba robicie sobie z nas jaja.

Musiał uściślić, czy w grę wchodzi omam, czy tylko znalazła metaforyczne określenie dla stanu, który ją nawiedził, i to była oczywiście przenośnia, halucynacje pojawiły się później, w noc próby samobójczej, i nie odstępowały jeszcze długo w szpitalu,

gdzie szamocząc się w pasach, przeklinała tych, którzy ją przeklinali, odgrażała tym, którzy grozili; miała klasyczny, podręcznikowy rzut psychotyczny, o symulacji mowy być nie mogło, więc jeśli pytał o początek, to nie w celu przyłapania na oszustwie, lecz by poznać historię choroby — przed rzetelnym lekarzem stoi wszak taki wymóg.

— Chciałaś odebrać sobie życie, bo nie mogłaś wytrzymać dłużej tego stanu, czy tak?

Skinęła głową.

— Potrafisz opisać moment, kiedy pierwszy raz to poczułaś?

Nie od razu odpowiedziała.

— Musiałabym podać okoliczności, a nie wiem, czy powinnam... Pan orientuje się, że w Zet-Ka istnieje tak zwane drugie życie?

— Orientuję się — odrzekł sucho, trochę jakby krępował go fakt, że mają jakiś wspólny zakres wiedzy; nie krępował jednak, raczej doskwierał, niby ćmienie w zębie lub zgaga;

ta szesnastoletnia kryminalistka i jej świeatek oraz setki innych, którzy siadali przed nim, kurczowo ściskając w dłoniach swoje światy, niby małe globuski dla dzieci; byli przejrzyści w swym bełkocie, a jednocześnie zakuci w jakiś pancerz, od którego odbijały się wszelkie słowa i działania;

nie, nie czuł się katorżnikiem pchającym taczki bez nadziei, nie ta miara, bardziej właśnie pobolewający ząb, pieczenie w przetyku.

— Znęcałyśmy się nad taką jedną — powiedziała tonem najdalszym od konfesyjnego. — Czy mam mówić szczegółowo?

Wzruszył ramionami.

— To ty wiesz, co w tym zdarzeniu było ważne...

— Nic nie było ważne! — Podniosła nagle głos. — Takie rzeczy działy się tam codziennie, kilka razy dziennie, a potem w nocy, i znów w ciągu dnia! — Nie pytając wzięła z jego paczki carmena i obsłużyła się jego zapalniczką — Przesyt, rozumie pan teraz? Bo ile razy można hajcować się tym, że robisz z takiej szmaty? Że coraz bardziej ją upadłasz, aż do ostatecznych granic, za którymi nawet wyczerpuje się pomysłość, skoro już zmusiłyśmy ją do wszystkiego, pan powiedział, że mogę bez szczegółów, i wiem, że każdą jedną zmusimy, bo ja, Nataszka, plus kilka innych mamy tam większą władzę niż Hitler i Stalin!

Nagle, jak gdyby ktoś ją popchnął, osunęła się w głąb fotela.

— I wtedy, w ułamku sekundy, poczułam, że tym rygam, że już nawet moja skóra nie może tego znieść, i to było coś jak uczulenie, ale tysiąc razy gorsze, właśnie jakby żywcem wyrastała ze mnie trawa!

Odgarnęła grzywkę i Kozerski zobaczył jej oczy które wy-

rażały rozpacz i dziecięcą skargę; a zarazem były zimne jak kulki rtęci.

Rozmawiał z nią jeszcze kilka razy; była umyta, uczesana i niezmiennie grzecznie tytułowała go „panem profesorem”; wiedział, czemu to służy.

— Od pana profesora zależy, czy odbędę resztę kary...

Z zasądzonych ośmiu lat odsiedziała pięć miesięcy, więc trochę dziwacznie mówić o reszcie, ale to tylko taki jej skrót myślowy, w którym zawierała się nadzieja na amnestię, a także fachowa wiedza o wszystkich przepisach dotyczących skrócenia wyroku,

bo kryminaliści jak pacierz znają kodeks karny wykonawczy, i to jest ich talia znaczonych kart, którą z reguły ogrywiają prokuratora i sędziego penitencjarnego, a temu ostatniemu Żaneta już strzeliła bramkę,

gdyż w odpowiedzi na swoje urzędowe zapytanie, czy więzienny rygor może zaszkodzić cennemu zdrowiu skazanej, otrzyma równie urzędową odpowiedź twierdzącą, a pod nią będzie figurował podpis oraz pieczętka profesora nauk medycznych, Stefana Kozerskiego.

— Jesteś chora i nie możesz tam wracać — poinformował Żanetę, i wtedy napięcie zniknęło z jej twarzy, choć przecież od kilku tygodni wiedziała, że inaczej być nie może, a wąski margines niepokoju stąd tylko się brał, że szło o sprawę najwyższej dla niej wagi;

prywatnie był zdania, że takie jak ona powinny do końca życia siedzieć w więzieniu, i to w możliwie najcięższych warunkach, pamięć własnego losu bowiem nie tylko nie skłaniała go ku tolerancji, a przeciwnie, czyniła mu owe modne słówko humanistów czymś obmierzłym;

jedynie ten, kto widział przerastające wyobraźnię cierpienie niewinnych, rozumie, jak urągliwie kontrastuje z nim tolerancja dla drani;

lecz sąd nie pytał go o poglądy na winę i karę, ale o to, czy kryminalistka o pseudonimie Żaneta: a) naprawdę jest chora? b) czy w więzieniu może powtórzyć zamach samobójczy? Więc zgodnie z posiadaną wiedzą musiał dwa razy odpowiedzieć „tak”; inna sprawa, uśmiechnął się nad nie dopisanym do opinii *post scriptum*, że równie dobrze może powiesić się na wolności, oczywiście wcześniej wyrządzając mnóstwo krzywdy innym,

ale to nie będzie już wymiaru sprawiedliwości w najmniejszym stopniu obchodziło i obciążało, i na tym polega przecież cały dowcip oraz sens całej jego opinii, żeby żaden naczelnik, oddziaływy, wychowawca albo lekarz więzienny nie miał w związku z Żanetą kłopotów.

Orzeczono bezterminową przerwę w odbywaniu kary; w miejscu zamieszkania kuratelę nad Żanetą przejąłby rejonowy Zespół Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej oraz, ma się rozumieć, policja. Nie miał takiego obowiązku, ale uznał za właściwe przestrzec ją przed konsekwencjami uchylania się od comiesięcznych wizyt u lekarza i cotygodniowych w komisariacie; czyniąc straszak z siebie i psychiatrii, kreślił nieuchronną w takim wypadku perspektywę powrotu tutaj, do izolatki, pasów, podwyższonych dawek chloropromazyny — wzruszyła ramionami.

— To wszystko abstrakcja. Nie mogę jechać do domu.

Przywieziono mu ją do kliniki Akademii Medycznej; była 10.45, a o jedenastej zaczynał zajęcia ze studentami, którym chciał pokazać Żanetę. To miała być jedna z prób, jakim poddawał ich idealizm i szczeniacki zapał, rodzaj selekcji, podobnie jak na pierwszym roku prosektorium, bo niechże ci przyszli lekarze duszy mają, do cholery, świadomość,

że w odróżnieniu od chirurgów, internistów, okulistów i laryngologów, co i rusz będą się stykać z przypadkiem wzbudzającym moralny wstręt, silniejszy i stokroć bardziej uzasadniony od tego fizycznego, wywołanego widokiem krwi, ropy czy tkanki rakowej;

poprzedniemu rocznikowi zademonstrował parkinsoni-
ka, który napastował seksualnie dzieci; Żaneta ze swą by-
strością, urodą i rodzajem wdzięku mogła wyrzucić jeszcze
mocniejsze wrażenie.

Przedtem w gabinecie poczęstował ją herbatą.

— Dlaczego abstrakcja? Za kilka dni przyjedzie po cie-
bie matka...

Na chwilę przymknęła oczy; myślał, że chce się zacią-
gnąć, ale papieros minął jej twarz, i usta,

które przywarły nagle do nadgarstka, jakby składając na
nim pocałunek; potem strzepnęła popiół do stojącej między
nimi popielniczki, i na szkło biurka pocięła krew.

Był to jeden z tych nielicznych momentów, kiedy psy-
chiatrze potrzebna jest wiedza lekarska; nie stawiała opo-
ru, pozwoliła ucisnąć przedramię opaską; bezwolną, cicho
płaczącą, prowadził korytarzem do gabinetu zabiegowego,
w stronę dokładnie przeciwną niż sala, gdzie oczekiwali
studenci; chyba szkoda, że tego nie widzieli, przebiegło mu
przez myśl.

Za trzy dni miała być wypisana w tak zwanej niepełnej re-
misji, co po ludzku znaczy, że psychiatrzy zrobili, co mogli,
wariatka jest już tylko pół-wariatką i niech wraca do rodzi-
ny, bo szkoda dalszego zachodu, do końca i tak się jej nie wy-
leczy; lecz przegryzając żyły Żaneta odzyskała godność wa-
riatki całkowitej, a co za tym idzie, także przywilej przeby-
wania w domu wariatów; mało tego, zasłużyła sobie na po-
trójne dawki leków i honorową całodobową wartę personelu
u drzwi izolatki.

Taki reżym trwał miesiąc, po czym ordynator zatelefonował
do niego z ponowną prośbą, by skonsultował przypadek; ziry-
tował się, bo przecież od strony diagnostycznej nie mogli mieć
żadnych wątpliwości, i potrzebowali tylko jego podpisu; skaza-
na wyrokiem sądu pacjentka pozostawała, paradoksalnie, pod

szczególnością opieką prawa, więc też szczególne kłopoty miałby lekarz, gdyby z Żanetą, lub za jej sprawą, wydarzyło się coś złego; pożądaliby zatem jego autorytetu, by w razie czego móc się nim zasłonić — to nie my, to on, ten sławny profesor się pomylił!

Znów jej izolotka, przysunął krzesło do łóżka; odłożyła książkę i trochę się zdziwił, że czyta *Kwiatki świętego Franciszka*.

— Zrobiłaś to, żeby opóźnić powrót do domu?

— Bo nie mogę tam wrócić...

— Boisz się rodziny tego chłopca, którego zamordowaliście?

Zaprzeczyła ruchem głowy; po chwili wahania spokojnie, rzeczowo wyłuszczyła prawdziwy powód.

Służbowy samochód czekał na podjeździe, by zabrać go z powrotem do Akademii Medycznej, szatniarz guzdrał się podając mu palto; Kozerski w zawieszonym obok szatni lustrze widział swoją twarz, starą i zmęczoną, i irytował się, że starości i zmęczeniu przydano jeszcze nowy kłopot;

bo w tej chwili nie pozostawało nic innego, jak tylko zwrócić się do władz sądowych, żeby natychmiast wycofały postanowienie, jako że żadnej przerwy w odbywaniu kary być nie może, i ona musi, bezwzględnie musi, pozostać w zamknięciu oraz ścisłej izolacji, najlepiej na psychiatrycznym oddziale więziennym, tak, panie sędzio, mam świadomość, że takie oddziały są tylko dwa w kraju i dysponują łącznie trzydziestoma łóżkami dla najbardziej niebezpiecznych, chorych psychicznie przestępców, ale właśnie ta dziewczyna, zaręczam panu, należy do pierwszej trzydziestki; sędzia zażąda argumentów, więc uchylił się od bezpośredniej odpowiedzi, ponieważ nie wolno mu łamać tajemnicy lekarskiej i ujawniać zwierzeń chorych,

powoła się jednak na swe wieloletnie doświadczenie i poprosi, by nie lekceważono jego rady, tak samo jak apelowałby

do rozsądku pracownika zoo, gdyby ten chciał wypuścić na wolność jadowite węże i pająki;

do dzisiaj nie wie, czemu nie wysłał pisma ani nie porozmawiał z sędzią.

— Mogłabym pracować w jakimś przytułku albo domu starców jako salowa. Tylko za dach nad głową i jedzenie, bo forsa mi niepotrzebna.

Znał taki jeden, prowadzony przez siostry albertynki, więc tam załatwił jej pracę. Sędzia penitencjarny to zaakceptował, musiała jedynie okresowo meldować się na posterunku policji.

— Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił — powiedziała, gdy przyniósł jej te wieści. — Pewnie się już więcej nie zobaczymy.

Miała rację; kiedy dwa lata później pojechał do tych sióstr, dowiedział się, że umarła.

Ogród wydawał się znacznie większy, niż był w rzeczywistości, a to za sprawą wszechobecnego chruśniaku z labiryntem wąskich ścieżek, po których kluczył, kluczył, kluczył,

kierując się ku źródłu dźwięku; harmonijka ustna grała czysto i płynnie, więc nie rozumiał, skąd wplatają się nagle tony ewidentnie fałszywe, tak że nawet jego niemuzyczne ucho to wychwytywało; melodia momentami urywała się, zacinając, przechodziła w żalostną kocią muzykę;

a to próbował grać Słonik; wyciągał po instrument rękę, a dziewczyna, niby przeszyty strzałą krakowski hejnalista, przerywała w pół tonu,

by włożyć w błagalnie wysuniętą dłoń pudełko z dźwiękami, a on przykładał do ust, i starał się je wyssać jak sok z owocu,

zachłannie, łapczywie, głuchy całkiem na kakofonię; aż z przeciągłym cmoknięciem odklejał wargi od harmonijki, dziewczyna dyskretnie obcierała z niej ślinę,

i od urwanego przedtem dźwięku wracała ciągłość melodii, a to był wyraźnie jakiś motyw country, chyba *Take me Home, Country Road*; obserwował troje siedzących przy prymitywnym ogrodowym stole: śliniący się Słonik, pan Leon z rozłożonym albumem kart telefonicznych i Anka, którą wtedy poznał.

Pan Leon zauważył go pierwszy i pokazał swym długim palcem.

— Nie pokazuje się palcem — skarciła go dziewczyna.
— Nigdy tak nie rób, jeżeli chcesz być wytwarny.

A kiedy do nich podszedł, wstała i podając dłoń, cicho, ale bardzo wyraźnie przedstawiła się:

— Anna Bielczyk, jestem ich wychowawczynią.

Za ogrodzeniem był stromy stok, a w dole tory kolejowe.

— Poczekała, aż elektrowóz minie tamte drzewa, i zbiegła. Nie, to nie było samobójstwo, tam, gdzie zaczyna się żwir, chciała się odbić i przeskoczyć szyny. Zmierzyła przedtem stoperem swój czas, i czas pociągu:

szansa, że zdąży, była jedna na tysiąc, może na milion, ale jednak szansa.

Kozerski ostrożnym starczym krokiem schodził po stromiznie; i miał przed sobą włosy Anny rozwiewane przez wiatr: szła pierwsza, dyskretnie go asekurowając.

— To była jej decyzja czy twoja?

Zatrzymała się; stojąc metr niżej, podniosła wzrok, lecz nie miał pewności, czy patrzy na niego, czy w przestrzeń, zamkniętą masywem klasztoru.

— Między nami była zasadnicza różnica — powiedziała, wyciągając z kieszeni džinsów czarną frotkę i spinając włosy.
— Ja chcę robić coś pożytecznego, podnosić swoje kwalifikacje, a ona traktowała pobyt tutaj wyłącznie jako karę, pokutę; uprawiała to, co ja nazwałam moralną buchalterią, wie pan, bilansowanie złych i dobrych uczynków, ale ten bilans, niestety, nie chciał się wyzerować.

Podeszli do samych torów,
nad którymi absurdalny lot Żanety przeciął pociąg, obda-
rowując odpryskiem mocy i rozpędu

tak drobnym, jakby maszyna splunęła przed stalowe zde-
rzaki, co jednak człowiekowi starczyło aż nadto na jego małą
śmierć; odrzucona kilkanaście metrów, uderzyła w drzewo.

— Widzi pan, ta gałąź była grubsza od pana ramienia,
a złamała się jak patyk. — Anna wzrokiem wskazuje ułama-
ny u samego pnia kikot konaru.

A potem rzuca niedopałek w żwir między podkłady
i z chrzęstem zadeptuje butem.

Grób Żanety był na obrzeżu cmentarnym; nie istniał mur ani
żadne, choćby symboliczne, ogrodzenie, więc cmentarz jak
gdyby sam zakreślał swoje granice, nieregularne, antygeome-
tryczne,

niby rozlana ciecz, lub stado puszczone samopas,
najświeższymi grobami wnikając w las, wypełzając na
pobocze szosy, a cypel najdalej wysunięty stykał się z wysypi-
skiem śmieci — i tam właśnie była pochowana; pod krzyżem
ze związanych drutem gałęzi, tych samych, które ułamała
w śmiertelnym uderzeniu, i tabliczką tak byle jaką, iż zdążył
się już zatrzeć napis, i było można przeczytać jedynie,
że żyła siedemnaście lat.

— Staram się nie myśleć o niej. Choć to trudne.

Kozerski nie słuchał; przecierał okulary, co było zabie-
giem oddalającym niepokój,

przez ból, wysiłek oczu nie nawykłych do patrzenia bez
szkieł, widział dziewczynę, której włosy rozzłocił prześwieca-
jący wskroś liści, punktowo padający promień, a która w tę-
czówkach miała łagodny, niezabudkowy refleks nieba,

i nagle skojarzyła mu się z zapamiętanym z dzieciństwa
obrazkiem królowej Wandy, co nie chciała Niemca i utopiła
się w Wiśle.

— Kim ty... kim pani właściwie jest?

Patrzyła mu śmiało w oczy, wymawiając słowa cicho i wyraźnie, tak samo, jak wtedy, kiedy się przedstawiała.

— Powiedziałam już. Pracuję tu jako wychowawczyni. A poza tym studiuje medycynę. To znaczy, zacznę studiować od października.

— Medycynę?

— Tak. Pewnie nawet wybiorę psychiatrię.

Tupet w głosie, dzięki któremu panuje nad drżeniem, ale i on, choć wybrał swój zawód przed dziesiątkami lat, również musi podjąć wysiłek, by nad głosem zapanować i nie ujawnić poruszenia; okulary już przetarte, lecz pozostaje zawsze wierny papieros; wyciąga paczkę, częstuje Ankę.

— Czy to historia tej dziewczyny wpłynęła na pani postanowienie? — Opuszczonym wzrokiem pokazuje mogiłę, która ich przedziela,

i myśli, że gdyby wzniesiono tu kiedyś nagrobek i postawiono anioła, to on powinien mieć jej twarz; anioł nerwowo zaciągnął się dymem.

— Być może. Ale przede wszystkim myślę o moich podopiecznych. O Słoniku, panu Leonie. Ci naprawdę potrzebują lekarza, a Żaneta? Sądzi pan, że ona rzeczywiście była chora?

Ptakon

Skomlenie syreny, desperacka próba, by oślepić migającymi światłami, powstrzymać pościg, i trwoga napędzająca koła, i czerwony krzyż, który błogosławi ucieczce;

byli wewnątrz — w świetle i dźwięku, w szybkości i pod krzyżem — Anka i ten, kogo ścigano; oderwała wzrok od jego twarzy z wosku, przenosząc na tylną szybę, za którą w zwiężającej się za mikrobusem perspektywie ulicy

nie było nic oprócz ciemności; gnała za nimi niepowstrzymana, nie do zgubienia,

z czarnym rozziwem i oddechem cuchnącym prosekto-rium; a zjeżdżające na bok samochody nie karetkę przepuszczały, lecz pościg, by nie ściągnąć na siebie jakiegoś jego odprysku; skulone przy krawężniku pudełka pełne strachu

— zostaw nas! goń tych z czerwonym krzyżem!

Wreszcie szpital. Podjazd przed betonowym klockiem z zimnym jarzeniowym blaskiem w szybach; karetka stanęła i pościg także się zatrzymał, jakby przeistaczając się, tężejąc w chłodną wilgoć nocy,

w którą wysiadła, lecz której nie było dla człowieka na noszach, sprawnie wyciągniętych przez sanitariuszy; przytrzymała drzwi, gdy go wnosili do środka, i przez ułamek sekundy w rozwartych przeszklonych skrzydłach zobaczyła odbicia,

jakby to, co się działo, uległo zwielokrotnieniu, rozmnożyło się jak wirus.

Lekarka, pięćdziesięcioletnia, rudowłosa — tył jej głowy i chwilami profil widziała w karetce — oraz lekarz dyżurny, łysy, w okularach, zaspany; odepchnęła lekarzkę.

— Za późno na płukanie żołądka, musisz przetoczyć krew!

Nawet w tym pośpiechu, kiedy nosze już znikwały w drzwiach, za którymi z pacjentem i losem rozegra za chwilę partię kości, znalazł czas, by spojrzeć na młodą kobietę,

dziewczynę, która ze zmysłowym nieładem włosów i wrazem oczu bliskim ekstazy, lecz zarazem agresywnym i bezwzględny, nie powiedziała „panie doktorze”, ani nawet „proszę pana”, lecz — „ty”;

i znalazł także w tym pośpiechu, w tym młynie, czas na to, by skojarzyła mu się z dziwką, po miłości twardo domagającą się zapłaty. Chciał stosownie oschle odrzec, że sam najlepiej wie, co robić z takimi, którzy pomieszaali luminal z alkoholem, ale wepchnęła mu wszelką odpowiedź do gardła, chwytając gwałtownie za poły fartucha tuż pod szyją.

— Słuchaj, co do ciebie mówię! Jestem lekarzem!

Jej krzyk odbił się echem w holach i korytarzach i okularnik wykonał rodzaj przeproszającego gestu.

— Czy chce mi pani asystować?

Pokręciła głową;

podeszła do ławki, usiadła opierając się o ścianę, za którą ten nie budzący krzty zaufania szczur dostał wszystko, co miała, i teraz całe życie zależało od jego umiejętności i dobrej woli,

i od słów, które wypowie wychodząc z tych drzwi

za godzinę, dwie lub nad ranem, ale długość czekania nie jest ważna, i tak nie ma większej męki nad minutę, każda minuta to męka nieskończona, a nieskończoności się nie sumują.

Zapaliła papierosa, spojrzała w okno. Coś obudziło czarnego ptaka, gawrona, może kawkę; jakiś impuls, jakby transmitowany z jej mózgu, kazał mu trzy razy przedreptać z chrzęstem przez blaszany parapet. A potem Anka i ptak zastygli w bezruchu.

Czarny ptak był jak jeden z tych, które wypełniały wielki, człękoksztalny wór; na sztalugach rozstawionych przed pawilonem koedukacyjnym powstawał obraz prawie dwa metry na dwa, a więc to coś, co było człowiekiem, a jednocześnie zbiornikiem stłoczonego ptactwa, zachowywało naturalne ludzkie i ptasie rozmiary; siedziały w nim

od olbrzymich stóp po rozdętą przez nie jak balon głowę, ale zasadniczy rezerwuar znajdował się oczywiście w tułowiu, który rozepchnęły na całą szerokość obrazu tak, że boki postaci stykały się z krawędziami. Infantylny realizm pozwalał je wszystkie widzieć, niby w przekroju, lub raczej, jak gdyby powłoki tego kogoś były przezroczyste; łebki miały drobne,

za to dzioby przesadnie długie, ich ostre końcówki wystawały poza obrys sylwetki nosiciela.

— To jest Ptakon — objaśnił Karol, widząc, że przysta-
nęła i przygląda się jego pracy. — Ojciec ptaków, czyli ich ko-
kon, w którym pomieszkuje tysiąc trzysta piskląt wronich,
siedemset czternaście gawronich i milion kawczych!

— Aż milion? — spytała, ale pacjent przeszedł do po-
rządku nad dysproporcją; końcem pędzla pokazał głowę.

— A tu uległy się kruki, które są najmędrsze. I one, pani
doktor, pierwsze wyfruną. A dopiero za nimi reszta, cała chma-
ra, czarna chmura, wielki, wielki łopot!

Karol miał 63 lata, chroniczną schizofrenię i mieszkał tu
na stałe. W ciepłe dni, jak dzisiaj, wolno mu było opuszczać
pawilon i spacerować po szpitalnym parku.

— Kojarzy się z prorokiem — powiedziała kiedyś Kozer-
skiemu; drugi, może trzeci miesiąc pracy tutaj, kiedy skończył

się remont oddziału i wrócili pacjenci; profesor często zostawał na jej dyżurach, gawędzili, pijąc niezliczone kawy; wiedziała, że obserwuje ją i sprawdza.

— Bo ma siwą brodę i używa języka Apokalipsy? Wiem, wiem, jest teraz moda na łączenie chorób psychicznych z geniuszem czy wręcz cechami paranormalnymi. Nawet Ania, lekarz psychiatra, nie potrafi się powstrzymać.

To musiało być w grudniu, wieczór, jej gabinet, dopiero co go sobie urządziła; na biurku kilka gałęzi świerku z gwiazdą betlejemską i posrebrzаныmi szyszkami.

— Po raz pierwszy powiedział mi pan po imieniu.

— Wszyscy psychiatry są po imieniu, też moda, implant z Ameryki — rzekł chłodno. — Na chrzcie dali mi Stefan, więc jeśli chcesz...

Chciała.

— Pani doktor — kontynuował Karol drewnianym, skandującym głosem, za sprawą choroby oraz leków był bowiem jak automat, i jak automat mówił. — W dniu sądnym Ptakon rozpęknie się, a one rozfruną się we cztery strony świata, na północ i południe — pędzlem zakreślił w powietrzu zamaszty krzyż — na wschód i zachód, do wszystkich krajów poszybują wydziobać grzesznikom oczy!

Kilku innych pacjentów z niepokojem słuchało proroctwa.

— Wydziobać — poprawiła, a potem delikatnie dotknęła kościstego ramienia pod szlafrokiem, i chciała upomnieć,

by nie mówił tak głośno; od spraw apokaliptycznych jest jej gabinet i jej dyżur, z którego może poświęcić Karolowi długie godziny; odsunął się z gniewem na twarzy.

— Muszę ostrzec mieszkańców ziemi! — Dłoń z pędzlem gestykulowała gwałtownie i farba pryskała na wiecheć brody. — Blisko, coraz bliżej, dzień sądu i kary! Biada tym, którzy obrazili Boga, albowiem oczy ich będą wydziobane!

Ptakon, odrażający w swej tysiącroczej ptasiej ciąży, roz-

rasał się, grożąc eksplozją. Anka sięgnęła po papierosa; zapach nastroju tym razem nie pozwoliła poprawić błędu językowego.

Wiedziała, że właśnie teraz, kilkanaście kilometrów od Ptakona, Karola, parku oraz pamiętających cara Mikołaja pawilonów szpitalnych, sprawowany jest rzeczywisty sąd, pierwszy dzień rozprawy przeciwko Zygmunтови Rafałowi Kulkowi,

w sali 214, bo razem z Jankiem weszła na drugie piętro, gdzie na dwuskrzydłowych krwawomahoniowych drzwiach zobaczyła wywieszkę, wokandę, jak mawia się w tym gmachu, i przeczytała dwa imiona, nazwisko oraz numer artykułu, z którego Janek za dwie godziny będzie go oskarżał; a potem szli we dwoje przez hol z marmurowymi kolumnami i korytarz,

po którym mogłyby jeździć samochody, socrealistyczny architekt nie poskąpił tu bowiem przestrzeni, rozmachu wzdłuż, wszerek, wzwyż granitom i piaskowcom, strzelistości oraz przepastności bryle, której wnętrze i fasada paraliżowały

zwykłych ludzi, na twardełach zaś jak Kulik czy Żaneta nie wywierały najmniejszego wrażenia. Anka nigdy nie powiedziała Jankowi, jak bardzo nie lubi tu przychodzić, więc tym bardziej nie mogła powiedzieć tego dziś,

skoro prosił, by zaczarowała salę 214, tym samym zakłębciem, które obracało na dobre wszystko

w ciągu ostatnich trzech lat, od kiedy ją poznał; Ankę, szczęśliwą gwiazdę. A teraz miał swoją pierwszą poważną sprawę, przy fleszach, kamerach, mikrofonach, w zamkniętej, wydzielonej części sądu, gdzie wpuszczano tylko za okazaniem specjalnych przepustek,

sprawdzanych przez byków w czarnych kominiarkach, z dłońmi czujnie opartymi na kolbach czterdziestek piątek; ich dowódca, komisarz Olędzki, pocałował Ankę w rękę, a wzrokiem przekazał, że nie ma mężczyzn zdolnych stawić

mu czoła w walce oraz kobiet, które oparłyby się jego hajdamackiemu urowi; Janka gestem starszego brata klepnął po ramieniu.

— Załatw, Jasiu, skurwiela!

Pili następnie we troje kawę w bufecie, piętro niżej; dyskretnie, by marsowy komisarz nie zauważył, dotknęła dłoni Janka, spiętego chłopca, który za półtorej godziny musi być mężczyzną,

więc ona magicznie wspomaga przemianę, podobnie jak trzy lata wcześniej uczyniła go mężczyzną po raz pierwszy i najważniejszy; załatw skurwiela, powtarza w myśli za Olędzikiem i próbuje opuszkami palców przekazać swoją własną siłę, a przede wszystkim bezwzględną solidarność, kochać Janka bowiem

to być z nim i za nim znaczy dla dziewczyny, która te zwroty od dziecka miała w swoim plebejskim leksykonie, lecz dopiero od niedawna rozumie ich głęboki, literalny sens.

Rozprawa zaczynała się o dziesiątej, kiedy rozmawiała z Karolem, a następnie szła do pacjentek w salach kobiecych; do Lewandowskiej, pomawiającej sześćdziesięcioletniego męża, inwalidę po wylewie, o romanse ze studentkami Szkoły Handlowej, gdzie był szatniarzem, i do kobiety w nieokreślonym wieku, małej jak lalka, od tygodnia przytroczonej do łóżka pasami, żeby nie tłukła o ścianę dziwną, podobną do piłki główką,

i do staruszki mówiącej tylko trzy słowa: oddaj moje pieniądze; na wydechu, ochryple i świszcząco, jak gdyby w ślad za mózgiem popsukała się również głośnia. Szła do nich po śliskim, dopiero co szmatą przetartym linoleum, mijając sylwetki sztywne, ospałe, nieodmiennie z papierosem,

i było tak, jakby tę nasączoną szmatę trzymała przy samej twarzy, wdychając smród środka odkażającego, a prócz tego cuchnęły przepocone pizamy, wiecznie nie domknięte

kible, a najwięcej sama choroba, gdyż jej, nieokreślonego, zastarzałego zapachu nie sposób wywietrzyć z korytarzy i sal; szła przez swój szpital, który

gdyby nie poznała Janka, byłby jej jedynym domem, tak jak przedtem przez siedem lat przytułek sióstr albertynek; w tym czasie Jan Milewski przed wypełnioną dziennikarzami salą 214 oskarżał Kulika o morderstwo.

Dowodowo zadanie miał proste; facet, który razem z Kuli-kiem wtargnął do domu ofiary, wspólnie z nim wiązał, knebłował, torturami wymuszał ujawnienie szyfru do sejfu, te-raz — zamiast na ławie oskarżonych — usiadł na miejscu dla świadków i w charakterze tak zwanego skruszonego uła-twiał postępowanie. Milewski przejrzał jego grę: Filipiakowi, bo tak się nazywał otyły, ospowaty, na pozór typ robotnicze-go domatora, nie chodziło wyłącznie o wymiganie się od ka-ry. Celem był sam Kulik, którego należało pograżyć, uniesz-kodliwić rękami wymiaru sprawiedliwości, by — dziki i po-rywczy — nigdy więcej nie zagrażał innym, zrównoważonym i racjonalnie działającym gangsterom. Chcieli w spokoju ro-bić swoje, bezpieczni od kaprysów nieobliczalnego watażki, którego nieprzypadkowo przewalali Ruletka.

— W restauracji na dansingu wyciągnął pistolet i kazał się rozbierać dziewczynom, mojej żonie i kobiecie kumpla. A my mrugali do nich, żeby się nie sprzeciwiały, bo świr naprawdę może pozabijać.

Był jak Kaligula, Neron, Stalin, niewyczerpane źródło ter-roru, najdotkliwszego dla tych, co są najbliżej; aż wreszcie, mając dość ustawicznego poniżenia i strachu, wyrokiem kap-turowego sądu pozbywają się cezara, genseka, szefa. By strze-lić, nawet w plecy, zabrakło odwagi, więc posłużyli się dono-sem: zabójstwo jubilera obciążało jedynie dwóch z gangu,

z czego jeden, dziobaty Filipiak, wyraził skruchę i po-szedł na współpracę, przez co Kulik został sam naprzeciw

policji, sądu i opinii publicznej, domagającej się najwyższego wymiaru kary. Gdy pierwszy raz przywieźli go ze śledczego do prokuratury, Milewski zobaczył kogoś, kto żadną miarą nie odpowiadał wyobrażeniom o przywódcy gangu z prowincjonalnego miasta. Spodziewał się uosobienia prostackiej brutalności, o lombrozowskiej fizjonomii, pewnego siebie, przebiegłego chama i umięśnionego byka, a tymczasem wprowadzono szczupłego blondyna, dokładnie: blondynka, z twarzą licealisty, jednego z tych, których wygląd automatycznie przychodzi na myśl określenia typu: wrażliwy, delikatny, romantyczny. Kulik siedział przed jego biurkiem, z rękami skutymi do tyłu, a za oparciem krzesła, z dłonią na koltach, stało dwóch antyterrorystów.

Kazał mu skomentować zeznania Filipiaka. Były szczegółowe, spójne, a co ważniejsze, potwierdzone w głównych punktach przez ekspertyzy kryminalistyczne: to z broni Kulika, pistoletu Miami, oddano strzały i na rękawie jego dżinsowej bluzy były ślady prochu,

więc nie miał szans, by odwrócić ostrze, wmawiając, że strzelał ten drugi, toteż nawet nie próbował, wzruszył tylko ramionami.

— Strzelił pan do Menclewskiego dwukrotnie, najpierw w podbrzusze, potem w skroń. Za każdym razem z przystawienia, kiedy ręce i nogi miał skrępowane drutem.

Kulik potwierdził skinieniem głowy.

— Ile czasu upłynęło między jednym a drugim strzałem?

Właściwie nie musiał pytać, dysponował kasetą, na której zostało to zarejestrowane. Huk — szesnaście minut i dwadzieścia trzy sekundy tłumionego kneblem krzyku — huk — cisza. Kulik uśmiechnął się.

— Nie wiem, panie prokuratorze. Szczęśliwi czasu nie liczą.

Nagranie odtworzone na sali sądowej zszokowało publiczność (choć ci dziennikarze niejedno już widzieli i słyszeli), a nawet mecenasa Grotkiewicza, wytwornego pana, specjalizującego się w obronie gangsterów i aferzystów. Lecz mimo iż sam Grotkiewicz sposepniał, Milewski nie mógł, nie umiał uznać tego za sukces; przeciwnie, czuł niesmak, bo dla wygranej, jakkolwiek ważna byłaby stawka, posiłkował się prawdziwym ludzkim bólem, męką minut i sekund, które rzeczywiście wtedy upływały, a on dziś, teatralnie pokazując audytorium zegarek, każe liczyć; jednak kiedy nagranie się skończyło, przełamał się do tego stopnia, że naśladując oracje amerykańskich prokuratorów, powiedział:

— Oto wyjątkowy w praktyce sądowej przykład, gdy ofiara zbrodni może krzykiem cierpienia oskarżać swojego kata!

Na okoliczność kasety przesłuchał Filipiaka.

— Czy świadek widział, że oskarżony nagrywa?

— Oczywiście. Przylepcem przykleił mu do ust mikrofon i dopiero strzelił.

— Nie dziwiło świadka takie postępowanie?

— Mnie już nic nie dziwiło u Ruletki.

— Według świadka, to rzecz normalna nagrywać jęki człowieka postrzelonego w brzuch?

— Tego nie powiedziałem. Dla mnie bynajmniej nienormalna.

— A wiadomo świadkowi, w jakim celu oskarżony dokonał nagrania? Przecież, abstrahując już od oceny moralnej, kłóci się to ze zdrowym rozsądkiem.

Filipiak, którego czerstwa gęba uosabiała sam zdrowy, choć bandycko zabarwiony rozsądek, wzruszył wzgardliwie ramionami.

— To nie wie pan prokurator? Chodziło o dziewczyny.

Dom Menclewskiego opuścili około dwudziestej drugiej; ze zrabowaną biżuterią, złotem w sztabkach i ośmioma tysiącami

dolarów jechali laguną Kulika w kierunku Poznania. Za Koninem zobaczyli czekające na poboczu tirówki; dochodziła północ.

— Dla mnie to był bezsens. W samochodzie pełno blitu, znaczy się złota, no i po nas musiało być widać, co zrobiliśmy, a kurwy są dobrymi psychologami. Tłumaczyłem to Ruletce, i jeszcze, że goni nas czas, bo umówił się o trzeciej w Merkurym z Cyganem, co miał kupić złoto. Ale uparł się, że musi, więc już bałem się odzywać, powiedziałem tylko, że jedna wystarczy, bo ja kompletnie nie mam do tego melodii, i niech się bawi sam.

Kulik zaprosił dziewczynę do samochodu i odjechali kawałek, na postój dla ciężarówek, ale nawet jeśli ktoś tam parkował, nie mógł widzieć, co dzieje się w środku, bo laguna miała zaciemnione szyby. Filipiak siedział na miejscu kierowcy, oni z tyłu, i kiedy w aucie rozległy się krzyki jubilera, odwrócił się i zobaczył w dłoni Ruletki magnetofon. Najpierw puścił głośno, potem nałożył dziwce słuchawki; spytała, co to, a on powiedział prawdę, więc dostała hysterii, zerwała je z uszu, chciała wysiadać, ale zablokował drzwi.

— Złapał ją za szyję i za włosy, o w taki sposób. — Filipiak na kimś wyimaginowanym, poruszając w powietrzu ogromnymi łapskami, demonstruje, co zrobiły drobne dłonie Kulika. — I to, panie prokuraturze, był ułamek sekundy, nie zdążyłem się ruszyć, normalnie jak kotu skręcił jej kark!

Potem kazał współnikowi zjechać w las i tam wyrzucił ciało.

— Dlaczego pan chciał, żeby wysłuchała nagrania? Czy to pana podniecało seksualnie?

Kulik w skorupie milczenia, skrzywione ironicznie usta, lecz nie dla prokuratora ten uśmieszek, a dla sędziny, młodej protokolantki, dziennikarek, dla żony i córki zamordowanego;

także dla Anki, która choć na drugim końcu miasta, jest obecna w tej sali; w nim, i przy nim, za sprawą nierozdzielnej w czasie i przestrzeni więzi. Za to, kim jest dla niego, za zdolność obdarzania sobą, za bycie dziewczyną — grozi jej

uśmiech Kulika, irracjonalne zło, jak gdyby zawleczone tutaj z krwawych mitów i baśni. Gorgona, Hydra, Nosferatu siedzi na ławie oskarżonych, likantrop, inkub i wszystkie monstra wymyślane przez stulecia

na obraz i podobieństwo człowieka.

— Czy kiedykolwiek był pan z kimś związany uczuciowo?

Zygmunt Rafał Kulik nie odpowiedział.

A potem znowu zeznawał Filipiak i znów było o tej kasecie; zabójstwo prostytutki ze względu na właściwość miejscową należało do poznańskiej prokuratury, na co momentalnie zwrócił uwagę Grotkiewicz; odparł, że chodzi o wizerunek sprawy, i sąd podzielił jego poglądy.

— To, co zrobił Kulik, wzbudziło sprzeciw świadka, ale nie było zaskoczeniem. Czy to znaczy, że oskarżony już wcześniej ujawniał sadystyczne skłonności?

— Od kiedy go znam, panie prokuratorze. Taka prawda.

— A jak w takim razie wyglądały jego kontakty z otoczeniem? Miał kogoś bliskiego? Dziewczynę? Przyjaciela?

— A skąd. Wszyscy go się bali i jak mogli omijali z daleka. To tylko ja, głupi, dałem mu się namówić na ten skok, uwierzyłem, że chodzi o samą kradzież. — Filipiak wrzucił wyuczony na pamięć tekst skruszonego.

— Według świadka, oskarżony był przygotowany do makabrycznego nagrania, przyniósł przecież magnetofon. Rozumiem: pistolet, nóż, narzędzia do włamania...

— O tym nie pomyślałem. Tak, faktycznie, musiał to zaplanować.

— A może to było rutynowe działanie, może już wcześniej rejestrował swoje zbrodnie na taśmie?

— Wysoki Sądzie — wtrącił się Grotkiewicz — prokuratura miała dość czasu na postępowanie przygotowawcze i nie musi go kontynuować na tej sali!

— Interesuje mnie pełny psychologiczny wizerunek — powtórzył, i sędzina ponownie wzięła jego stronę.

Filipiak cierpliwie czekał. Jak wół, któremu pogawędka gospodarza przerwała orkę.

— Wiem na pewno, że nagrali, jak tłukli tego chłopaka. No, chodzi o tę sprawę dziesięć lat temu...

— Nagrali?

— On i ta jego współniczka. Pytał się pan prokurator, czy miał kogoś bliskiego, no to chyba właśnie ją. Tak myślę, bo często ją wspomina.

Milczący, bierny dotąd Kulik poderwał się z ławy oskarżonych.

— Jeszcze raz szczekniesz o Żanecie, to żadna ochrona ci nie pomoże...

Krzyk, pisk sędziny, próbującej przywołać go do porządku.

— ...żadna zmiana nazwiska, operacja plastyczna... Do-rwę cię wszędzie i pozazdrościsz jubilerowi lekkiej śmierci!

W prokuraturze poprosił, żeby wydobyli mu akta tamtej sprawy sprzed dziesięciu lat, dokładnie: sprzed jedenastu, bo Filipiak zaokrąglił. To mogło nie być takie proste, jako że inne województwo, a przede wszystkim — inne czasy; Kulik, Pietkiewicz i Koczbowski byli synami miejscowych notabli, więc na pewno dołożono starań, by teczka nie leżała na wierzchu; na licho ktoś miał kiedyś w niej szperać, dekadę później patrzeć na ręce sędziemu, który za wyjątkowo okrutne, brutalne morderstwo wymierzył kary odpowiadające dolnej granicy zagrożenia,

wobec głównego oskarżonego zaś, mimo rozbieżnych opinii biegłych psychiatrów, zastosował artykuł 25, paragraf 1,

przez co nie tylko zdjął winę i uwolnił od kary, ale zagwarantował nietykalność na przyszłość; jest jasne, że przed każdym kolejnym sądem, po każdej kolejnej zbrodni — obrona powoła się na, raz już przecież stwierdzoną, niepoczytalność Kulika.

— Podejrzewam, że przy zachowanej zdolności do rozpoznania znaczenia czynu mógł mieć do pewnego stopnia ograniczoną możliwość pokierowania swoim postępowaniem — powiedziała Anka po dosyć długim namyśle.

Miała na sobie sukienkę luźną i, jak dawniej się mówiło, zwiewną; cienką, przejrzystą przy najlżejszym podświetleniu, w której, a raczej pod którą, nie pozwoliłaby się nikomu innemu oglądać, więc niby szlafrok nosiła wyłącznie po domu,

szarobłękitną sukienkę, nabytą pod sam koniec obchodu paryskich soldów i bazarów, gdy bardzo stanowczo powiedział, że ona też musi sobie coś kupić.

Chodził długimi krokami po ich największym pokoju, od wyjścia na taras do stopni wiodących z sieni; gigantyczna szachownica ozdobnego parkietu, dąb, orzech, mahoń potężnych starych mebli pod pokrytym obłokami rozet niebem sufitu; to jest wielkie i przytłacza, myślała Anka, ale przytłacza tak, jak przyjazny ogrom świątyni, stwarzający poczucie bezpieczeństwa;

więc nawet teraz, gdy ten ład, ten czas dobiegał końca, z nawyku czuła się bezpieczna, leżąc zwinięta w kłębek na wybijanej rozmiarami i miękkością amerykance,

kiedy Janek starał się rozchodzić swoje wątpliwości. Zauważył, że ilekroć wypowiada się w zakresie swojej fachowej wiedzy, mówi wolno, cicho, i trochę tak, jak gdyby słowa należały do jakiejś liturgii.

Ożywił się. Powiedziała coś bardzo ważnego. Ograniczona możliwość nie znosi odpowiedzialności karnej.

Choć podczas studiów prawniczych wyłożono mu z grubsza, co to takiego poczytalność i niepoczytalność, w konkretnych

sprawach nadal miewał laickie zgoła wątpliwości: Jeśli chory, to czyż możliwe, że tak pragmatycznie postępował? Jeśli zaś zdrow, to jakim sposobem zdobył się na równie odrażający czyn?

Ale była Anka, która cicho, ze skupionym namysłem wymawiała słowa, jego ekspert

z oczami w kalejdoskopowo zmieniającej się barwie: błękit, granat, i nagle, nie wiedzieć skąd, jak w kolorystycznym kaprysie morskiej wody — zieleń; z oczami rozmarzonymi

na twarzy małej świętej albo czternastoletniej księżniczki z renesansowych konterfektów; jeszcze tylko rozpuścić jej włosy, zanurzyć palce w puszystym złocie, rozgarnąć, bawiąc się niewyczerpanymi możliwościami przekształceń, zbierać nad lewą brwią, nad prawą, owinać pukle wokół szyi, zasnuć kosmykami czoło, powieki, policzki,

aż włosy Anki rozsypią się rozgwiadzą na poduszce.

Była jego pierwszą dziewczyną? Chyba tak,

obraz tamtej, sprzed wielu lat zamglił się, a wspomnienie alkoholowej nocy, którą z nią spędził, straciło cechy realności, toteż nie wie na pewno — i nie potrafił odpowiedzieć Ance, gdy go spytała — co robili, zanim zasnął w ramionach dziewczyny, i się obudził a jej nie było już,

i nie było biżuterii matki w schowku, o którym w ogóle nie miał pojęcia, a który ona błyskawicznie wywęszyła w wielkim pięciopokojowym mieszkaniu jego rodziców. Miał wtedy osiemnaście lat, i bardziej od wściekłych połajanek zabolowało go końcowe pouczenie.

— Nie ma zasadniczo nic złego w kontaktach z kurwami, ale trzeba być ostrożnym — powiedział ojciec, czterdziestoletni znawca życia od podszewki, ze sprytną, obrzękniętą twarzą kombinatora i hulaki, złoty sygnet, rolex, drogi sportowy garnitur, setki tysięcy w banku, i matka setki razy zdradzona z dziwkami.

Boże, jak on nienawidził tego faceta,

dla którego było oczywiste, że panienka zawierająca znajomość na dyskotecie musi być kurwą, zresztą jego świat zaludniały wyłącznie kurwy,

a więc nie chcąc mieć z takim światem nic wspólnego, odsunął się, zostawiając te sprawy ojcu oraz kolegom,

ze szkoły, ze studiów, z których dosadnych opowieści wynikało, że wszystkie dziewczyny dają się podrywać na dyskotecie, czy wręcz na ulicy, i wszystkie zachowują się jak tamta, mówią jej językiem, a potem wsuwają go w usta,

a czasem okradają mieszkanie; stary cynik triumfował.

Więc Janek na studiach tylko uczył się i grał w siatkówkę.

— I rósł na seksualnego anachoretę — mówiła Mira, zła, że ją odrzucił, i jednocześnie zupełnie nieświadoma, iż wbiła gwóźdź do trumny; na jakiejś całonocnej balandze przykleiła się do niego spoconym ciałem, wylewającym się spod skąpego przyodziewku; tańczyli, a Mira cały czas ocierała się o niego, zdziwiona, że nie wywołuje tym pożądanej reakcji.

Nad ranem, w samochodzie, gdy ją odwoził, rozpięła mu suwak spodni; chciał odepchnąć nachylającą się głowę, ze sterzącymi, krwistymi włosami, straszliwe dzieło fryzjera, które do reszty ją odczłowieczyło,

lecz było tak, jakby nagle, z tyłu, za oparciem fotela usiadł ojciec; bądź, synku mężczyzną, niech ci zrobi dobrze, słyszysz, jak śmiesznie ciamka buzią? Głowa Miry poruszała się, i te włosy skakały jak płomyki świec na urodzinowym torcie.

— Przyjemnie było? — spytała,

w stylu kobiety wyzwolonej od przesądów, choć niczego bardziej w tej chwili nie pragnęła niż tego, by ją przytulił i by usłyszeć swoje imię wypowiedziane owym ekstatycznym, rozmarzonym tonem, w jaki wpadają faceci, gdy są już bliscy zakochania. Ale on potwierdził jedynie, że było okay, i to głównie z grzeczności, głupia, wątła frajda szybko wygasła,

ustępując miejsca wstrętowi. Nazajutrz wszyscy znajomi uważali ich za parę, a Mira tym bardziej; wstręt odpuścił dopiero, gdy w stanowczej rozmowie wybił jej to z głowy. I nadal tylko się uczył i grał w siatkówkę.

Nie zapalali światła, pozwalając, by pokój pograżał się w zmierzchu, tak jak gdyby oboje wiedzieli, że to, co ich łączy, musi otrzeć się o wieczność, gdyż podobnie jak w niej zanikły granice jednostkowych istnień, pękły monady, i trzeba łagodnie, w wyciszeniu opadać na dno ciemności.

Ze spowolnionym rytmem serca pod policzkiem Anki, z jej oddechem muskającym skórę, z wielozmysłowym doznaniem jej sennych, miękkich włosów, które rozrzucone odpoczywały na nim — zasnął. Jak długo spał? Nie było wtedy czasu, a kiedy się ocknął, wszystko w pokoju zagarniała czerń, i tylko jaśniejszą barwą szarzał prostokąt okna, a za nim, jak zakotwiczone w niebie żaglowce, kołysały się korony drzew.

Dzień rozpadł się na dwie nieprzystające części; przedpołudnie spędzone w sali sądowej wydawało się teraz nie do końca rzeczywiste.

— Wiesz, otrząsnąłem się — powiedział, nie będąc pewny, czy Anka nie śpi, ale dotykiem dłoni natychmiast mu odpowiedziała. Kontrast między sądem a ich domem miał coś z absurdu; poszukał słów, by to wyrazić. — Czy to przypadek, że oboje zajmujemy się najbardziej odpychającym marginesem życia? Przecież mógłbym specjalizować się w prawie autorskim, morskim, konstytucyjnym, każdym innym, byle nie karnym, a ty mogłaś być, na przykład, laryngologiem.

Milczała. Rozmawiali już kiedyś o tym, stąd wiedział, że nie potrafi uzasadnić swojego wyboru, i było dla niego jasne, że psychiatrą została, ponieważ zadziałał przykład i wzorzec osobowy profesora Kozerskiego, który był dla Anki guru i jednocześnie jak ktoś z rodziny, może wręcz ojciec. Czasem łapał się na irracjonalnej zazdrości o tego starego człowieka.

— Choć z drugiej strony, Aniu, o czym by oni rozmawiali, taki cywilista z panią laryngolog? No chyba żeby jemu zrobił się polip w nosie albo żeby ją pacjent skarżył o błąd w sztuce lekarskiej.

Przez ciemność czuł, że się uśmiechnęła.

— Jesteś taka delikatna, że chwilami miewam opory przed wprowadzaniem cię w szczegóły tych koszmarnych spraw. Ale przecież to właśnie ty pomagasz mi zrozumieć ludzi, którzy nagrywają takie kasety.

Odjęła policzek od jego piersi, zamyśliła się.

— Skłonności sadystyczne są prawdopodobnie wrodzone. Natura rozdaje karty, ktoś dostał takie, i nic nie poradzisz. Ale jest jeszcze wolna wola: tak, Janku, poza wyjątkowymi przypadkami, na przykład, charakteropatii albo umysłowego niedorozwoju, nie można mówić o determinizmie. Raczej — o pokusie. I najczęściej tacy ludzie ulegają jej, zamiast odrzucić swoje biologiczne karty, grają nimi, mało tego, szukają partnera, jak w brydżu, licytują wspólny kolor, swoje tragiczne atu, wchodzą na coraz wyższe obroty i coraz silniejszy ból muszą zadawać, coraz wymyślniejsze cierpienia, zwiększanie dawki jak w każdym nałogu, zresztą często wspomagają te doznania narkotykami albo ideologią — to może być fanatyzm polityczny, religijny, a czasem po prostu kult szatana.

Dawno nie słyszał Anki mówiącej z takim uniesieniem, to mu przypomniało początki ich znajomości, żar pierwszych dyskusji, on ateista, ona prawie zakonnica, uśmiechnął się.

— A jak, będąc osobą wierzącą, tłumaczysz to, że Bóg, którego prosi się w modlitwie, aby nie wodził na pokuszenie, wszczepia pewnym ludziom taką skłonność?

Nie od razu zorientował się, co oznacza nerwowy ruch ręki — szukała papierosów; pamiętał, że zapalniczka leży obok, na stoliku, sięgnął, natrafił, podał jej ogień.

— To nie Bóg odpowiada przed człowiekiem, ale człowiek przed Nim. I dla niektórych nie ma wybaczenia.

— A jeśli są rzeczywiście chorzy?

Nie odpowiedziała. Odsunęła się, skulona z papierosem, jest na drugim końcu amerykańki; widzi fragment profilu, rytmicznie podświetlany, gdy się zaciąga.

— Chyba znałam tę współpracowniczkę Kulika. Jestem prawie pewna, że to ta sama osoba.

— Zaneta?

— Tak. Używała takiego imienia, a może to był jej pseudonim, nie pamiętam. Przez pół roku pracowałyśmy razem tam u sióstr.

— To chyba jednak był ktoś inny. Tamta dostała ośmioletni wyrok.

— Zgadza się, Janku. Zwolnili ją ze względu na stan zdrowia. Miała psychozę. — Zgasiła papierosa i szybko sięgnęła po następnego; on też zapalił, co czynił bardzo rzadko, ale Anka była teraz u albertynek, dziesięć, dziewięć lat wstecz, więc wcale nie zwróciła na to uwagi. — Byłyśmy w jednym wieku, dwie siedemnastoletnie dziewczyny, które nie miały dokąd wracać.

— Przyjaźniłaś się z nią? — spytał zaskoczony tym jakimś osobistym, nieledwie intymnym tonem w jej głosie.

— Za dużo powiedziane. Ale przegadałyśmy wiele godzin. Przede wszystkim ona mówiła, zwierzała się... — Z rytmu słów wywnioskował, że pauza nastąpiła w ostatnim ułamku sekundy, jak wciśnięcie hamulca, i głęboki oddech chwilę potem był westchnieniem ulgi, że jednak nie doszło do katastrofy. — Tak właśnie, Janku, wyglądała moja pierwsza próba bycia psychiatrą.

— Wiesz, co się z nią dzieje?

— Nie żyje — odpowiedziała rzeczowo. — Popęłniła samobójstwo.

Z prokuratorskiego nawyku chciał spytać o okoliczności, ale Anka spojrzała w tym momencie na zegarek.

— Boże, już dziesiąta, a ty od przyjscia nic nie jadłeś!

Do Milewskiego dotarło, że o dziesiątej opowiedziała o Żanecie — co najmniej od czwartej wiedząc, jak bardzo go ta osoba interesuje. A zatem musiało być coś, co powodowało opór, jakiś fragment wspomnień, który zachowała i na zawsze pewnie zachowa dla siebie.

Poszła do kuchni, a on został po ciemku; poduszka pachniała chanelem, który był częstym prezentem od niego, chociaż wcale tego nie oczekiwała, jako że świat kosmetyków i strojów traktowała z niedbałym dystansem. Myślała o fenomenie jej przeszłości, zupełnie mu nie znanej, z której nagle, dla niego, się zjawiała

tajemnicza sierota od zakonnic, postać z bajki, więc wcześniej mogła być wszystkim — ptakiem, drzewem, albo źródelkiem leśnym,

a może kotem? Bo jak kot widzi w ciemności, gdy wróciła z tacą i sprawnie ustawia wszystko na wielkim stole. Chciał włączyć światło, ale powstrzymała go ruchem ręki,

i jakby przedłużeniem gestu zapaliła dwie pierwsze świece. Mieli siedem dubeltowych lichtarzy ze srebra; ubierał się,

gdy Anka, okrążając pokój, kolejno do nich podchodziła, z każdym płomieniem rozmnażając panopticum cieni na meblach i ścianach; także na jej sukience, którą omiótł i rozżarzył czerwony odblask, i było tak, jak gdyby cienką, pajęczą tkaninę zaczynał trawić ogień.

Dopinając koszulę, zbliżył się do stołu. Na wielkim inkrustowanym blacie stały na wpół wydobyte z ciemności dwa talerze frutti di mare; dwie kopuły uformowane z muszli i wieżyca butelki Côtes du Rhône.

— Czternaście świec — powiedziała Anka; zdziwił się oczywistością spostrzeżenia.

— Tak. W siedmiu lichtarzach po dwie.

— Jak siedmiu synów i siedem córek Niobe. — Podeszła do szerokiego lustra, które powtarzało cały pokój i cały nastrój.

— Próbuję wyobrazić sobie, co czuła, kiedy ten psychopata strzelał do jej dzieci, zabijał dla zabawy, a ona patrzyła, bezsilna, osłupiała... Wiesz, że psychiatrzy używają terminu „oczy Niobe”?

Prosto w oczy wpatrywała się swemu odbiciu.

Następnego dnia jak zwykle pojechali wpierw do prokuratury, punktu rozstania na długie godziny, kiedy pozostawał im tylko telefon; oboje mieli telefony komórkowe, luksus zdecydowanie ponad stan, lecz dla nich, którzy musieli być zawsze w kontakcie, wart każdych pieniędzy.

Pierwszy raz dzwoniła, dojeżdżając do szpitala, by uspokoić Janka, że przejazd kolejowy i największe skrzyżowania ma już za sobą; była lepszym kierowcą niż mąż, a mimo to do prokuratury on prowadził, i czuł niepokój, gdy przesiadała się na jego miejsce, bezbronna w cinquecento wobec pociągów i wielkich ciężarówek.

Potem, kiedy kończyła obchód, on zazwyczaj dzwonił, żeby opowiedzieć o nowinach z pracy albo spytać, jak się czuje — w maleńkich pudełkach firmy Nokia mieli swoje głosy, i prędzej zgodziliby się nie dojechać niż wyzbyć skarbu.

— Jutro na oddział sądowy przywiozą Kulika — powiedział Kozerski.

Sądówka, jak tu mawiano w skrócie, należała do całego wielkiego kompleksu Szpitala Centralnego: dziewięć starych pawilonów z ubiegłego stulecia, w tym ich, koedukacyjny, oraz ten jeden, wybudowany w latach pięćdziesiątych na obraz i podobieństwo więziennego gmachu i podlegający wtedy Ministerstwu Bezpieczeństwa. Dziś wszystko, oczywiście, jest pod jednym zarządem, ale w charakterze i sposobie funkcjonowania sądówki coś z tamtej niechlubnej odrębności przetrwało,

skoro nawet Kozerski, wicedyrektor zespołu, nie bardzo wie, co się tam dzieje, jedyny kontakt z pacjentami i leka-

rzami zza grubych murów mając wtedy, gdy jest powoływany w charakterze biegłego.

Zresztą taka tam płynność zatrudnienia, że trudno ich bliżej poznać; od przejścia na emeryturę sześć lat temu staro, rzecz można żelaznego, ordynatora było już czterech następców, i ten ostatni też ma dość

ustawicznych pogroźek od podsądnych oraz ich kumpli na wolności, a jeszcze przy marnej pensji; albo ten lekarz, który przed dziesięciu laty prowadził Żanetę, wtedy młody, pełen zapału — dawno odszedł;

i nie ma na sądówce nikogo, nawet ze średniego personelu, nawet wśród salowych, kto by pamiętał infernalną kochankę Kulika,

więc jako postać niczym, żadną zaszłością nie związana z tymi murami i kratami, zostanie jutro przywieziony Zygmunt Rafał Kulik.

Zwyczajowo po obchodzie rozmawiali w jej gabinecie. Anka wzruszyła ramionami.

— Ciekawe, co tym razem rozpoznają? Znowu cyklofrenię?

Jedenaście lat temu dwa zespoły biegłych zgodnie uznały Kulika za zdrowego psychicznie, a wtedy sąd powołał trzeci zespół, w osobach byłego majora policji politycznej oraz żony lokalnego dygnitarza, i to właśnie oni dopatrzyli się u oskarżonego cech psychozy maniakalno-depresyjnej.

— Mimo wszystko dziś już chyba taki numer nie przejdzie. — Kozerski ze sceptycyzmem w głosie zaakcentował „mimo wszystko” i „chyba”; uważnie przyjrzał się Ance. — Nie spałaś, tak?

Skinęła głową, a on nie odrywając wzroku od jej twarzy, sięgnął po gazetę.

— Chcesz przeczytać?

Litery rozmazywały się przed oczami, ale przebrnęła przez tekst; końcowy fragment zeznań Filipiaka, a co dziwniejsze,

także nagły wybuch oskarżonego uszły uwagi dziennikarzy, całkowicie zogniskowanej na kasecie i morderstwie prostytutki.

— Powinnaś z Jankiem porozmawiać. — Ujął jej dłoń i chwilę przetrzymał; jego palec jak gdyby zamyślił się nad obrączką, jedyną ozdobą małej dłoni bez biżuterii i lakieru na paznokciach; pogładził opuszkami obrączkę. — Musisz, rozumiesz?

Do Anki nagle doszło, że jest pięć po dwunastej, a Janek jeszcze nie telefonował.

Gdy rozległ się dzwonek, Mira pomyślała, że to sąsiad z dołu, jebany dziad, któremu, ilekroć brała prysznic dłużej niż kwadrans, „kapało po głowie”, jak skarżył się cytatem z fredrowskiego Pawła i Gawła; a ona przez zamknięte drzwi, widząc w wizjerze uprzykrzoną gębę, pytała, czy naprawdę nie ma większych problemów od tych kilku kropel, a skoro je wypatrzył, to znaczy, że cały czas przesiaduje w łazience, mieszka w tej swojej pierdolonej łazience; na co dziad, że w łazience to raczej pani mieszka, a po drugie wyprasza sobie, a po trzecie wstyd, żeby kobieta zachowywała się w ten sposób

— tak sobie rozmawiali średnio dwa razy w tygodniu, i teraz idąc do drzwi, goła, ociekająca wodą, szykowała się na kolejną potyczkę, więc zaskoczyło ją — czy przyjemnie? — gdy przez wizjer, zamiast sąsiada, zobaczyła Ankę Milewską.

Męcząc się ze skomplikowanym zamkiem, który kazał zamontować były mąż i którego, kiedy się wyprowadził, za cholerę nie umie sama otwierać, zastanawiała się, czego może chcieć ta najdziwniejsza w jej życiu znajoma, a właściwie nieznajoma, choć na przecięciu ich dróg zdarzyły się rzeczy wielkiej wagi; zamek wreszcie ustąpił, Anka stała w progu, szczelnie okręcona czarnym trenczem i niewiele przypominała tamtą mniszkę sprzed trzech lat

wypełnionych namiętnością, co zmysły Miry natychmiast pochwyliły; mężczyzna, który odtrącił jej ciało, znalazł

upodobanie w tej cholernej świętej, zabrał z klasztoru, zakonu, monasteru (Mira nie rozróżniała znaczenia tych słów), żeby rozpalić i skurwić, tak że dziś inne są oczy Anki, ruchy i mimika, i Mira chyba jeszcze bardziej jej nie lubi.

— No co tak stoi? Wlazła! — Styl, w jakim ją powitała, był dziełem lat, cyzelowanym od dzieciństwa na złość rodzicom, którzy mieli tytuły profesorskie i zachowywali się oraz wysławiali wysoce correct. — Szlafrok, kurwa mać! — zawołała i po chwili przez uchylone drzwi łazienki czyjaś ręka spełniła prośbę.

Ance przyszło na myśl, że w czerwonym szlafroku Mira przypomina upieczone prosię, takie jak dawniej z jajkiem w ryjku w całości stawiano na wielkanocny stół, ale za porównaniem nie kryły się żadne emocje, bo w najmniejszym stopniu nie odwzajemniała niechęci Miry i w ogóle nie uważała, że istnieje między nimi jakaś godna uwagi relacja; dziś przyszła wyłącznie do jej męża, przyjaciela Janka, który — ostatnia deska ratunku — mógł coś wiedzieć, podczas gdy w prokuraturze nie wiadano nic, podobnie jak u teściów, bo do nich też dzwoniła.

— Nie mogę go złapać. Ani w domu, ani na komórce. Z pracy wyszedł wcześniej i nikt nie umiał powiedzieć...

W drzwiach łazienki ukazał się chłopak, najwyżej osiemnastoletni, w samych slipach, który na pewno nie był Romanem, przyjacielem Janka ze studiów.

— Co się tak dziwisz? — Mira uśmiechnęła się. — Aj em fri. Poznajcie się: Tolek, Anka...

Małolat przyjrzał się Milewskiej ze znawstwem i aprobatą.

— Idź się uczyć o Zygmuncie Auguście! — Pieszczotliwym kłapsem zapędziła cielaczka do pokoju, do drugiego zapraszając Ankę. — Mam wyrzuty sumienia, że przeze mnie zawali szkołę. — Byłe jak uprzątnęła walające się wszędzie halki, majtki, gatki i z dyżurującej u wezłowią butelki smirnoffa

naląła do dwóch kieliszków. Anka odmówiła nie tylko dlatego, że nie chciała pić z kieliszka po tym jakimś Tolku.

— Ale czym ty się przejmujesz? Faceci czasem znikają. Zachlał, dorwał jakąś dupę, to u nich normalka.

Miała zamiar ugodzić, i z żalem spostrzegła, że się nie udało; Anka nie zareagowała, chyba na tej samej zasadzie, na jakiej ktoś z ostrym atakiem kamicy nie poczuje, że ugryzł go komar.

A więc coś poważniejszego, odgadła, i dotarło do niej, że to już widać tak musi być, takie fatum, że do ich spotkań nie dochodzi w byle jakich okolicznościach, jak gdyby wszystkie kolejne dostrajały się wagą do tego pierwszego, przed trzema laty,

kiedy z Filipem na ręku weszła do zimnej sieni z wielkim krucyfiksem, papieżem, wszystkimi świętymi i zapachem charakterystycznym dla zbiorowego, stołótkowego żywienia.

— Dzień dobry, siostró. Nazywam się Biernacka i byłam umówiona telefonicznie.

— Nie jestem zakonnicą — odpowiedziała dziewczyna w dzinsach i koszulce z nazwą jakiegoś uniwersytetu, co Mirę zafrapowało, bo przecież w klasztorach nosi się habity czy jak to się tam nazywa, i nie od razu zrozumiała, co tamta mówi, gdyż z takim pieprzonym świętoszkowatym wyrazem twarzy jest się na pewno — trzeba być — zakonnicą.

— I niech mi pani tylko nie truje o grzechu! Już raz posłuchałam mojego świętojebliwego tatusia, nie wyskrobałam się i w nagrodę wasz Pan Bóg dał mi dziecko bez mózgu!

— Pani ojciec, jak rozumiem, omówił z matką przełożoną warunki? — spytała dziewczyna tonem, który nie stwarzał cienia nadziei, że da się sprowokować i wyzwać na pojedynek w imię tych ich pierdolonych chrześcijańskich wartości,

a największym pragnieniem Miry było rzucić jej takie słowa w twarz, w tę cholerną twarz mniszki, która — zauwa-

żyła nagle — gdyby zrobić makijaż i zmienić wyraz oczu, byłaby twarzą niezłej suki.

Przelknęła upokorzenie, przytakując: oczywiście, ojciec wszystko załatwił, zapłacił, sama przecież nie ma pieniędzy, podobnie jak mężczyzny poczuwającego się do tego dziecka, które urodziło się z płaską, jak gdyby sprasowaną główką, nie widzi, nie słyszy,

i jest karą, teraz wielkodusznie darowaną przez tatusia, bo wyjął wreszcie portfel.

Dziewczyna położyła Filipa na stole i najwyraźniej fachowo studiowała jego wszystkie ułomności; Mira, która знаła je na pamięć, od ślepych oczu po przykurczone stopy, zupełnie nie rozumiała sensu i celu badania, jeszcze jednego badania, w dodatku przez jakąś prostą dziewczuchę, kiedy medyczna elita jednogłośnie uznała przypadek za beznadziejny; na stole, pod smętnym spojrzeniem Matki Boskiej, leżał żywy argument za aborcją, reklama pigułek, prezerwatyw, spirali i tego wszystkiego, co w tym miejscu uważa się za diabła.

— Najgłębsze upośledzenie, jakie w ogóle jest możliwe — powiedziała Mira z odcieniem paradoksalnej dumy; dziewczyna nie przerywała badania, dotykając stopy Filipa, sprawdzała odruch Babińskiego.

— To prawda — potwierdziła cicho. — Ale literatura odnotowuje przypadki względnej poprawy. Może się zdarzyć, że niższe ośrodki przejmą funkcje właściwe dla mózgu.

— Pani jest lekarzem? — zdziwiła się, bo poza wszystkim dawała jej nie więcej niż osiemnaście lat.

— W tym roku robię dyplom. — Wzięła Filipa na rękę. — Chodźmy, pokażę pani jego pokój.

— Dorabiasz tu, czy to w ramach praktyki? — Skoro obie są studentkami, postanowiła mówić do niej na ty.

Korytarz z ciemną boazerią, i mieszkańcy tego domu: raczej mieszkańcy patologicznej podświadomości, pomyślała, uaktywnionej przez LSD.

— Jestem wychowanką siostr — odpowiedziała lakonicznie, otwierając drzwi jednej z sal. Miała łukowe sklepienie

i wysoko umieszczone okna. W ustawionych w dwa rzędy łóżeckach leżeli — Mira wołała nie patrzeć, ale odgadywała — tacy jak Filip.

— Jak to? Przecież jesteś normalna! — Chyba byłoby lepiej, gdyby ręce dziewczyny kładły go teraz do trumny; nie wie, czy zdobędzie się kiedykolwiek na odwiedzin, choć ojciec na pewno każe jej co niedziela, pod groźbą utraty kieszonkowego. — Myślałam, że ten przytułek jest tylko dla upośledzonych.

Ale nie otrzymała wyjaśnienia,

i po dwóch dniach odszukała dziewczynę w Akademii Medycznej. W zatłoczonym, roztrajkotanym bufecie studenckim, w dymie papierosów, szeleście notatek, zapachu garmażerii — siedziała sama przy stoliku, tak jakby umieściła na nim tabliczkę „nie znoszę towarzystwa” albo „choruję na trąd”; Mira przysunęła sobie krzesło, dosiadła się.

— Muszę z tobą pomówić.

Jej wzrok nie był ani przyzwalający, ani zniechęcający; spostrzegła, że odrywa ją od lektury, która w tytule ma ...in American Psychiatry.

— Bez przerwy myślę o swoim życiu, o Filipie... — ścisnęła pustą, zostawioną przez kogoś szklankę, obracała — ... i o tobie.

— Dlaczego o mnie? — Uśmiechnęła się ze zdziwieniem, lecz ciepło, a Mira nieśmiało wruszyła ramionami, ponieważ nawet w samotności, w wyostrzonych przez bezsenność introspekcjach wczorajszej i przedwczorajszej nocy nie potrafiła zrozumieć, skąd biorą się te obsesyjne porównania siebie z dziewczyną, której nie zna,

zdrową na ciele i umyśle wychowanką zakładu dla najgłębiej upośledzonych, z urodą płynnie — i na pewno poza

świadomością — oscylującą pomiędzy skrajnościami: od zakonnicy do, w dziwnych, krótkich przebłyskach, panienki z najgorszych przedmieść,

a która naprawdę nie jest żadną z nich, lecz studentką ostatniego roku medycyny, czytającą po angielsku naukowe książki

i z wyżyn wyćwiczonej w tym klasztorze, czy monasterze, moralności spoglądającą na Mirę z dystansem, który prawdopodobnie wynika z pogardy.

— To jakiś koszmar! — zdążyła powiedzieć, nim zerwał się płacz; dziewczyna patrzyła na nią podobnie jak na Filipa, kiedy sprawdzała mu odruchy, z tą różnicą, że teraz zapaliła papierosa; przez ból i płacz Mirę zdziwiło, że taka osoba pali.

Ale Anka paliła, i to bardzo dużo; w jej pokoju na piętrze willi państwa profesorostwa, dokąd z tego bufetu się przeniosły, wznosiły się w popielniczce Himalaje petów, a Mira chciała pić, lecz Anka po prostu odebrała jej butelkę i wstała z powrotem do barku,

który mieścił się nad pustym łóżeczkiem, bo odwagi zabrakło, żeby rozmontować, wynieść na śmietnik; chłonęła wykład o konflikcie serologicznym, który był wytłumaczeniem wszystkiego i anulował winę,

bo choć przedtem to samo mówili najlepsi neurologi, zawsze podejrzewała, że mogą się mylić, i na niedorozwoju Filipa zaciążyły trawa i alkohol, od których nie potrafiła się w ciąży powstrzymać; nie wiedziała, czemu ostatecznie uwierzyła nie tym profesorom, a dziewczynie od sióstr zakonnych, może dlatego, że skoro nawet taka nie dopatrzyła się w niej winy, błędu, grzechu, to znaczy, że jest od grzechu, błędu, winy wolna.

A później, kiedy już przyszedł Janek, Anka mówiła o naturze ludzkiej, której główną cechą była, według niej, przyrodzona bylejakość

— możliwa do przewyciężenia jedynie wtedy, gdy jasno wytkniemy sobie cel i dostroimy do niego wewnętrzną tem-

perature, to właśnie miał na myśli święty Paweł, wzywając, byśmy nie byli letni.

Wtedy facet, który ją odrzucił, spojrział uważnie na Ankę i zapytał, czy w takim razie pochwała fanatyzm.

— Używamy trochę innego języka — powiedziała, nie bacząc na jego leciutko ironiczny ton, którym podkreślał swoją wyższość, był bowiem mężczyzną, i to prawie dwumetrowym. — Przez cel rozumiem służbę, to be a *soldier in the Army of the Lord*, oczywiście w różnych miejscach, w rozmaitych uwarunkowaniach, bo to przecież nie jest jakiś wspólny, tępy marsz.

I po chwili milczenia dodała, że chce się wypalić do końca w takiej służbie.

— A co myślisz o mnie? Ateiście, początkującym prokuratorze, który po prostu zamierza postępować zgodnie z prawem i sumieniem. Bez żadnych transcendentnych celów ani mistycznych uniesień.

Uśmiechnęła się. Miała taki nieśmiały, stonowany uśmiech, który musiał działać na facetów w rodzaju Janka i którego Mira jej zazdrościła; bo co z tego, że na statystyczną większość skuteczniej działają jej uśmiechy, skoro Janek statystyczny nie jest, ze swoim wzrostem siatkarza, asa drużyny uniwersyteckiej, i takim samym charakterem; należał natomiast do statystycznej większości ojciec Filipa i jemu podobni...

— Pan na pewno nie jest letni ani byle jaki wewnątrznie.

... tworzący krąg, labirynt, chaos wokół Miry i w niej, z którego coraz mniej rozumiała, odkąd urodził się Filip i znikł, tak samo, jak nie pojmuje toczącej się rozmowy,

poza jednym, w czym nigdy się nie myli, iż ci dwoje — facet, co potraktował ją jak kurwę, i niesamowita, nie z tego świata dziewczyna — cholernie, od pierwszej chwili, przypadli sobie do gustu,

i on na pewno odwiezie Ankę tam do sióstr, tym samym cinqueto, w którym po imprezie u Roberta zrobiła mu szybki

numer, przez co ostatecznie go straciła, i został jej tylko ten Robert, wiecznie schlany kretyn, prawdopodobnie ojciec Filipa;

a kilkadziesiąt kilometrów wspólnej jazdy nieodwołalnie, nieuchronnie ich połączy, jeszcze nie fizycznie, bo to nie ten rodzaj ludzi, związku i w ogóle,

ale więzi już się zadzierzną, powstanie zarodek szczęścia, jak na ironię dzięki jej przegranej do obojga, jako że to właśnie Anka widziała przedwczoraj ostatni akt i ostateczne upokorzenie.

I rzeczywiście Janek zaproponował, że ją odwiedzie. Ale to stało się trochę później, po długim, histerycznym ataku Miry, kiedy Anka wreszcie położyła ją do łóżka.

A teraz role się odwróciły: bliska łez jest tamta, melodramatyczna i pogrzebowa w czarnym trenczu, którego nie zdjęła.

— Coś się między wami nie układa? To smutne. Tym bardziej, że poznaliście się przeze mnie... — Poza wszystkim była cholernie ciekawa przyczyn i liczyła, że Anka za chwilę się rozklei i po babsku zwierzy.

Ale zamiast tego z beznadziejną desperacją stukwała w klawisze nokii; Janek nie odbierał.

— Wzięłam sobie trzy lata nienależnego szczęścia — powiedziała nagle. — I teraz zostanę rozliczona.

Nie odbierał, choć słyszał natrętne dźwięczenie w kieszeni płaszcza, gdy o trzynastej, po przejrzaniu akt pierwszego procesu Kulika, wychodził z prokuratury, i potem, w dwóch, trzech, czterech barach, i wreszcie w sklepie z bronią.

Nie miał przy sobie zezwolenia, ale uparł się, że wystarczy legitymacja służbowa, którą machał przed oczami sprzedawcy, tłumacząc, że przecież prokurator z urzędu ma pozwolenie na broń krótką.

— Bez wątpienia, ale obowiązują mnie precyzyjne przepisy. — Facet ze stanowczą twarzą i lada odgradzały od kil-

kudziesięciu pistoletów i rewolwerów, z których wystarczył jeden, tylko jeden, by leżał w wewnętrznej kieszeni, dotykając i ciężarem przypominając o istnieniu ratunku. — Proszę przyjść jutro, panie prokuratorze — zakończył rozmowę sprzedawca. — Spokojnie, trzeźwo pogadamy.

W aptece dwie przecznice dalej — telefon stale popiskiwał — też domagali się papierka, mianowicie recepty. Na szczęście miał, ze stemplem lekarza psychiatry Anny Milewskiej, która co kilka minut dzwoni, a on nie odbiera; receptę wypisaną w przeddzień rozprawy przeciwko Kulikowi, na wypadek gdyby w nocy ze zdenerwowania nie mógł spać.

— Tylko niech pan nie zażywa leku teraz, w takim stanie — upomniała farmaceutka, z dużym wahaniem sprzedając dwa opakowania; od razu za drzwiami połknął cztery tabletki i po chwili ból rzeczywiście zelżał, jak gdyby między żebra wciśnięto mu coś miękkiego i łagodnego w dotyku. Zatrzymał taksówkę, kazał się zawieźć do domu.

Na biurku w gabinecie aparat także dzwonił, ale zignorował to, otworzył teczkę i wolno kartkował stenogramy zeznań; jak ktoś szukający na swoim ciele nowotworowych plam i zgrubień.

— Czy łączył cię z Kulikiem intymny związek?

— Chodzi, czy mnie posuwał? Tak.

— Przypominam oskarżonej, że za używanie przed sądem określeń wulgarnych...

i tak dalej, i tak dalej; w szufladzie biurka znalazł pierśiówkę dżinu, i nadpłynęła myśl, że po to zabraniają mieszać z luminalem, żeby nie dać uciec od bólu, bo cholerni farmaceuci nie wiedzą, czym jest ból,

— W porządku, spałam z nim. Ale wina chyba nie przenosi się tak jak choroba weneryczna?

więc wziął jeszcze pięć tabletek, i zaskoczony tym, że stenogram nagle zupełnie przestał go interesować, wyszedł na taras.

I tam, wróciwszy od Miry, znalazła męża. A na biurku zeznania Żanety i puste opakowanie po luminalu.

Miała wrażenie, że jest Jankiem i śpi jego snem, więc dlaczego to ją szarpia za ramię? Szczur stał nad nią, uśmiechał się i już nie przypominał szczura.

— Wszystko dobrze, kontaktuje. — Podał jej papierowy kubek z kawą. — W porę się zdążyło, bo sama pani wie, koma to loteria.

— Koma? — Podniosła na niego wzrok.

— Nie, nie, na szczęście do tego nie doszło. Pójdzie pani do męża? Też pije teraz kawę. Cały dzbanek.

Zawahała się, ale nie poszła.

Piotr Rusin był nieprzyjemnie zaskoczony.

I wypadkiem Milewskiego, i jego decyzją.

— Wiem, Piotrze, że prokuratorowi nie powinno się to przytrafić. — Na zaświadczeniu lekarskim stwierdzającym niezdolność do pracy przez 30 dni widniał jedynie numer statystyczny choroby, lecz uznał, że będzie uczciwiej, kładąc to na biurku zwierzchnika, odszyfrować treść. — Ale tak się stało, jak się stało. Do sprawy Kulika wyznacz kogoś innego.

Wiedział, choć w tej sytuacji było mu to zupełnie obojętne, że prokurator wojewódzki Rusin, nie znając prawdy, musi uważać go za nadwrażliwca, mięczaka i gówniarza, co w obliczu pierwszej poważnej zawodowej próby sięga po środki uspokajające i alkohol,

tak jakby przeląkł się człowieka, którego oskarżał; i rzeczywiście, tym tropem pobiegła myśl Rusina.

— Grożono ci?

Za okularami pytającego dostrzegł błysk pospiesznie przywoływanej mądrości, a na twarzy uśmiech gorzkiego doświadczenia, którym już szykował się podzielić; prokurator podlega rozlicznym naciskom — brzmiałyby pierwsze słowa — ja sam wielokrotnie...

ale nie padły, bo Milewski zaprzeczył, a wychodząc od niego, dziwnie się czuł ze świadomością, że nawet Rusin, choć przepracował w tym gmachu blisko ćwierć wieku, ani się domyśla, że może zaistnieć coś, przy czym wszelkie „rozliczne naciski na prokuratora” wydają się trywialne;

albowiem naciskom można się przeciwstawić, przeciwstawić ludziom, jako że presja nigdy nie jest bezosobowa, to ktoś grozi, próbuje korumpować albo z wyżyn władzy paraliżuje śledztwo; tego rodzaju przeciwności i przeciwników podsuwała mu wyobraźnia od momentu, gdy na czwartym roku studiów zdecydował się zostać prokuratorem, a w walce z nimi dwumetrowy siatkarz widział coś na kształt meczu ze złem;

tu zaś nie było walki, bo nie miał z kim walczyć, i w ogólne czyny nie miały sensu, gdyż niczego nie mogły zmienić; był jedynie w mocy — i musiał — zrzec się sprawy Kulika, wszystko inne pozostawało poza zasięgiem sprawczości,

tak jak myśli, nad którymi nie panował, od chwili gdy ostatecznie oprzytomniał i zorientował się, że ze szpitala, zamiast do domu, zawiozła go w miejsce wybrane z oczywistą premedytacją,

do luksusowego, stylizowanego na rybacką chatę bungalowu, który za ciężką forszę wznosił na skarpie nad jeziorem jego ojciec,

i gdzie od wybuchu młodzieńczego buntu przeciwko korzeniom, dziedzictwu, dwóm motorówkom z silnikami jaguara i pięknej łodzi żaglowej za nic w świecie nie chciał jeździć,

aż mając 25 lat niespodziewanie sam poprosił o klucz, i ścierpiał nawet drwiący, sprośny uśmiezek ojca. Pamięta, że obejrzała bungalow tylko z zewnątrz i klucza użył dopiero po spacerze wkoło jeziora, kiedy zapadał zmierzch

i trzeba było wracać do miasta albo schronić się w środku.

— Przeniosę cię przez próg — powiedział.

Milczała z dłońmi w rękawach starej dzinsowej kurtki, co wydało mu się czymś nerwowym, bo nie było aż tak chłodno, żeby dłonie marzły. Wziął ją na ręce;

choć spotykali się od dawna, nigdy przedtem nie opłótła ramionami jego szyi i nigdy dotąd usta Anki i włosy Anki nie były tak blisko. Przez trzy miesiące uczucie skrywało się, przyjmując postać przyjaźni,

gdy godzinami rozmawiali w kawiarni niedaleko jej uczelni, on po pracy, Anka po zajęciach, a potem, kiedy kawiarnię zamykano, odwoził ją tam, do albertynek, i miał pół godziny bliskości, jakiej wcześniej nie znał; jeszcze żaden człowiek nie był mu tak bliski jak ta dziewczyna, chociaż nawet jej nie pocałował, onieśmielony

czymś na kształt sacrum, co tak jawne, generujące w nim pokorną ciszę, nie pozwalało się prosto wyjaśnić jako jej sposób bycia przyswojony u zakonnic. Był z natury i programowo zamknięty w sobie, i dopiero trzymając dłoń Anki,

jak po miękkim leśnym poszyciu szedł coraz dalej, i dalej w szczerość, zrozumiałą, wiedział, jedynie między kochankami, którymi jeszcze nie byli, i nic pozornie nie uzasadniało owej intymności, nawet półmrok kawiarni, nawet stary, nastrojowy jazz. A wtedy, po wycieczce, pierwszy raz miała nie wrócić do swojego dziwnego domu, zamienić go na wielki pokój z jeziorem za przeszkloną ścianą i tapczanem rozległym jak nadbrzeże.

— Janku — powiedziała nagle, zawahała się, i zawisło w ciszy jego imię, które lubił słyszeć w jej ustach,

dzięki melodii głosu, ciepłu intonacji, lecz również — uświadomił to sobie — dzięki drobiazgowi, gramatycznej perle, prawidłowej formie wołacza, dziś już brzmiącej nieledwie archaicznie;

z wrzawą klubów studenckich i prywatek, z rykiem hali sportowej — Sie masz, Janek! Bużka, Janek! Ścinaj, Janek! — kontrastowało jej łagodne, stonowane — „Janku”.

Uniwersalnym pilotem, który uruchamiał wszystkie urządzenia wewnątrz bungalowu, włączył klimatyzację i radio.

— A tym przyciskiem, Aniu, włączę księżyc — szepnął, gdy kwadra wyplątała się z chmur, rozjaśniając jezioro, szybę i pokój, co powoli wypełniał się ciepłem i latynoską muzyką gitarową; odłożył pilota i delikatnie zdjął z niej kurtkę,

a wtedy chyba się odsunęła, tak, musiała się odsunąć, i pamięta jak kadr z filmu: Anka klęcząca na tapczanie, daleko, u wezglowia, trwa w zastygnięciu,

z którego zdają się korzystać włosy, bo najłżejsze poruszenie nie zakłóca im girlandowego, sobiepańskiego spływania po ramionach i piersiach, aż do ud, na których wsparła dłonie,

a potem oderwała, by przez głowę ściągnąć bluzkę.

— Chciałabym, żebyś uwierzył, że niczego przed tobą nie gram.

Pieścił jej twarz, i łyzy, które poczuł na palcach, potwierdzały wagę niezrozumiałej prośby; odgadł, że to są te słowa nie wypowiedziane, co oderwały się od jego imienia i stoczyły w ciszę. Potem kurczowo ścisnęła mu nadgarstek.

— Od kilku lat naprawdę taka jestem, przysięgam na mękę Chrystusa! — I coraz nedorzeczniej brzmiał szept między pocałunkami składanymi na jego dłoni.

Trzy lata później,

podczas których nigdy nie wyjaśniła tamtych słów i zachowania, zresztą nie zadawał pytań, uznawszy, że to jakiś kobiecy motyw, zapewne nieco historyczny, bo decyzja, przełom, pierwsza noc z nim, chociaż

nie była dziewicą,

rozumiał sens dziwaczych błagań, zaklęć, łącznie z przywołaniem imienia Chrystusa, co wówczas poczytywał za egzaltację, a dzisiaj sam, choć niewierzący, szukał siły wyższej, zdolnej cofnąć koszmar,

jako że to, co się stało, w sposób dokładny przypominało zatrąę jawy, zapadnięcie w sen, w którym rzeczywistość na najbardziej wyszukany wzór spotworniała; o 11.30, kiedy położono mu na biurku zamówione archiwalia, jawa trwała jeszcze, i za kilkadziesiąt sekund nastąpiło tąpnięcie,

bo na jawie w takich teczkach nie ma policyjnych fotografii Anki, ani jej zaprotokołowanych zeznań; na jawie ona jest jego żoną, Anną Milewską z domu Bielczyk, nie Anną Bielczyk

używającą pseudonimu Żaneta, partnerką Kulika, którego oskarża.

Dziewczyna, o której teraz nie wiedział nic,

poza tym, że przywiozła go do bungalowu nad jezioro, tego samego, gdzie spędzili swoją pierwszą noc, i niewątpliwie uczyniła tak świadomie, w nadziei, że wspomnienia i skojarzenia złagodzą gniew, nienawiść, odrazę i to wszystko, co — wedle niej — musiało być w człowieku, jeśli dokonał takiego odkrycia; ale myliła się, bo jego odczucia nie były emocjami, a bardziej stanem: wewnętrznym osłupieniem, porażeniem rozumu, czymś porównywalnym z nagłą utratą wzroku,

stała na zewnątrz za szybą, jakby w filmowej symbolice niedostępna poznaniu, a potem usłyszał kroki w sieni, skrzypnięcie drzwi, i poczuł dym papierosa. Odwrócił się, patrzył na Ankę, nie wstając z tapczanu, nie wykonując żadnego gestu; usiadła daleko, na brzegu, ze wzrokiem utkwionym w pustej paczce cameli, której używała jako popielniczki,

i jej głos, rytm słów kojarzył się ze strzepywaniem popiołu.

— Pytam cię jako lekarz: czy zrobiłeś to, żeby skończyć ze sobą?

Zaprzeczył. Nie chciał odbierać sobie życia. Chodziło tylko o ten ból. Żeby uśmierzyć.

Gdyby facet sprzedał mu pistolet, a ból przekroczył próg wytrzymałości, tak, pewnie znieczuliłby się strzałem w gniazdo tortury. W głowę lub w pierś.

— Powinam ci była o wszystkim powiedzieć, zanim...
— Urwała, a on próbował znaleźć we wspomnieniach granicę, za którą nie miała już prawa zatajać przeszłości; czy ich los potoczyłby się tak samo, gdyby dowiedział się nagle, z kim siedzi przy stoliku, kogo odwozi samochodem? Nie był pewien,

Anka natomiast nie miała cienia wątpliwości.

— Wiedziała, że jeśli powiem, to cię stracę, bo byłeś, jesteś — poprawiła się — ostatnim mężczyzną, który zaakceptowałby dziewczynę z takim życiorysem, i poza mnóstwem innych rzeczy właśnie za to cię kocham.

Odruchowo, prawie niechcący dotknął jej dłoni; wzdrygnęła się, lecz w tej samej niemal chwili spostrzegł na twarzy wyraz ulgi,

bo pragnienie jego dotyku było jak głód narkotyczny, i teraz dostała wreszcie maleńką dawkę, która wniknęła w krwiobieg, dźwigając organizm z niemocy.

— Próbowalas mi powiedzieć, wtedy po pierwszym dniu procesu?

Skinęła głową.

— Nie skłamałam. Żaneta naprawdę się zabiła.

Już pierwszej nocy wyczuł zgrubienie z tyłu głowy nad karkiem.

— Miałam pękniętą kość potyliczną — wyjaśniła profesjonalnie.

— Wypadek?

Przedłużająca się cisza, jak gdyby pytanie było drażliwe.

— Pociąg mnie potrącił.

W krótkim rozbłysku, przypominającym napadowe wspomnienie, zobaczył to, co powiedziała; to wtedy właśnie powstał w nim, by nigdy już nie wygasnąć, ten lęk, którym powodowany prosił, żeby zawsze telefonowała, kiedy dojedzie do pracy; poczuła narodziny lęku, dramatyczny przekaz dłoni

i ramion Janka — przyrzeczenie, że silne, muskularne, użyją całej mocy, by ją ochraniać.

I po chwili tak samo objął, przygarnął bezwiednie drobne ciało, które należało do Kulika, i które uderzył rozpędzony elektrowóz; miała trzynaście lat, tłumaczył sobie, kiedy ten psychopata uwiódł ją i uformował na własny wzór, co mu się udało, bo była jeszcze dzieckiem.

— Wiem, to brzmi tak, jakbym oszukiwała ciebie, siebie, nawet Boga, choć Jego nie można oszukać, ale moje życie to dwa różne rozdziały... do samobójstwa Żanety i ten drugi, kiedy pracowałam u sióstr, studiowałam, i... przede wszystkim, kiedy poznaliśmy się...

Miała trzynaście lat, zaczął powtarzać swoje w myślach.

— Jest ktoś, kto znał mnie wtedy i zna teraz. Profesor Kozerski, porozmawiaj z nim. On ci powie, że Żaneta miała nawet inny głos i ciemniejsze włosy, na zdjęciach może nie widać, ale to prawda, dopiero po wypadku tak mi zjaśniały!

Miał je pod palcami i w palcach, gdy ręka niezależna od porażonych myśli wędrowała po ramionach Anki.

— Czyj był pomysł, żeby krzyk tego chłopca nagrać na magnetofon? Twój czy Kulika?

Jak w napadzie tężyczkowym stwardniały jej mięśnie. Błagał Boga, w którego nie wierzył, by po odpowiedzi było choć trochę ulgi.

— Nie pamiętam. Byliśmy wtedy na prochach. Ale nie myśl, że zasłaniaam się niepamięcią... jej też nie pozwoliłam się zasłaniać niepamięcią, kiedy wydawałam wyrok.

Co czuła po odzyskaniu przytomności w małym, prowincjonalnym szpitalu — i czy można to porównywać z jego ocknięciem się dzisiaj w nocy? Gdy przywróconego życiu pojono litrami kawy, a lekarz potrząsał nim i krzyczał, żeby nie zasypiał, bo wiedział, że pacjent kurczowo trzyma się ciemności, z której trzeba go wywlec siłą,

podczas gdy Anka, być może, dostrzegła w powrocie nadzieję, szansę na nowe życie, bo miała tylko trzynaście lat, kiedy ten psychopata ją uwiódł — powtórzył w myślach po raz kolejny; już nie w bungalowie, gdzie spędzili noc, lecz rano, wychodząc od Rusina.

— Jeszcze jedno. — Rusin stał w drzwiach gabinetu i łagodnym gestem zwracał go z korytarza. — Twoja żona się nie ucieszy. Bardzo jej zależało, żebyś dostał tę sprawę.

— Moja żona?

— Jeśli masz ich kilka, to doprecyzowuję, że chodzi o Anię.

Przypomniał sobie, co przyszło mu z pewnym wysiłkiem, bo rzecz nie polegała na jakiejś pryncypialnej małżeńskiej rozmowie, ale kilku drobnych uwagach, które istotnie poczyniła, by go zmobilizować; czy równolegle mobilizowała Rusina, znanego z niechęci do przenoszenia układów towarzyskich na grunt zawodowy? Ale do Anki stary prokurator miał akurat słabość, więc tu mógł zrobić wyjątek.

Czy chciała, żeby to właśnie on był tym, który doprowadzi do skazania Kulika, pomści ją, bo miała tylko trzynaście lat, kiedy... — ale poza bungalowem, bez Anki obok, to były już tylko słowa,

niczym nie poparte, puste, których nie użyłby najmarniejszy adwokat z urzędu.

— Oddaj moje pieniądze! — zachrypiała staruszka, nie widzącym wzrokiem patrząc gdzieś między głowę Anki i siostry oddziałowej; Kozerski, schylony nad przywiązaną do łóżka kobietą-lalką, badał jej puls, ujmując nadgarstek tuż nad wrzynającą się skórzaną pętlą.

Tak wyglądał obchód: profesor, Anka, siostra oddziałowa, i jeszcze dziewczyna psycholog, gruba w grubych okularach, na nic tu, prawdę rzekłszy, niepotrzebna.

— Jak z jedzeniem?— spytał Kozerski, oczywiście nie tego ściśniętego pasami zawiniątka, bo odpowiedzieć nie mogło, ale Anki i siostry oddziałowej.

— Wypluwa — zaraportowała pielęgniarka, duża, mleczna blondyna o imieniu Brygida, wdowa z trojgiem dzieci, szukająca partnera przez biura matrymonialne, o czym w szczegółach Ance opowiadała; lubiła Brygidę.

— Glukoza, sól fizjologiczna, dokarmianie przez rurkę — rzekł Kozerski półgłosem, a w tej samej sekundzie rozległo się rozpaczliwe crescendo staruszki.

— Oddaj moje pieniądze!

Po czym, wychodząc niespodziewanie poza żelazny repertuar trzech słów, równie głośno i bardzo wyraźnie dodała:

— Ty kurwo!

I na jej twarzyćce z wosku zjawił się wyraz zjadliwego triumfu.

Kozerski z kobiety-lalki przeniósł wzrok na Milewską. Miała w oczach to, co znał już jak zły szeląg, bo tak właśnie patrzyła na niego nad symbolicznym grobem Żanety i podczas zajęć na uczelni, cicha, zasłuchana, a przecież świadoma, że jej obecność wśród studentów stanowi dla niego dyskomfort; jakaś na przestrzał pustka i równocześnie hardość szaroniebieskich oczu, która przypominała spojrzenie Scaevoli wkładającego rękę w ogień; tylko on jeden zauważył reakcję Anki na słowa pacjentki, i co więcej zrozumiał,

albowiem — ironizował w duchu — był jak mędrzec, co przeniknął jakąś mroczną ezoterię i sam nie wie, czym jest dla niego owo wtajemniczenie, rodzajem satysfakcji czy przeciwnie — ciężarem.

Potem mieli przejść do następnej sali, izolátky, gdzie przebywał niejaki Bednarczyk, dwudziestoletni żołnierz służby zasadniczej, przywieziony do szpitala z objawami ostrej katatonii; do tego stopnia ostrej, że gra szła o życie.

Anka go prowadziła, i to przez nią wybrane leki żałośnie nie miały się obłędu, który nakazywał Bednarczykowi stać godzinami na jednej nodze, z urągającym prawu ciężenia odchyleniem tułowia w bok; przez Internet konsultowała się z zagranicznymi specjalistami i zbierała informacje o nowym szwajcarskim leku, a dziś — we dwoje z Kozerskim — mieli podjąć decyzję, czy ten lek podać pacjentowi.

Wyszedł na korytarz, delikatnie prowadząc przed sobą panią psycholog, co robił niezmiennie przy każdym przejściu przez drzwi, a co było niezbędną pomocą bardziej niż kurtuzą, ponieważ tusza i słaby wzrok w poważny sposób ograniczały jej orientację oraz zdolność manewru.

Brygida, zapisując w notesie, że trzeba dać kroplówkę i karmić siłą, podążyła za nimi,

i tylko Anka została, zatrzymana przez Lewandowską.

— Pani doktor, ja już wszystko przejrzałam — szeptała kobieta o cerze zbrązowiełej od plam wątrobowych, jak przed chłodem szczelnie otulając się szlafrokiem, który pachniał wszystkimi wyziewami szpitala i, osobiście od niej, złą przemianą materii. — On zrobił ze mnie wariatkę, ten alfons, rozumie pani?

Chodziło oczywiście o jej męża, który przychodził tu codziennie w porze odwiedzin, chudy, łysy, z trudem poruszający się o lasce, złowrogi bożek nad jej urojonym światem.

— Używał damskich perfum, żebym pomyślała, że skacze na boki. A naprawdę wcale nie skakał, tylko tak kombi nował, żebym wyszła na... — Porozumiewawczo mrugając do Anki zakreśliła sobie kółko na skroni. — Cwany skurwysyn, co nie? Udało mu się zamknąć mnie w wariatkowie!

— Oddaj moje piniędze — zażądała staruszka, tym razem w tradycyjnej formule, bez dodatków.

— Czy czuła pani zapach tych perfum? — spytała Lewandowską, choć trafnie przewidywała odpowiedź; w stosunku do omamów nie pojawił się przecież ślad krytycyzmu, zmieniła się tylko ich interpretacja.

— Pani doktor myśli, że mi się wydawało? Jemu właśnie o to chodziło, żeby lekarze tak myśleli. Wiedział, że pani go nie będzie wahać.

Beznadziejny, próżny trud rozmowy z wariatem, znany od wieków temat żartów i anegdot, częstokroć z morałem, że chorym na umyśle nie należy się sprzeciwiać, a odwrotnie, powinno się przytakiwać ich bredniom; to jasne, że nic im nie wyperswadujesz — mawiał Kozerski — lecz mimo to musisz cały czas pokazywać im prawdę, stać przy prawdzie i tam na nich czekać, tam się z nimi umawiać, za miesiąc, za dwa miesiące, za rok. Czasem niektórzy przychodzą.

Spojrzała w oczy — cierpiące, a równocześnie sprytnie i pełne nienawiści.

— Pani Lewandowska, mąż bardzo panią kocha i zapewniam, że z nikim nie romansuje ani nie knuje przeciw pani intryg.

Wzrok pacjentki oskarżył ją błyskawicznie o współnictwo z mężem, ale z ust ściśniętych w zirytowanym grymasie nie padły żadne słowa.

Tymczasem w sali za ścianą Bednarczyk nie stał już na jednej nodze, a leżał w łóżku, i rzut oka wystarczył, by

zrozumieć, że ta zmiana nie wynika z poprawy, lecz z narastającego wycieńczenia i wypalania się organizmu; oczywiście, nadal nic nie mówił i nie reagował, nie tylko na słowa, ale nawet na dotyk i potrząsanie.

— Lewandowska przekonstrowała swój system urojeń.

Kozerski, zajęty badaniem Bednarczyka, dopiero teraz zorientował się, że weszła; mimo że stali nad łóżkiem umiarkowanego, nie mógł powstrzymać uśmiechu, bo niezmiennie, choć na różny sposób, od sardonicznej ironii wiele lat temu po obecne ciepło, bawiła go ta naukowa powaga głosu i sformułowań Anki,

nie mająca nic z napuszenia, podobna raczej do dbałości

patrioty o czystość i poprawność ojczystej mowy; w odróżnieniu od niego była patriotką psychiatrii.

— Miałaś głowę się tym zająć? — spytał widząc pod jej oczami sine półksiężycy; wczoraj rano dzwoniła zawiadamiając, że nie będzie w pracy, z tonu bardziej niż ze słów wynioskował, co się stało, i dopiero dziś przed obchodem zdała mu lakoniczną relację.

— Nie miałam, ale się zajęłam.

Przeszli do jej gabinetu, gdzie pokazała kilkadziesiąt wydruków komputerowych: pełną statystykę wyników leczenia phelonexem z piętnastu szpitali amerykańskich i sześciu europejskich.

— Obliczyłam, że w przypadkach hiperkinezy w porównaniu z grupami placebo znaczącą poprawę uzyskano ogółem trzy i siedem dziesiątych razy częściej, w przypadkach hipokinezy — dwa i dziewięć. Średni czas uzyskania remisji lub znaczącej poprawy wyniósł szesnaście dni.

Na biurku Anki stał komputer, o którym tylko tyle wiedział, że pochłania mnóstwo pieniędzy z budżetu szpitala, bo w nieskończoność potrzebuje udoskonaleń, a każde jest kosztowne i w swej istocie całkiem dla Kozerskiego niepojęte. A już zupełnym zbaraniem reagował na fakt, że Anka, nie opuszczając gabinetu, pozostaje w łączności z całym światem: z ośrodkami, których nazwy znał jedynie z literatury, i ludźmi, o których czasem tylko ocierał się na kongresach. Zbliżał się do siedemdziesiątki, a na jego oczach nastawała, już nastawała, nowa epoka; pora umierać — mawiał.

— Phelonex nie ma krajowego atestu, ale w Departamencie Leków dostałam zgodę, pod warunkiem że zgodzi się też rodzina chorego. Dzwoniłam do jego ojca, ma być o trzynastej. — I po chwili: — Stefan, przyjmijmy hipotetycznie... — z powodu tego słowa myślał, że to dalej zawodowy temat — ... że nie znałeś mnie wtedy i nagle dowiadujesz się, kim byłam...

Sięgnął po szklankę z kawą, dla której z trudem znalazł miejsce między książkami, czasopismami naukowymi i dyktkami,

należącymi do dziewczyny, której wiedza — bo oczywiście jeszcze nie doświadczenie — po dwóch zaledwie latach pracy prawdopodobnie przerosła już jego wiedzę, a przecież systematycznie z pasją ją pogłębia; rzadko spotykana inteligencja, wie coś o tym, bo współpracował z dziesiątkami lekarzy, ale przede wszystkim intuicja — jeszcze jako jej profesor zauważył, że ma to, co stary Rümke nazwał Präcoxgefühl, umiejętność błyskawicznego zdiagnozowania schizofrenii na wycucie, dar, talent, dany jednemu na stu; i wszystko to razem niedługo

uczyni z niej czołowego psychiatrę, być może nie tylko w kraju. A wtedy, przy okazji jakiejś nominacji, nagrody, publikacji, Anka wspomni, że była studentką, stażystką, a wreszcie sekundariuszem u Kozerskiego; na pewno wspomni, po innych nie spodziewa się wdzięczności,

ale ta mała — wiecznie rozedrgana, bez przerwy z papierosem — jest jak solidny bank; ile wpłacił, tyle otrzyma, plus sowite odsetki. Z napięciem czekała na odpowiedź. Upił łyk kawy.

— Nie potrafię zrobić takiego założenia.

Odstawił szklankę między archiwalny rocznik *Psychiatrii polskiej* a jakiś amerykański skrypt ze schizofrenią katatoniczną w podtytule. Przez dziesięć dni, od kiedy próbowała leczyć Bednarczyka, przeczytała o katatonii więcej niż Kozerski przez całe życie, i — uśmiechnął się gorzko — nawet jeśli ten żołnierz w końcu umrze, a raczej umrze, powstanie przynajmniej praca doktorska.

— Chciałabym, żeby się udało — powiedziała mrużąc zmęczone, podpuchnięte oczy. — Może to zabrzmi egoistycznie, ale w tym momencie nie chcę dodatkowych ciosów.

Choć przejechał niespełna 200 kilometrów, było tak, jakby znalazł się w innym kraju, na innym kontynencie, w nie swojej cywilizacji. Po polsku mówił przechodzień, którego spytał o komendę policji, na tej komendzie też rozmawiali po polsku, a jednak, uświadomił sobie, nawet pod językowym względem, poza najprostszą konwersacją, ma z nimi nie więcej wspólnego niż z aborygenami. A zresztą byli czymś w rodzaju aborygenów, starym, autochtonicznym plemieniem o cechach antropologicznych, jakich już nie spotyka się w dużych miastach.

Sierżant o niskim czole i twarzy obrzękniętej od wody długo i nieporadnie grzebał w szufladach z przetestowanymi fiskkami, a znalazłszy na koniec właściwą, miał problemy z rozczytaniem gryzmołów innego analfabety; a jeszcze, jakby obu analfabetom na złość, ulica nosiła imię Stanisława

Dubois

i była odcinkiem szosy wylotowej z miasta, w którym co trzeci przechodzień szedł chwiejnym krokiem, a policja

nie znała komputerów,

miasta w każdym fragmencie — od dziewiętnastowiecznego rynku po blokowisko na obrzeżach — szarego i odrażającego jak szczur, ale najbrzydsze były parterowe domki, ustawione wzdłuż szosy niby dekoracja do filmu o krzywdzie społecznej;

martwe, rozpadające się po pół wieku zaniedbania; w żalonych ogródkach z bielizną na sznurach i gnijącymi budkami, gdzie kury, króliki, rupiecie; ludzi nie widział, oprócz pijaka, który spał oparty plecami o furtkę; Korczyn Dworski nazywało się to przedmieście, miejsce urodzenia Anki, tak miała wpisane w dokumentach, nigdy nie powiedziała, że naprawdę jest z Nadola; ulica Dubois łączyła się z autostradą, i tam właśnie przez szesnaście lat był jej dom,

który poza tym, że stał ostatni w ciągu, niczym się z niego nie wyróżniał, choć to nie było jeszcze komunistyczne

budownictwo ze sztancy, szeregi identycznych pudełek, ni-
by parada Komsomołu. Wprost przeciwnie: każdy dom był
trochę inny, o jednolitości zaś stanowiło wspólne kalectwo,
dokładnie tak, jak w szpitalu inwalidów, gdzie ogólne ponure
wrażenie nie pozwala dostrzec różnic, nie tylko twarzy i wy-
glądu, lecz nawet różnic w samych okaleczeniach,

iż jeden nogi nie ma, a drugi ręki. Dom Jadwigi Bielczyk
nie miał akurat szyb i fragmentów dachu.

U furtki nie było dzwonka, więc po prostu pchnął i wszedł na
podwórko, albo do ogrodu, w każdym razie na niewielki, po-
rosły chwastami teren między płotem z pordzewiałej siatki
a frontem domu okrytego dzikim winem,

przez co nie widać było nawet, czy jest drewniany, czy
murowany i w jakim naprawdę stanie, choć odarty do gołej
więźby, spadzisty dach oraz zabite dyktą okna wskazywały, że
to kompletna ruina.

A kiedy tak stał rozglądając się, na schodkach — od pro-
gu zstępujących w łopian i pokrzywę — pojawiła się ta, któ-
rej Anka nie miała,

choć nigdy nie wspomniała o jej śmierci. Nie miała ro-
dziców tak, jak można nie mieć kręconych włosów albo wy-
kształcenia — brak, który nie jest wynikiem straty; nie dopy-
tywał nigdy, bo czuł, że wokół tej sprawy jest jakaś aura, któ-
rą przebijać byłoby niedelikatnością. Boże, jaki on był wobec
niej delikatny!

Przyglądała się mu, i znał dobrze to krótkie, lęдлиwe za-
stygnięcie w bezruch; przekonany był, że po chwili gestem
Anki sięgnie po papierosa — sięgnęła, zapaliła, zeszła sto-
pień niżej,

i mimo że tęższa, wyższa i w ogóle inaczej zbudowana, bez
tej wiotkości, eteryczności, którą ma Anka, Milewski był pe-
wien, absolutnie pewien, a pytanie służyło tylko zagajeniu.

— Czy pani Bielczyk?

— Zgadza się. Bielczyk Jadwiga. O co się rozchodzi?

Była w wytartych riflach i w za dużej męskiej, skórzanej kurtce. Zszedłszy z ostatniego stopnia, włożyła ciemne okulary, co nie pozwoliło mu oszacować wieku, ale raczej me przekroczyła jeszcze pięćdziesiątki.

— Moje nazwisko Milewski. — Ukłonił się, nie podchodząc, a metry, które ich dzieliły, dobrze odzwierciedlały psychiczny dystans.

Oczywiście nic jej to nie powiedziało: przyglądała się niespodziewanemu gościowi

w jakże znajomym, czujnym, napiętym oczekiwaniu.

— Jestem mężem Anki.

— Atos! — rzekła, w odpowiedzi, jak mógł sądzić, i dlatego nie zrozumiał.

— Słucham?

Ale to nie było do niego: wyjaśnienie spadło mu na piersi rozpędzonym ciężarem, ścięło z nóg, rzuciło na siatkę ogrodzenia, którą przygiął do ziemi, i czuł, jak sprężynuje pod nim, kiedy walczył, szarpał się, próbując oswobodzić ramię z jego zębów.

— Dobrze, Atos, dobrze, załatw dziada!

Stała nad nim z rękami w kieszeniach swojej za dużej kurtki, i choć niewiele w tej sytuacji mógł zauważyć, widział, że jest zupełnie inna niż przed chwilą — pewna siebie, rozluźniona, uśmiecha się;

drugą ręką nie mógł się bronić, bo druty siatki przeszły rękaw płaszcza, więc uwięzła w potrzasku; nie chciał tego, ale nie miał wyjścia.

— Jestem prokuratorem! — krzyknął.

Podziałało. Gwizdnięcie. Odwołała wilczura. Trzyma za obrożę i patrzy, jak Milewski uwalnia rękaw, wstaje, otrzepuje ubranie, ogląda ranę na prawym ramieniu.

— Mam nadzieję, że szczepiony?

— Chyba normalne. — I po chwili, ostro: — Pan pokaże legitymację!

Wyjął i podał lewą ręką, też wzięła lewą, bo prawą w pogotowiu trzymała psa; obejrzała bardzo dokładnie, nim zwróciła.

— Przepraszam, panie prokuratorze, coś mi się musiało przestyszeć. Zrozumiałam, że pan jest mężem mojej córki.

Podwinął rękaw i przyłożył do rany chustkę.

— Dobrze pani zrozumiała.

Chustka szybko nasiąkała krwią, czemu przypatrywała się bez współczucia, i chyba się wahała, czy znów go nie poszczuć. W końcu jednak zapaliła nowego papierosa.

— Chodź pan, nie będziemy gadać w obejściu.

Ciągnąc psa, zawróciła ku drzwiom, co oznaczało zaproszenie do środka. Poszedł za nią, choć wiedział, że to ostatnia chwila, kiedy może się jeszcze wycofać, zostawić nie istniejącą matkę dziewczyny,

której również już nie ma, bo dziesięć lat temu odebrała sobie życie. Wsiąść do samochodu. Wrócić do Anki. Telefonował do niej z trasy, ale nie powiedział, gdzie jest, więc ona myśli, że w biurze; skończyła wtedy obchód i miała faksować do Sandoza w sprawie tego nowego leku.

— Jeśli dziś wyślą pocztą lotniczą, jutro będę mogła podać mu pierwszą dawkę — mówiła szybko, nerwowo, szukając w nim oparcia,

nieświadoma, że słuchawka z jej głosem mija właśnie granice miasta, gdzie mieszkała przez szesnaście lat,

i gdzie nadal mieszka ta, której nie ma i nie było. Jadwiga Bielczyk bez słowa podała mu wodę utlenioną i opatrunki samoprzylepne. Czekala, aż odezwie się pierwszy.

Zrobił unik.

— Przejeżdżałem tędy, a ponieważ nigdy nie miałem okazji pani poznać...

Skrzywiła się, jakby to jej przemywano ranę.

— Nie rozumiem. Jak inteligentny, kulturalny chłopak mógł się ożenić z taką kurwą?

Było to czysto retoryczne pytanie, więc nie czekając, co odpowie, wyszła nagle do drugiego pokoju, może kuchni, nie orientował się w rozkładzie tego dziwaczного domu,

który kojarzył się z teatrem, a jeszcze dokładniej: z teatralną rekwizytornią. Meble ze wszystkich możliwych epok, oleodruki, w teatrze właśnie mogące udawać oryginały, Koszak, Stańczyk, kilka świętych obrazków, rubensowska goła piękność, papież. Wróciła z butelką, trzy czwarte litra jakiejś taniej wódki i dwie szklanki. Jego odmowę skwitowała wzgardliwym wzruszeniem ramion, nalała sobie do połowy, bez skrzywienia wypła.

— Tylko niech mi pan czasem nie mówi „mamusiu”!

Usiadł na krześle wyplatany rogożą, postrzępioną, sterzącą w nieładzie jak rżysko, naprzeciw kobiety, którą doskonale mógł sobie wyobrazić na ławie oskarżonych; Żaneta z policyjnych fotografii dużo bardziej przypominała ją niż Ankę.

— Nie wiem, kiedy straciła pani z nią kontakt. Anka jest dzisiaj lekarzem.

Spojrzała na niego. Przez ciemne szkła bezskutecznie próbował zobaczyć jej oczy.

— Leczy ludzi? — Nalała, wypła i nagle zaczęła się śmiać,

śmiać, śmiać, z wysokiego przystojniachy, który kilkaset kilometrów stąd, w jakimś dużym mieście, posuwa tę sukę i wierzy, że poszła do pierdła za niewinność, bo choć prokurator, od razu widać, że dzieciak.

Czy powiedzieć wielkiemu dzieciakowi, co stało się w tym pokoju piątego maja w 1987? Do śmierci tej daty nie zapomni, bo następnego dnia Anka kończyła szesnastkę, to znaczy szóstego, kiedy dla uczczenia jej urodzin zabili Olka Błaszaka,

a potem jeszcze jedna noc strachu, i koniec, siódmego rano jakiś sierżant zadzwonił do niej do pracy, że córka siedzi

i ma sankcję prokuratora. Piątego, szóstego, siódmego maja — trzy najgorsze daty w jej życiu.

Jaką będzie miał minę głupi, pierdolony inteligenciak, który zgrywa twardego i udaje, że ugryzienie nie boli, kiedy usłyszysz, co stało się jedenaście lat temu? A szesnaście bez jednego dnia po tym,

jak urodziła dziecko mężczyzny, który jeździł kremowym fordem mustangiem, i to wszystko, co o nim wiedziała, bo nie spytała o imię,

gdyż raczej mógł być jej ojcem niż ojcem jej dziecka, więc na początku, gdy zatrzymał się na widok dziewczynki idącej poboczem drogi szybkiego ruchu (wtedy to jeszcze nie była autostrada), zwracała się do niego „proszę pana”, a w kawiarni w dużym, nie znanym mieście (w swym czternastoletnim życiu raz jeden wyjechała z Nadola, na wycieczkę szkolną, nie pamięta dokąd) tak jakoś bezosobowo,

i dopiero, kiedy zjechał w las i rozłożył przedni fotel, nastąpił dialog, w którym pozbyła się zahamowań.

— A chyba ci odjechało! — powiedziała mianowicie, gdy spytał, czy nie nosi jakiejś francy, a dokładniej: gdy głośno wyraził taką nadzieję, bardzo mu dla spokoju ducha potrzebną wobec faktu, że nie miał przy sobie prezerwatyw.

To się zdarzyło w sierpniu, a potem ciągle wystawała przy szosie, licząc, że ponownie będzie tędy przejeżdżał; i spełniło się: z początkiem roku szkolnego znów siedziała w kremowym mustangu,

wysłuchując litanii wyzwisk, aż wreszcie gwałtownie zahamował, wcisnął w dłoń dwa banknoty i kazał wysiąść. Przeszło dziesięć kilometrów wracała piechotą, marząc, by któraś z ciężarówek wpadła na pobocze i zrobiła ze wszystkim porządek, lecz tak się nie stało, więc bezpiecznie dotarła

na dyskotekę, gdzie przez piątek, sobotę, niedzielę rozpuściła oba banknoty i w poniedziałek nie miała za co iść do lekarza. Dopiero dwa miesiące potem starsza siostra powiedziała

jej, że można za darmo, jeśli oświadczy że została zgwałcona; tak zrobiła, ale państwowy doktor uznał że już za późno, i zaczął urodzić dziecko,

po to, by nie mogła skończyć podstawówki, musiała iść do pracy, i żeby im obu było ciężko i beznadziejnie,

a zwłaszcza, od kiedy matka umarła, a siostry powychodziły za mąż i rozjechały się po kraju. Za duży na dwie dom popadał w ruinę, nie szło zadbać o oboje, a jeśli czasem zjawiał się jeden, drugi, trzeci facet, zawsze chlał i robił tu jeszcze gorszy burdel. Była sprzątaczką, kucharką, salową, prócz tego wyprzedawała meble i rzeczy,

ale ludzie z towarzystw dobroczynnych przynosili nowe, więc sprzętów nie ubywało, a wręcz przybywało, podobnie jak starych, znoszonych ubrań, których z Anką miały pełno, więc łażyły jak te dziadówki, wzbudzając litość, co profitowało kolejnymi darami z łachów i rupieci,

a mała od dziecka patrzyła na nie ze wstrętem i nie chciała nosić, i w ogóle ciągle kaprysiła i histeryzowała, na co jedynym lekarstwem była smycz po psie, który zdechł, podobno zabiedzony, a jeszcze lepiej — sznur od żelazka,

to właśnie nim dostała, kiedy rano zjawiła się w skórzanym obcisłym komplecie i włoskich butach, co razem musiało kosztować ze cztery wypłaty Jadwigi Bielczyk, sto dni szorowania kibli i podłóg, a mała zarobiła to w jedną noc,

i wróciwszy poruszała się po chałupie tak, jakby bała się ubrudzić i jakby wszystko tutaj, łącznie z matką, było gównem. Lecz później już jej nie biła, bo pasowało jej, że spotyka się z chłopakiem, którego stary jest bonzą w województwie, i że poszła do liceum i tam nieźle się uczy, a nawet mówi po angielsku;

i właśnie po angielsku darła się na całą ulicę, rozbijając radio, telewizor, szyby i wszystko, co pękając wydawało dźwięk, który wprowadzał ją w euforię, a dwa dni potem podłożyła ogień na strychu; spłonął dach, a gdyby strażacy od razu nie przyjechali, spaliliby się cały budynek.

— To tylko łagodny wstęp — powiedziała patrząc takimi zupełnie odmienionymi oczami; dopiero, jak w gazecie czytała o procesie córki, zrozumiała, że to było od narkotyków. — Finał będzie w moje szesnaste urodziny!

A wtedy Jadźce Bielczyk pierwszy raz przyszło do głowy, że facet z kremowego mustanga mógł rzeczywiście nie mieć imienia, a przynajmniej imienia ludzkiego, i przyjął postać człowieka po to tylko, by ją zapłodnić. I żeby powstała Anka,

która nie miała wtedy bluzki i bez krępacji pokazywała cycki wszystkim trzem, choć tylko Rafał był jej chłopakiem; ale to mu chyba nie przeszkadzało, bo leżał spleciony z nią, jakby zaraz mieli się pieprzyć; bezwstydnie goły w obcym mieszkaniu, bo Anka przynajmniej była w spodniach. A tamci dwaj, których Jadwiga Bielczyk nie знаła, wyglądali na niezłych skurwysynów, ale skurwysynów z forszą, sądząc z ubioru, dwóch motocykli yamaha co stały przed domem, oraz tego niesprecyzowanego zapachu, jaki od nich bił,

a sprzątacze z fabryki mebli kojarzył się z elitą, bo tym pachnieli ci wszyscy od inżyniera wzwyż, i tym pachniał również facet z forda mustanga.

Nie rozumiała, jak możliwe, że mimo to ją okradli, że tacy szmalcowni połasczyli się jeszcze na jej zaszraną parę groszy, które wczoraj dostała — normalną wypłatę plus premię z okazji tego, że fabryka wykonała plan. A może to sama Anka, a tamci o niczym nie wiedzą? Zwłaszcza Rafał który jest ostry rozrabiaka, całe miasto o tym gada, i gdyby nie stary, dawno poszedłby za kraty, ale na pewno nie kradnie; normalne, że Anka, bo od dziecka była złodziejowata — jak tylko gdzie pieniądze leżały luzem, zaraz wypatrzyła i ściągnęła; nie tylko w domu, u obcych też potrafiła albo w sklepie, na co patrzono przez palce, bo brudna zaniedbana, wiadomo: kradnie z głodu,

ale wtedy nie była już zaniedbana i brudna, Rafał obkupił ją w najdroższe ciuchy, woził zagranicznym samochodem i zabierał do eleganckich lokali, i pewnie po drodze do któregoś z nich wpadli na chwilę na Korczyn, kiedy matki nie było w domu,

a gdy wróciła, też mają jej obecność za nic, tak jak nie zwraca się uwagi na szwendającego się kota. Anka jest

bystra i na pewno domyśliła się, że pieniądze leżą pod proszkiem do prania na przygórku; wystarczył jej moment, poszła, ćwiknęła, chłopaków nie musiała wtajemniczać.

— Anka, gdzie jest forsa?

Uniosła głowę z piersi Rafała, na którym leżała i który gładził jej pośladki; naszyta na nich kieszeń była podejrzanie wypchana.

— Żanet, o czym ona gada?

— O tym szmalu — odpowiedziała niechętnie i zaczęła lizać jego piersi.

— O tym? — upewnił się, dotykając przez dzins grubego zwitka i wysuwając kawałek z kieszeni; Anka szybko upchnęła z powrotem. — Mogłabyś, mamuśka, więcej zarabiać. To obciach dawać córce na urodziny takie dziady.

Dwaj nieznajomi z rosnącym zainteresowaniem śledzili zajście i było jasne, komu kibicują.

— Że ja cię głupia nie wyskrobałam — westchnęła.

Anka spokojnie lizała Kulika coraz niżej.

— Bo przepierdoliłaś szmal, a za friko lekarz nie chciał ryzykować.

Cała czwórka roześmiała się.

— Co taka zdziwiona? Nadole, mały grajdoł, tu nic się nie ukryje.

Wiedziała, że jest bez szans, bo nawet policja nie mogła pomóc; ojciec tego, któremu Anka wsuwa język pod slipy, stoi wyżej od komendanta, prokuratora, nawet od Boga wyżej stoi w tym mieście, i cząstka tej potęgi udzielona jest Ance,

która za chwileczkę weźmie w usta, a on pieszczotliwie mówi do niej „Żanet”. Ale im mniej szans, tym więcej niewiści.

— Oddaj moje pieniądze, kurwo!

Odjęła twarz od jego krocza, a potem miękkim, kocim ruchem zeszła z tapczanu; było jasne, że może teraz zrobić wszystko, Rafał i tamci czekali w zadowolonym napięciu, i Jadwiga Bielczyk była przygotowana na najgorsze. Ale nagle rysy Anki złagodniały, a w oczach błysnęły łzy.

— Mamo, nie mów tak do mnie. To był tylko dowcip. Przecież wiesz, że nigdy bym cię nie okradła...

Wyjęła z tej kieszeni na tyłku banknoty i podała matce. Głupi inteligenciaczek uśmiecha się; jak było o lizaniu kutasa, troszkę się krzywił, ale teraz z nawiązką wynagrodziła mu przykrość.

— Może się jednak pan napije, panie prokuratorze? — Kusząco pochyliła szyjkę flaszki nad drugą szklanką; odwróciła szklankę do góry dnem.

— Niesamowite rozchwianie emocjonalne — powiedział cicho. — Typowe dla kokainistów. Bo brała kokę?

— Koke-srokę, nie znam się na tym. Ważne, że nie była taka do końca zła, co nie?

Zawsze myślał, że śmierć

wchodzi przez ciało, i jeśli mąci przy tym umysł, to niejako ubocznie, już w ostatnim stadium, jak w przypadku raka, na co się kiedyś napatrzył,

bo żona umierała długo, wiele miesięcy, i dopiero pod sam koniec straciła przytomność,

choć w zupełnie inny sposób niż Marek, który nie ma gorączki i nie musi dostawać morfiny,

i w ogóle fizycznie jest zdrowy, silny — przecież słaby i chory nie ustałby tyłu godzin na jednej nodze,

więc to jakiś inny gatunek choroby, w której śmierć wchodzi w człowieka przez duszę.

W jej gabinecie od godziny ojciec Bednarczyka. Chudy, zgarbiony, z podkrążonymi oczami. Podpisał zgodę na leczenie chłopaka phelonexem, po czym opowiedział całe życie — pięćdziesięcioletni motorniczy tramwajów, który na skutek przerastających go nieszczęść popadł w religijne rezonerstwo,

do czego — domyśliła się — mógł mieć zresztą schizoidalną predyspozycję, a więc w grę wchodziłby czynnik dziedziczny.

— Pani doktor jest katoliczką?

Skinęła głową.

— I nigdy nie wątpi pani w główne prawdy wiary, nawet w piątą?

Mimo lat spędzonych wśród zakonnic nie znała katechizmu tak na wyrywki.

— Że dusza ludzka jest nieśmiertelna — podpowiedział.

— Jest nieśmiertelna. Wierzę w to.

Nerwowym ruchem wyjął grzebień i przycesał zakola.

— Nawet jak ktoś umrze na taką chorobę jak mój syn?

Nie odpowiedziała od razu; naprzód odpowiedział jej wzrok, i wtedy zrozumiał, że wyrządził młodziutkiej lekarce przykrość,

i chyba w ogóle niepotrzebnie poruszył ten temat, przy kimś innym, a zwłaszcza przy lekarzu ani by śmiał. Ale to dlatego, że ona budzi takie zaufanie, tak zupełnie nie przypomina psychiatrów, których spotykał dotąd, co węszyli u Marka symulację, że niby chce się wykręcić od wojska.

— On nie umrze. Za tydzień, najpóźniej dwa, będzie z panem normalnie rozmawiał.

Choroba żony uczuliła go na czcze pocieszanie, wyostrzyła słuch na każdy fałszywy ton, ale w tym głosie tego nie było; i rzeczywiście Milewska powiedziała to z wewnętrznego przekonania,

także to o piątej prawdzie głównej; bawiła się zapalniczką.

— A duszy, panie Bednarczyk, nie zabija choroba, fizyczna ani psychiczna, to może zrobić tylko człowiek, sam w sobie zgasić.

Dmuchnęła i przez chwilę patrzyła w pustkę po płomieniu.

— Nie wiem, który numer ma ta prawda.

Uśmiechał się tak, jak chłopaczek, którego obsztorcowali, a teraz wybaczą i dają komiks albo batona.

— Może nie ma ludzi do końca złych, pani Bielczyk.

Z kolei ona się uśmiechnęła.

— I pani Bielczyk wtedy tak samo pomyślała, ufnie sięgnęła po banknoty...

...ale Anka cofnęła rękę, rzuciła je Kulikowi, a drugą wyprzewodziła cios, silnie, z precyzją, kantem dłoni w grdykę.

— Straciłam dech, upadłam tu, na ten dywan — dywan był bury, gęsto przepalony papierosami i też z dobroczynnych darów, jak wszystko w tym rozpadającym się domu,

więc i dzinsowa spódnica, którą miała wtedy na sobie, a która przy upadku podwinęła się odsłaniając uda — i tych bandziorów to podrajcowało, bo młode chłopaki są jak koty, a ja miałam dopiero trzydziestkę i byłam, panie prokuratorze, zupełnie niezła laska. Mam mówić dalej?

Nie odpowiedział. Szczegóły nie były ważne, więc po co? Po co znęca się nad jego wyobraźnią? Nie wystarczy, że już wie najgorsze — to, że Anka pozwoliła kumplom, żeby na jej oczach...

— Jest pan w błędzie: to nie tak, że pozwoliła, ona ich nakłoniła, a to chyba drobna różnica, co nie? Mieli chętkę, ale jeszcze się wahali, w końcu gwałt zbiorowy kodeks traktuje jak zbrodnię, dobrze mówię?

Wstała i zamyślona, z rękami w kieszeniach kurtki, chodziła po pokoju, który już ostatecznie wydał się teraz sceną teatru.

— Zna pan określenie „kolejarzyk”? — spytała nagle ostro.

Przytaknął, po czterech latach w prokuraturze nasłuchiwał się, jak oni mówią.

— To tak właśnie do nich powiedziała: zróbcie kurwie kolejarzyka, a kiedy się jeszcze nie mogli zdecydować, rozbiła flaszkę i wrzeszczała, że pochlasta się szkłem, jak tego nie zobaczy. A najgorsze, że wiedziałam, kochany, że ona ten tulipanik szykuje na mnie, i po wszystkim, na fajrant, wbije mi go tam albo poderżnie nim gardło.

Wiedziała, bo zapewniał o tym wzrok córki, który spotykała, patrząc w górę przez ramiona tych, co się kolejno kładli,

więc przyjmując ich w siebie, pod uderzeniami lędźwi, próbowała wyłagać szeptem, by w zamian za uległość, gotowość spełnienia wszystkiego, obronili ją, nie pozwolili Ance tego zrobić.

— Tym skurwysynom zawdzięczam, że mnie nie zaszlachtowała, bo zdążyła uderzyć tylko raz, a potem ją odciągnęli i odebrali stłuczkę; wtedy uspokoiła się i kazała Rafałowi, żeby ją zawiózł na śródmieście do tych Błaszaków.

Jadwiga Bielczyk zdjęła okulary, demonstrując bliznę pod okiem.

— Widzisz, jak twoja pani doktor elegancko leczyła!

A gdy wychodził od niej, w progu ujęła jego rękę i z ostrym, zamasztywym przyklepieniem włożyła mu w dłoń, w pierwszej chwili nie widział co, ale poczuł w palcach papier; takim gestem wręcza się niekiedy banknoty, więc z obrzydzeniem pomyślał, że chce mu zapłacić

za rozdarty płaszcz, obrażenia, do końca upokorzyć. Ale to nie były pieniądze.

Pomyślała o Aurelii, od której po raz pierwszy usłyszała, że można pragnąć zająć w ciąży, „bo do prawdziwej miłości, An-

no, takie pragnienie niezbywalnie należy”. Matka Aurelia o nobliwych rysach Damy z gronostajem, księżniczka i doktor habilitowany biologii, wstąpiła do zakonu po tym, jak mężczyzna, którego dziecko chciała urodzić, umarł na ziarnicę.

Miała dwa wyjścia: nie uwierzyć lub przyznać przed sobą, że jej miłość nie była prawdziwa, skoro dwukrotnie pozbyła się ciąży z Rafałem,

i musiało minąć od tej rozmowy pięć lat, nim podzieliła niespełnione pragnienie Aurelii, a teraz przyjdzie również podzielić los, gdy — jak ona — zostanie sama,

albowiem Janek odejdzie, wypalony, przegrany w wewnętrznej walce, w której nie potrafił obronić przed sobą własnych uczuć. Jak by zareagował, gdyby dzisiaj wieczorem powiedziała, że będą mieli dziecko,

na co czekali razem od początku, a ona ukrywała przed nim, że ginekolodzy nie robią wielkich nadziei, póki to jednak były nadzieje. Czy wymówi wtedy jej imię tak, jak zawsze sobie wyobrażała ich dwoje i tę chwilę, zgadując barwę, ciepło głosu i gestu, którym ją obejmie? Tak byłoby jeszcze trzy dni temu, zanim z akt sądowych poznał prawdę,

że matką jego dziecka będzie kryminalistka, „a co my, Aniu, chciałem powiedzieć: Żaneto, wiemy o dziedziczeniu?”; nad czym sama wielokrotnie się zastanawiała, a nawet dziś, kiedy siedział przed nią w gabinecie ten Bednarczyk, który najpewniej obdarzył syna jakimś genem predysponującym do schizofrenii. Ubierała się, lekarz zdjął rękawiczki,

i już wiedziała, że te wszystkie myśli były jałowe.

— Nie masz miny człowieka sukcesu, Piotr.

Odkręcił kran, myje ręce.

— Wiesz, Anka, jak jest. W swojej branży też masz takich, którym nie pomożesz.

W oknach zasłony — w czerwony wzór, prześcieradła, na jakich leżała po zabiegach.

— Te skrobanki to ci chyba robił pijany rzeźnik.

Mężczyzna, który przed jedenastu laty razem z Kulikiem i Żanetą siedział na ławie oskarżonych, miał dziś mieszczański brzuszek, łysinę i trzy miliony rocznego obrotu, co biło w oczy każdym detalem biura, od mebli po sekretarkę z nogami king size; yamahę, na której przyjechał kiedyś do domu Jadwigi Bielczyk, dawno zastąpił mercedesem — czarnym, vipowskim, z zaciemnionymi szybami, pilnowanym na parkingu przez dwóch osiłków.

Mimo to z respektem przyjrzał się legitymacji Milewskiego i jak gdyby zmniejszył się za swym eleganckim, połyskliwym biurkiem.

— Domyślam się, że to te głupki z Portexu powiadomiły o przestępstwie.

Po jedenastu latach siedział już w innych sprawach, w innym świecie, i jeśli cokolwiek go gryzło, to tylko ten jakiś Portex czy Poltex, któremu zapewne był winien pieniądze. Milewski sięgnął przez blat, odebrał legitymację

i tak już został — ogromną sylwetką wychylony z fotela, jakby prężył się do skoku.

— Gównu obchodzą mnie twoje szwindle! Chcę rozmawiać o śmierci Olka Błaszaka!

Pokraśniały tłuste policzki; w małych, chytrych ślepkach pojawiło się nagle zdumienie. I strach.

— Panie prokuratorze, w tej sprawie już dawno zapadł prawomocny wyrok. Nawet z rejestru skazanych zostałem skreślony.

To sen, halucynacja albo czyjś perfidny dowcip, i gdyby ten facet nie miał dwóch metrów wzrostu i ramion zapaśnika, Pietkiewicz schwyciłby go teraz za kłapy, wdusił, kurwa, w fotel; palec zatrzymał się nad guzikiem alarmu — kiedy naciśnie, za piętnaście sekund przybiegną ochroniarze. Milewski widział palec, guzik i wahanie.

— Nie przyszedłem służbowo, więc możesz mnie wyrzucić, ale jeśli to zrobisz, uprzedzam, że poinformuję o wszyst-

kim twoją rodzinę — o tym, co jest w aktach i czego nie ma, bo gwałt na Bielczykowej uszedł ci bezkarnie! — I po chwili dodał jakby sam do siebie: — Teraz już przed niczym się nie cofnę.

Wzrok mówiącego współgrał z determinacją słów, i Pietkiewicz nie miał wątpliwości, że napisze anonim pełen odrażających szczegółów, które zataił

przed dziewczyną poznaną godzinę po tym, jak opuścił więzienie, i nie rozumiał siebie ani świata wokół; i mówił to wszystko tej, która jechała w tym samym przedziale i miała łagodne brązowe oczy.

— Dlaczego to zrobiłeś? — chciała wiedzieć, a wtedy skłamał, że to stało się w bójce, w głupiej chuligańskiej rozróbie po dyskotecie, a ona uwierzyła, lub zapragnęła uwierzyć, w każdym razie nigdy nie zadawała pytań

mała Mariola, która jest skrzypaczką i uczy w szkole muzycznej i która urodziła mu kapitalnego chłopaka,

co jak równy z równym gada z ojcem o komputerach i giełdzie, choć ma siedem lat, więc, niestety — zrozumie anonim.

Czego chce ta wesz? Pieniądzy? Chyba nie, bo szantażyści nie mają w oczach tego ognia, a poza tym nie przyłożą tak z mety, najpierw dzwonią albo piszą, żeby wy badać grunt. Jakiś maniak, jeśli dotarł nawet do starej Bielczyk i wyciągnął od niej to, z czym bladź wstydziła się iść na policję.

— Widzisz, zgadłem. — Ironia była zabarwiona smutkiem. — Taki jak ty na pewno ożenił się z porządną kobietą, która wie tylko to, co ci było wygodnie powiedzieć, bo coś jednak musiało, w takim miasteczku wszystkiego się nie ukryje. — Wielkie dłonie wpadały w jakiś amok; pochwytyły metalowy długopis Pietkiewicza, tak że pękł w nich jak zapałka. — W przeciwieństwie do niej przez trzy lata małżeństwa nie wiedziałem nic. Wasza Żanet nie wykrztusiła nawet cząstki prawdy!

Ten dryblas był sam jak pogruchotany długopis.

— Pan jest mężem Zanety? Spotkałem ją rok temu... na targach aparatury medycznej, kupowała MNR dla szpitala. Jest lekarką, zgadza się?

Przed więzieniem, gdy pił i ćpał, zdarzało mu się mieć wspomnienia, które później okazywały się snem, i dlatego chwilami nie był pewien, czy nie przyśniło się również to spotkanie

w wielkiej jak dworzec hali wystawowej, gdzie wśród wie-
lojęzycznego tłoku i zgiełku poczuł nagle, że jest obserwowany, dokładnie tak, jak bohaterowie powieści czują na sobie spojrzenie wroga i w ostatniej chwili się odwracają; więc i on się odwrócił, i zobaczył dziewczynę, której nie znał, a zatem nie rozumiał, czemu tak dziwnie się w niego wpatruje,

a w tym spojrzeniu jest strach, oskarżenie i pytanie o coś, i pewnie zaraz zadzwoni na policję, bo trzyma w dłoni telefon komórkowy,

więc jeśli pomyliła go z kimś, kto ją napadł, zgwałcił, obrabował, lepiej wmieszać się w tłum, by uniknąć idiotycznych wyjaśnień, tym bardziej — Pietkiewicz poczuł mrowienie w krzyżu — że w czasach przed więzieniem mógł po pro-
chach rzeczywiście coś zrobić i nie pamiętać.

Ale dziewczyna schowała telefon do kieszeni dzinsowego płaszcza i z wahaniem podeszła.

— Nie poznajesz mnie — powiedziała, a było to stwierdzenie, nie pytanie, i wtedy bez przekonania rzucił jedyne imię, które — choć bardzo słabo — kojarzyło się z tą twarzą.

— Nie nazywaj mnie tak — poprosiła cicho. — Mam prawdziwe imię, nie pamiętasz?

I po tych słowach napięcie w oczach opadło i spojrzała na niego tak, jakby kamera zmieniała plan filmowania z bli-
skiego na pełny.

— Ty też się zmieniłeś. Widzę to! — Uśmiechnęła się, jakby gratulując sukcesu, a było jasne, że nie ma na myśli

zewnątrznych zmian.

Poczuł się zmieszany, więc odwrócił wzrok, udając, że przygląda się grupie Hindusów, którzy obiegli stoisko Siemens,

a wtedy nagle objęła go i pocałowała w policzek.

— Modliłam się, żeby choć jeden z was zawrócił z tej drogi! — I natychmiast, hamując uniesienie, zapaliła papierosa, a zgorzony wzrok Hindusów powiedział jej, że tu absolutnie nie wolno, nie przystoi, co pięć metrów tabliczka z zakazem.

— Chodźmy na zewnątrz! — Pociągnęła go za rękę i czuł się, jak gdyby w dosłownym znaczeniu pokazywała mu drogę.

Spytał, jak długo siedziała, bo były od tego czasu dwie amnestie, jemu zmniejszono o połowę, ale nie chciała o tych rzeczach mówić.

— Nie ma sensu, żebym ci opowiadała swoje życie. Dane mi było poznać kilku mądrych, wspaniałych ludzi — wszystko.

Więc zacieśniając temat rozmowy na wzór wydzielonych dla palaczy dwóch metrów kwadratowych przed budynkiem, mówili już tylko o tych targach, gdzie handlował dializatorami, a ona chciała kupić aparaturę do rezonansu magnetycznego.

— Jesteś zaopatrzeniowcem? — spytał,

co i tak dla dziewczyny z ulicy Dubois byłoby sporym awansem, więc kiedy odpowiedziała, pomyślał w pierwszej chwili, że się przesłyszał.

— Tak. Jest lekarzem psychiatrą — rzekł Milewski, pozornie beznamiętnie, jakby tylko potwierdzał fakt. — A ty masz firmę handlową, i co? Według was, to przekreśla przeszłość?

W tej samej starej, secesyjnej kamienicy, gdzie przyjmował ginekolog, mieścił się na dole mały sklep z witryną od ciemnego podwórza, przez które szła kierując się do bramy

będącej wyjściem donikąd, w odpychający labirynt miasta, więc żeby opóźnić moment, odruchowo przystanęła, patrząc

na miniatury piramid, klepsydry, zegary słoneczne, zaskoczona, że ktoś czymś takim handluje i widocznie mu się opłaca,

a zatem w tych dziwacznych przedmiotach jest jakiś sens i mają swe miejsce w pewnym porządku, przynajmniej ekonomicznym,

czego zazdrościła w tej chwili zegarom słonecznym, piramidom, klepsydom, aż nagle

jej uwagę przykuło urządzenie zbudowane z siedmiu kul, na wysięgnikach z drutu zamocowanych do wspólnej osi, dookoła której krążyły, najwyraźniej odwzorowując układ planetarny. Weszła do sklepu.

— Czy to się tak bez przerwy kręci?

Sprzedawca miał dwadzieścia kilka lat, anemiczną cerę i oczy jak Franz Kafka.

— Wystarczy raz wprawić w ruch, a potem już samo...

— W szkole uczyli, że nie ma perpetuum mobile — zauważyła.

Chłopak postawił urządzenie na ladzie, trącił palcem jedną z kul, a wtenczas cała siódemka równo i płynnie jęła krążyć, z cichym spokojem gwarantującym nieustanność.

— Kocha pan kogoś? — spytała Anka, śledząc kule.

Uśmiechnęły się smutno ciemne oczy.

— Niech pan spróbuje sobie wyobrazić: siebie i tę dziewczynę, takich pomniejszych, jak leżycie na powierzchni którejś z nich i wirujecie, wirujecie we dwoje aż do końca czasu; bo mówił pan, że to się nigdy nie zatrzyma...

— Czytałem coś podobnego. To z jakiejś amerykańskiej powieści.

Podniosła roztargniony wzrok.

— Styron. Jedyna dobra książka w więziennej bibliotece. Ile płacę?

Zdziwiło go, że taka dziewczyna mogła być w więzieniu, ale nie pytał o nic, zapakował, zainkasował należność i przez resztę dnia zazdrościł temu, z kim pragnęła wiecznie wirować.

— Naprawdę chcesz wszystko wiedzieć? — spytał Pietkiewicz w samochodzie Milewskiego, do którego wsiadł odprowadzany zdziwionym spojrzeniem ochroniarzy parkingu. — Po co? Jeśli chcesz się z nią rozwieść, wystarczy to, co masz w aktach.

— W aktach jest gówno! — Milewski ostrym, zdecydowanym ruchem wrzucił bieg, a Pietkiewicz nie mógł wiedzieć, że za tymi słowami, za przekleństwem, warknięciem tak naprawdę kryje się nadzieja,

z którą przyjechał do tego miasta i nie stracił do końca nawet po rozmowie z Bielczykową,

ponieważ jako prawnik widział jak na dłoni, że ten proces sprzed jedenastu lat był farsą,

bo nie ustalono ani motywów, ani roli — a co za tym idzie stopnia winy — poszczególnych sprawców, a nawet nie pofatygowano się, by precyzyjnie odtworzyć sam przebieg zbrodni,

i stąd taki fakt jak nagrywanie przez morderców kasety wyszedł na jaw dopiero teraz, w pośredniej relacji Filipiaka. Nosiło to wszelkie znamiona świadomego zaniechania ze strony sądu i prokuratora; widać policja polityczna poradziła, by nie grzebać za głęboko w tym szambie, tylko szybko wydać jak najniższe wyroki, bo jakieś zapaść musiały, skoro zbrodnia zbulwersowała społeczeństwo.

Były więc chaotyczne zeznania, beładnie rozrzucone informacje, których nikt nie starał się logicznie łączyć, i z nich mogło wynikać wszystko, a zatem i to, że Kulik zamordował Olka Błaszaka z zazdrości o Żanetę, kiedy zobaczył ich razem na strychu,

jej udział zaś sprowadzał się do biernego asystowania i co najwyżej późniejszej pomocy w ukryciu zwłok; w ten sposób się zresztą broniła i trudno właściwie zrozumieć, dlaczego sąd nie dał wiary, skoro nie dysponował — bo nie chciał dysponować — żadnym dowodem, że było inaczej.

I tak wiemy, co z ciebie za ptaszek — zdawał się mówić prokurator i sędzia — Więc nie gadaj tyle i ciesz się, że przez wzgląd na starego Kulika nie możemy ci dać więcej niż osiem lat. Farsa, farsa, ponura farsa.

A zarazem okrucuch nadziei.

— To ten dom! — Pietkiewicz wskazał rozpadającą się rudereę, która stała za drzewami i zasiekami z krzaków, pokrytych wysypką drobnego jak kasza kwiecica, oddzielona przez ten park czy skwer od ulicy, wycofana kilkadziesiąt metrów z życia miasta. — Już mieli rozebrać, ale nagle zjawił się dawny właściciel i teraz procesuje się z magistratem; skręć za tym płotkiem, tam powinien być wjazd.

Ale wąska droga między fragmentami zwalonego parkanu okazała się ślepa; chaszczce i gruz broniły tego miejsca przed samochodami, pieszy zaś — jeśli nie był policjantem, gangsterem czy innym szczęśliwym posiadaczem pistoletu — wzdrażałby się zapuszczać tam, gdzie w najlepszym razie koczują włóczędzy; i rzeczywiście w krzakach, ceglach, trawie były ich legowiska ze szmat, puste butelki, stare strzykawki, kondomy, po których w butach z krokodyla stapał Pietkiewicz, i Milewski widział, że jak własną kieszeń w ciemnym, wytworonym płaszczu za kilka tysięcy zna to miejsce,

ten dom, czerep domu z czerwonej cegły, dwupiętrowy, ze szczątkami drewnianej mansardowej nadbudówki, z za której dawno nie istniejących okien i drzwi zionie cuchnąca ciemność. I to była prawda, znał je doskonale

z czasów, kiedy nosił skórzaną, połyskliwie ćwiekowaną kurtkę i dosiadał motoru, którego ryk podrywał nocą z łóżek wylęknionych *bourgeois*. Bywał tam,

nie wszystko bowiem działo się wyłącznie w półmroku buzujących dyskotek i knajp, i były pewne sprawy wymagające mroku totalnego oraz odludnej ciszy,

wiadome tylko jemu, Kulikowi, Żanecie i kilku innym, nielicznym, lecz na pewno nie konfidentom policji, od któ-

rych roilo się na parkietach i przy barach, a nawet wlekli się za człowiekiem do kibla,

i jedynie tu nie docierali, za te chaszczce, na te zmurszałe schody, gdzie w każdym stopniu szpara idealna na skrytkę, a na piętrach dziesiątki cegieł dających się wysunąć,

i gdzie słowa również były bezpieczne, bo w wilgoci i pleśni szlag trafiał każdy podsłuch. Dlatego kochał to miejsce w młodzieńczym zauroczeniu zabawą w policjantów i złodziei, aż do dnia, kiedy Kulik kazał przekroczyć granice zabawy — i odtąd był już tu tylko raz,

podczas wizji lokalnej, a później starał się nawet nie przejeżdżać w pobliżu, i dopiero po jedenastu latach zmusił go ten pieprzony desperado,

więc stoją we dwóch na strychu, którego podłoga ugina się pod nimi i za chwilę się zarwie, kończąc cały koszmar. Ale deski okazały się silniejsze od nerwów Pietkiewicza.

— Tu była pionowa belka, taki wspornik, już go nie ma, i to właśnie do niej... — Spojrzał na Milewskiego, który przecież to akurat musiał wiedzieć z akt, więc po chuj? po chuj, człowieku, każesz opowiadać na głos po jedenastu latach, gdy wszystko się dawno zmieniło, i tylko ciągle jest ten strych, uboższy jedynie o belkę,

do której wtedy przykuli go kajdankami, a Kulik miał pomysł, żeby przybić mu dłonie, skoro śpiewa w chórze kościelnym i podobno był ministrantem. I gdyby mieli gwoździe, na pewno by tak zrobili, bo wpadli w trans, czego ten jej mąż nie rozumie,

i nie rozumie dzisiaj sam Pietkiewicz, mimo że pamięta precyzyjnie, fotograficznie każdy szczegół, poza jednym: dlaczego właściwie wydali na tego chłopaka wyrok, chyba obraził Rafała gdzieś w kawiarni. A wszystko inne wyświetla się perfekcyjnie jak film, klatka po klatce, a w centrum kadru Żaneta

w postrzępionych dżinsowych szortach, której opalone nogi jeszcze przed chwilą pieścił Olek, były bowiem przynętą,

na którą go tu zwabiła; Żaneta z magnetofonem, prezentem urodzinowym od Kulika, a wcześniej, gdy wychodzili razem ze szkoły, Olek kupił jej kasetę ze starymi kawałkami Santany,

więc umierał przy *Sambie Pa Ti*.

— Ogarniasz to, człowieku? Szedł tu, żeby ją wykotłować, bo mu to wyraźnie dała do zrozumienia.

Miał osiemnaście lat, a ona była ta wyśniona-wymarzona, więc czuł, że otwiera się nowy rozdział,

a zamiast tego był koniec, i on zrozumiał od razu, że to nie zwykły wycisk, tylko chcemy go zatłuc na śmierć. Ale nie wzywał pomocy, nie błagał, ani razu nie wrzasnął; chciał być bohaterem, męczennikiem, dowalić nam swoją godnością, zwłaszcza jej... kurwa, żebyś ty widział, jakim wzrokiem się na nią patrzył!

Ja tego w sądzie nie mówiłem, ale do dziś pamiętam, kto ile razy uderzył, i to bzdura, co wykazała sekcja, że miał dziewięć ran zadanych ostrokrawędziastym narzędziem, bo sam dwanaście razy przypierdoliłem saperką, wiesz, takim wojskowym szpadlem, a przyjęliśmy zasadę, że wszyscy bijemy po kolei, żeby była równa odpowiedzialność i nikt nie mógł zakapować.

— Żaneta też? Przed sądem zgodnie zeznaliście, że nie tknęła go palcem. Kulik tak wam kazał mówić, zgadza się?

Znowu poczuł, jak podłoga się ugina. Milczał, choć tym razem Rafał był daleko i mógł mu naskoczyć. Coś większego niż tamten strach przed Kulikiem zamykało mu usta teraz; przypomniał sobie dziewczynę z targów, która poznała kilku mądrych, wspaniałych ludzi, a prawdopodobnie jednym z nich był ten facet, co go zawłókl tutaj i przesłuchuje,

a gdyby miał pod ręką taki guzik, że naciśniesz — i cały świat finisz, na pewno by to zrobił, wgniółł do dechy, to wзира mu z oczu.

— A według mnie — powiedział Milewski dziwnie spo-

kojnie — ona brała w katowaniu czynny udział. W jednej ręce saperka, w drugiej mikrofon, mam rację?

— Skąd wiesz o mikrofonie? — spytały małe, zażawione oczka, i było jasne, że zgadł,

choć to złe słowo, bo zgadywać można, kiedy się nie ma żadnych przesłanek, tu zaś było, niestety, wnioskowanie — proste, oparte na elementarnej znajomości psychologii. Lub psychopatologii.

— Tak, był już w agonii, kiedy przystawiła mu do ust mikrofon i kazała mówić, co do niej czuje po tym wszystkim.,

ale on nie mógł nic powiedzieć, tylko z gardła dobywał mu się taki mechaniczny dźwięk, jakby skrzypiały zawiasy, jakies drzwi, przez które człowiek wypierdala na tamtą stronę.

I to Kulika rozbawiło, więc stanął przed nim i przedrzeźniał.

— Jak myślisz, Żanet, w chórze u czarnych też tak śpiewał?

A wtedy ona nagle wyjęła z ręki Koczbrowskiego saperkę i krzyknęła, żeby się zamknął i nie profanował śmierci, i Rafał chyba na serio się przestraszył, że go uderzy, w każdym razie ucichł i na wszelki wypadek cofnął się pod ścianę.

— Chciałeś się ze mną kochać, ale to połączy nas silniej! — powiedziała do Olka; uroczyście, z natchnieniem, jakby recytowała wiersz na akademii.

I dobiła go dwoma uderzeniami, o tu, w kręgi szyjne. Tak, ona, nie żaden z nas. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Abonent czasowo niedostępny, informował automat o czternastej, czternastej trzydzięci, piętnastej, bo telefonowała co pół godziny, i były to magiczne ofiary z czasu składane nadziei,

a przeciw lękowi, co z nieodpartą bezwzględnością brał górę po trzecim sygnale, gdy słyszała to zdanie, które mogło oznaczać wszystko (kobieta używająca maszynie gło-

su hiperpoprawnie, jak na egzaminie do szkoły aktorskiej, wymawiała „ę”), okolicznik czasowo zaś był pustym, bez pokrycia pocieszeniem, zerem, co nie uchyla znaku równości,

a ten w wyobraźni Anki stał między słowem niedostępny a wszystkimi słowami mroku; przecież wtedy również — pijany, odurzony lekami — wyłączył telefon.

Jeśli w czymkolwiek pokładała nadzieję, to tylko w nieprawdziwej, obcej jego naturze odporności, którą, świadomy takiej potrzeby, przez lata w sobie wypracował;

także przez sport: ma w pamięci ćwierćfinał Pucharu Polski, bo była na wszystkich meczach, które grał AZS, drużyna Janka, ich drużyna, i wszystkie pamięta,

gdzie wylosowali czołowy klub ekstraklasy, oni liga okręgowa, u tamtych czterech reprezentantów kraju, różnica kilku poziomów, pierwszy set przegrany z kretesem,

i Janek, widziała to z trybuny jak w zbliżeniu przez teleobiektyw, miał twarz człowieka, który zмага się ze znoszącym go prądem,

zмага się, nie poddaje i osiąga brzeg, a w ślad za nim z topieli wydobywa się pozostałych pięciu. I w następnych setach walka jest już wyrównana, choć ostatecznie przegrywają 2:3;

więc — w dramatycznej analogii — znowu mu kibicuje, w swoim gabinecie, próbując mimo wszystko zrozumieć artykuł o hipokinezie, bo mimo wszystko jest Bednarczyk, ni czemu nie winien, któremu musi pomóc;

nieobecnemu, niedostępnemu kibicuje w meczu z przeciwnikiem silniejszym niż wszystkie kluby świata; z wiarą, że jak wtedy po pięciominutowej przerwie wrócił na parkiet samoodmieniony, oprzytomniały po ciosie, tak i teraz wytrenowana przez lata woła pomoże mu odzyskać równowagę,

i przegrana nie będzie do zera,

do wódki, luminalu, straty panowania nad kierownicą.

O 16.30 zadzwoniła znowu, z taksówki, bo dzisiaj nie zostawił jej auta, nie rozumiała dlaczego, ale to pasowało do wszystkich innych zmian, i wtedy odebrał.

— Jadę samochodem. — Ale nie powiedział skąd i dokąd, więc wyrwana z kontekstu jazda miała coś z absurdu.

A i jemu jeszcze przed godziną wydawało się niedorzecznością, że z tego miasta, gdzie ostatecznie spełniła się rozpacz, jest jakiś powrót, dwieście kilometrów do przejechania autostradą, a potem zygzakowatą jednopasmówką stromo w dół, cały czas w dół.

Anka pyta, czemu nie odbierał telefonu, a on z koszmarnego szczytu zjeżdża w wyciszenie, miękkie jak zagłówek fotela, możliwe, kiedy nie ma już złudzeń, więc rozluźnione ramiona pewnie panują nad kierownicą, i coraz szybciej, 110, 120, 140 na godzinę, zbliża się decyzja.

— Będę w domu trochę później, dopiero wyszłam od Stradomskiego — powiedziała, lecz nazwisko ginekologa, do niedawna symbol ich nadziei, zabrzmiało Milewskiemu obco, jak coś z odległej, wykreślonej już przeszłości.

— Nie szkodzi, też się spóźnię. — I po chwili: — Do zobaczenia w domu.

— Uważaj na siebie — zdążyła powiedzieć.

Ich mieszkanie zajmowało całe pierwsze piętro wolno stojącego domu, zbudowanego jeszcze przed wojną, tak jak ta cała dzielnica, jedna z najlepszych w mieście, gdzie cena metra kwadratowego przyprawia o zawrót głowy i wzbudza zawistną irytację ludzi przeciętnie zarabiających, których zresztą w promieniu kilometra nie ma;

tak jak nie byłoby tu Milewskich, bo prokuratora i młodej lekarki nie stać przecież na sąsiedztwo światowej sławy dyrygenta i przedstawiciela koncernu Grundiga, na ogród ze starodrzewiem za oknem oraz olbrzymi taras nad nim, dopełniający powierzchnię do równych dwustu metrów. To

mieszkanie kupił im ojciec Janka, bogaty przemysławiec, który wobec ludzi, a kobiet zwłaszcza, pozbawiony był wszelkich złudzeń i wierzył — bo cynizm to także przecież rodzaj wiary — że lepiej dobrowolnie płacić, niż żeby miały okradać, „co zresztą niestety się nie wyklucza” — mawiał do Janka z sardonicznym uśmieszkiem.

Jedna Anka była dla teścia wyjątkiem, co podkreślał przy każdym spotkaniu, a w szczególności, kiedy wypił; „po tobie, mysza, nie obraż się, trochę widać, że nie jesteś z wielkiego miasta, ale mimo to, a może właśnie dlatego, masz, cholera, tę klasę! Jako kobieta i jako człowiek! No co się, Jasiu, tak dziwisz? Kobieta, choć bardzo rzadko, bywa człowiekiem, *for example* twoja żona”.

Jankowi brakowało tej prawdziwej, naturalnej twardości, jaka cechowała ojca; zastanawiała się, jak stary wyga zareagowałby na ich obecny dramat, co doradzałby synowi. Ale były to czcze rozważania, bo Janek nie zwierza się, a zwłaszcza jemu,

facetowi po pięćdziesiątce, który ubiera się jak dyskotekowy szpaner, nosi gruby sygnet, dmucha licealistki i stanowi, zawsze stanowił, dla syna negatywny wzór męskości oraz męskości;

i który razem z nimi, hojny szafarz, uśmiechnięty dobrodusznie złoty król ze złotym sygnetem, przekroczył po raz pierwszy próg tego mieszkania,

spodziewając się, oczywiście, że rasowa samiczka — jak ją nazywał, a był to w jego ustach komplement — zacznie natychmiast obiegać kąty i z ożywieniem węszyć po swym nowym gnieździe.

A tymczasem ta dziewczyna, jego synowa, miała puste, nieprzytomne oczy, jakie u człowieka widział przedtem tylko raz, wiele lat temu; ten człowiek stał obok w autobusie, nieobecny, zapatrzony w niewidzialną grozę, i nagle upadł na podłogę w drgawkach.

— Źle się czujesz, mysza?

Zaprzeczyła ze sztucznym, zdawkowym uśmiechem. I rzeczywiście — to był atak, uderzenie frontem, gdyż w jednej chwili całe jej życie, to odbudowane, siedem ostatnich lat, nabrało nowego, odrażającego sensu,

bo wszystko, co robiła, da się odtąd sprowadzić do jakiejś oślizgłej przebiegłości, dzięki której nie tylko uniknęła kary, ale jeszcze wyrwała od losu sutą premię. Chciała krzyknąć, że tak nie jest, wcale bowiem nie pragnie tych stu iluś tam metrów z tarasem, ogrodem i *high lifem* przez sufit i podłogę, aż nagle — i to był właśnie ten moment, gdy teść spytał, jak się czuje — uświadomiła sobie, że to jest tylko pół prawdy, a dopełnieniem

jest w niej plebejska admiracja dostatku, po prostu szmalu i wszystkiego, co za szmal, i to imponuje jej dzisiaj nie mniej niż wtedy,

trzynastolatce ze slumsów na Dubois, małej kurewce na motorze Kulika, która łąpczywie obejmowała jego tors, opięty kurtką, znaną jej przedtem wyłącznie z amerykańskich filmów.

— Nie możesz przestać kochać kogoś tylko dlatego, że jest zamożny. — To matka Aurelia, jej rady, jej spokój, czysty i zimny jak świeży śnieg; przyjechała do sióstr samochodem Janka, teraz także jej samochodem, żeby zabrać rzeczy, choć mieściły się w jednej walizce, i to tylko Janek niemal siłą wcisnął w dłoń kluczyki, bo chciała jak zawsze elektrycznym podmiejskim pociągiem, którym przez pięć lat codziennie dojeżdżała na zajęcia w Akademii Medycznej, półtorej godziny w porze szczytu, niewyobrażalnego tłoku, o miejscu siedzącym nie było co marzyć; nauczyła się spać na stojąco, obudzona o czwartej rano, zmęczona myciem podłóg, przygotowaniem śniadania, uzupełniać kilka godzin snu

przerywanego ciągłym wstawaniem do tych, a była to większość, którzy nie kontrolowali potrzeb fizjologicznych

w nocy, a przecież nie mogli mieć odparzeń. Więc jaki problem teraz tak samo, z niewielką walizką, ale on był innego zdania,

i dlatego stoi na podjeździe fiat cinquecento, podziwiany przez Słonika, pana Leona i innych dawnych podopiecznych, nieufnym spojrzeniem obrzucany przez siostry.

— A zresztą o wiele ważniejsze wyzwania stawia przed tobą małżeństwo. Wiedziałaś o tym, podejmując decyzję.

Miała na myśli, jak to określiła, imperatyw prawdy, surowe stanowisko przeoryszy nie zmieniło się od pierwszej rozmowy na ten temat,

gdy wysiadła z samochodu Janka przed zakrętem, by jak zwykle iść do bramy pieszo, a on, oczywiście, rozumiał ten kamuflaż jako strach przed zamknięciem w ciemnicy, głód, pokutą na klęczkach i podobnymi karami, wedle jego wyobrażeń, grożącymi Ance, gdyby zakonnice odkryły, że spotyka się z mężczyzną; kamuflowała się, bo mimo że była już z nim w bungalowie nad jeziorem, nadal nie zdobyła się na rozmowę z matką Aurelią.

— A ze sobą rozmawiałaś? — Pół godziny później przechadzały się we dwie tą samą drogą ze śladami opon cinquecento; przeorysza lubiła spacerować w letnie wieczory i dlatego widziała ich pożegnanie i pocałunek. — Czy on wie? — spytała patrząc na koleiny; był dla niej kimś bezimiennym, człowiekiem, mężczyzną, którego samochód naruszył codzienną pustkę i ciszę prawie nie uczęszczanej drogi do domu sióstr albertynek. — Anno, przez siedem lat, które u nas spędziłaś, nigdy, jak wiesz, nie przypominałam ci twojej przeszłości. Ale chyba zdajesz sobie sprawę — w głosie matki Aurelii pojawił się ów rodzaj stanowczości charakterystyczny dla ludzi z natury delikatnych i trochę nieśmiałych — że nie jesteś zwyczajną dziewczyną, której przed ślubem wystarczy pójść do konfesjonału.

A jednak jak zwyczajna dziewczyna wyszła za mąż i przy-

jechała po swoje rzeczy, głównie książki, bo starych ubrań nie potrzebowała, miała nowe,
samochód i bogatego teścia.

— Mówię ci po raz ostatni i nigdy już nie będę do tego wracała: ukrywając prawdę, nie tylko postępujesz niegodziwie, lecz także bierzesz na siebie krzyż! Krzyż codziennego lęku, że on jednak się dowie, nawet przez zwykły przypadek, jako prokurator ma przecież dostęp do akt.

Ręce Anki drżały, gdy wkładała walizkę do bagażnika.

— W porównaniu z tym, dziecko, etyczny problem, jaki widzisz w swoim materialnym awansie, jest czymś doprawdy trzeciorzędnym.

Lecz nie miała matka Aurelia racji — to wszystko było jedną, i łącznie przerażało, gdy patrząc na siebie oczami innych, a zwłaszcza męża, swoją niezdolność do konfesji postrzegała jako godną pogardy premedytację,

cwaniactwo kryminalistki, która wie, że z chwilą kiedy prawda wyjdzie na jaw, straci to, co zyskała na zatajeniu; im dłużej go okłamuje, tym bardziej Janek będzie w prawie tak pomyśleć, tak ją osądzić.

Jego obecność potrafiła na długie godziny oddalać lęk, gdyż wprowadzała w rodzaj transu, pod którego gwarancją trwał bezczas i istniało eksterytorialne bezmiejsce, nieomal doskonale wyrwanie z groźnych kontekstów, odpłynięcie od nich o lata świetlne,

kiedy mu się oddawała ciałem i duszą, wiem, to trywialna zbitka, ale ja, matko Aurelio, doznaję właśnie takiego oddawania i takiego brania mnie, i jak zwykle, także w tym liście, wplotła motyw łaski, więc przeorysza nie była pewna, o czyją łaskę chodzi: Boga czy mężczyzny.

Ale wystarczyło trochę samotności wśród kosztownych tapet i stylowych mebli odziedziczonych po dziadkach Janka — bo ta rodzina od pokoleń miała duże pieniądze, fabryki, majątki

ziemskie, kamienice po wojnie utracone, a teraz przez teścia przemysłnie odzyskiwane, także pośrednio dla niej — i natichmiastr z całą mocą

powtarzał się ten napadowy stan, którego doznała na pierwszy widok, kiedy Milewski senior dumnym gestem otworzył skomplikowane zamki i kurtuazyjnie przepuścił ją w drzwiach;

była sową w paraliżującym dziennym świetle, wystraszoonym kretem, którego wygrzebano z ziemi,

bo przez siedem lat ukrywała się w półmroku, w kącie sali z sześcioma żelaznymi łózkami, gdzie to jedno, za parawanem, razem z białą szafką z blachy należało do niej; ona tu,

Zaneta na cmentarzu, w grobie, który własnoręcznie usypała; tak i tylko tak mogło być bezpiecznie, tak — i tylko tak — wolno jej było trwać;

nie przeczekać, bo to słowo implikuje perspektywę, a nie miała perspektywy, ani celu, lecz właśnie samym trwaniem musiała się obejść, trwaniem mającym za jedyną rację i sankcję to, że jest potrzebna

tak samo jak ona trwającym tutaj, lecz o wiele bardziej bezradnym, Słonikowi, panu Leonowi, małej Kasi, co urodziła się bez rąk.

Bez matki Aurelii wiedziała, że nie jest zwyczajną dziewczyną i że opuszczając dom albertynek bierze na siebie krzyż. Bezwiednie dotknęła palcem jednej z kulek; układ planetarny zaczął się obracać. Stał na biurku w gabinecie Janka, rzucając w półmroku na ściany wirujący cień,

aż nagle zapaliło się światło, ocknęła się, zaskoczona, że wszedł tak cicho; stał w drzwiach, nie zdejmując płaszcza, patrzył na jej plecy zgarbione nad biurkiem, i pomyślał w pierwszej chwili, że się zdrzemnęła, póki na blacie, między papierami, nie dostrzegł dziwnego przedmiotu, gadżetu; to nie była

drzemka, lecz zastygnięcie, hipnotyzowała się, śledząc monotony ruch kulek i drutów,

a potem odwróciła się, chciała wstać z krzesła, ale powstrzymał ją jego wzrok i przedłużające się milczenie, bo nie spytał o wizytę u lekarza,

nie wyjaśnił, gdzie był,
nawet się nie przywitał;

ręka wolno wysuwała się z kieszeni i przebiegło jej przez myśl, że wyciąga broń i że to będzie dobre rozwiązanie, ulga, koniec, byle tylko drugiego naboju nie przeznaczyl dla siebie.

— Co się stało?

Ale nie odpowiedział, skąd opatrunek i zwisający w strzępach rękaw płaszcza; zamiast pistoletu trzymał kartkę, prostokąt kratkowanego papieru, pokryty infantylnym dziewczęcym pismem, jak gdyby wyrwany z zeszytu uczennicy.

Zobaczyła, że drży mu podbródek, żuchwa porusza się nerwowo, gdy przewycięża szczękościsk,

i pierwsze słowa brzmią niewyraźnie, nie może zrozumieć, tak jakby mówił do niej człowiek, co zszedł z fotela po ekstrakcji zębów. Starał się nie patrzeć na nią, tylko na ten list,

i równe, wykaligrafowane linijki były jak zasieki z drutu, które ich rozdzielały.

— Kochana Mamo! Piszę do Ciebie z za kraty, a serce wypełnia mi ból i smutek, że byłam taką złą córką. Ale to się zmieni. Przysięgam Ci, Mamo, że kiedy stąd wyjdę, już nigdy nie będę piła alkoholu ani brała narkotyków. Rozluźnił się. Na twarzy ironia, ironia w głosie.

— Tylko załatw mi dobrego adwokata, bo inaczej dostanę duży wyrok. Może wujko Marian pożyczyc Ci pieniędzy. A w razie co sprzedaj dom, bo chyba nie chcesz, żeby Twoje jedyne dziecko zgniło w kryminale. Mamo, ja już nie będę piła ani ćpała, ale błagam, pomóż mi, ratuj swoją biedną córeczkę!

Rośnie pewność siebie, gdy ona nie przerywa, nie broni

się choćby jednym słowem, zatem ironii coraz więcej, nawet się uśmiechnął.

— Pamiętasz? Teraz będzie najlepsze. A za to, co się stało u nas w domu, na kolanach Cię przepraszam. Nie wiedziałam, co robię, bo byłam na prochach. Strasznie się martwię, żeby ci kumple Rafała na wolności nie zrobili krzywdy. Tego bym chyba nie przeżyła, bo tylko Ciebie mam na tym świecie. Więc proszę, nie narażaj się Rafałowi i nie idź z tym na policję. Kocham Cię. Twoja nieszczęśliwa Anka.

I dopiero gdy czytając podpis, wymówił jej imię, trochę tak, jakby się do niej zwracał, wraz z imieniem nadpłynęło na chwilę wszystko, co w nim było zakłęte, i zawahał się, bo jeszcze mógł zmienić zamiar,

ale siłą woli przezwyciężył się, wytrzymał ból, położył list na biurku.

— Opowiedz mi o niej — poprosiła, bo w tym momencie najważniejsze było to, że po raz pierwszy od jedenastu lat

ma z matką chociaż pośredni kontakt; Janek wraca stamtąd, gdzie sama nie miała odwagi pojechać, to zresztą było coś więcej niż proste tchórzostwo, bardziej świadomość, że każda próba powrotu, wszelka prośba o przebaczenie będzie równie żalсна i parszywa, jak ten list z aresztu śledczego, i jak on pozostanie bez odpowiedzi,

pomiędzy ludźmi stoją bowiem nieprzekraczalne granice przebaczenia, tak powiedziała kiedyś matce Aurelii, a poza nimi można już tylko zdać się na pośrednictwo Chrystusa.

— Żyje, nadużywa alkoholu i nie chce cię znać.

Milczenie, oboje patrzą na model układu słonecznego, Anka intensywnie, on z roztargnieniem, byle na czymś zatrzymać wzrok.

— Zobacz — szepnęła — taki mały oddzielny świat, z oddzielnym własnym czasem; tylko dla nas wieczne, wieczne wirowanie...

Pewnie nie usłyszał; jej słowa były jedynie pauzą, po której dokończył:

— I ja chyba też już cię nie chcę znać.

Ponieważ zastał ją po ciemku, wychodząc, odruchowo zgasił światło.

Spotkali się w holu.

Rusin po cowieczornej kawie z rumem, która, plus cztery papierosy, lepiej niż domowa kolacja wpływała na prokuratorские nerwy, miękko zamykając dzień, tak jak zamknął za sobą drzwi sali klubowej Stowarzyszenia Prawników — na dziś koniec, idzie do szatni po płaszcz;

a ona była bez płaszcza, w dżinsach i cienkim sweterku wbiegła do holu, z dworu, zimna, z niedorzecznej w połowie kwietnia śnieżnej zawieruchy, która jakby ją ścigała, łopocząc w pluszowych zasłonach, przeciągami pełną po kamiennej posadzce;

stoi, rozgląda się, rozwirowana jak śnieg na wietrze, ze wzrokiem ciemnym, szklistym niczym szyby, za którymi mrok, chłód, wieczór pod zdechłym psem, aż nie chce się wychodzić na ulicę, takie właśnie miała oczy,

nieprzytomne oczy, rozbiegane, jakby kogoś do bólu wypatrywały; nie zauważyła Rusina, nie zareagowała na ukłon mała Milewska, jak ją nazywał.

I dopiero dotyk, gdy po ojcowsku — czy aby tylko? — ujął jej ramię, uprzytomnił Ance, że stoi obok człowieka, którego musiała tu o tej porze spotkać, ale jadąc kilkanaście przecznic do klubu, nie zdawała sobie z tego sprawy, myśli bowiem poraziła otchłanna ciemność, odkąd Janek wychodząc zgasił światło,

i tylko wycieraczki rytmicznie, rytmicznie jak kroki strażniczki, i więzienny korytarz ulicy przed samochodem. A on tu przecież przychodził regularnie, znała jego przyzwycza-

jenia i wykorzystała tę wiedzę przed sześcioma tygodniami, miesiącami — kiedy to było?

— gdy w sukience z Paryża, w której nigdy nie pokazywała się nikomu poza Jankiem, pozwałała przeświecić

się do naga, i nie cofała ręki, kiedy raz po raz kładł na niej dłoń, z obrączką złotą jak oprawki okularów, zza których połyskiwały pięćdziesięcioletnie, rozchłópięcone oczy.

— Sprawa Rafała Kulika podlega tutejszej prokuraturze — rzuciła nagle zupełnie bez związku z rozmową; Rusin przerwał w pół słowa, odpłynęła Majorka, o której opowiadał, i zrozumiał, że to nie jest przypadkowe spotkanie, nie wpadła do klubu ot tak, by z braku lepszego towarzystwa przysiąc się do znajomego starszego pana.

— Zgadza się, będziemy mieli proces roku. Tak przynajmniej piszą dziennikarzełki.

Roześmiała się przymilnie z kalamburu.

— Panie Piotrze, pan mnie za chwilę wyrzuci od stolika...

Patrzył w jej oczy, wiedząc, że zaraz o coś poprosi, taki wzrok miały kurewki, które przychodziły skamleć o jakies względy dla swych aresztowanych konkubentów, i Rusin — z zasady nieprzekupny — staczał wtedy ze sobą ciężki bój, żeby nie przyjąć łapówki w naturze, szczególnie ciężki, odkąd stuknęła mu pięćdziesiątka;

a teraz identycznie błaga żona podwładnego, w którym jest, bo widział ich razem, po uszy zakochana i wzajemnie; cicha, uduchowiona, podobno świetna lekarka, ale na pewno świetna dupa, i umie — oj, jak umie! — pieścić męczyzną oczami, więc cóż dopiero tą małą łapką, której dotknął, i — z lekkim jednak zażenowaniem — poczuł, że zaczyna mieć wzwód, dobrze że marynarka zakrywa.

Aż nagle, jakby za pstryknięciem jakiegoś przycisku, wzrok Milewskiej odmienił się, przeobraził, przepoczwarzył w inne spojrzenie innej kobiety, choć nie mniej dobrze zna-

ne mu z pracy — ujmował dłoń dziewczyny przeniesionej do tego stolika, jakby przez fotomontaż, prosto z sali rozpraw;

pod sądna, która nie okazuje skruchy, albo żona, córka, narzeczona ofiary w mściwym oczekiwaniu na wyrok skazujący. Puścił tę dłoń.

— Wiem, że do sprawy Kulika nie wyznaczono jeszcze prokuratora. Chciałabym, żeby pan ją dał Jankowi.

Przewidziało mu się, jest zmęczony tym cholernym procesem bankowców, rok postępowania przygotowawczego, sześćdziesiąt tomów akt; musiało się przewidzieć, nie miała takich oczu, cały czas patrzyła prosząco, kokieteryjnie, a teraz — czyżby znowu złudzenie? — sama odnalazła na stoliku jego rękę.

— Pani Aniu, Janek jest bardzo zdolny, zawsze to podkreślam. Ale ile ma za sobą praktyki? Niespełna cztery lata.

A Kulik w swoim fachu kilkanaście.

Nie pamięta, co było potem, gdyż wyłączyła świadomość i instynktownie grała tak, jak wiele lat temu w motelach, dokąd Rafał woził ją, żeby podrywała napalonych wujków,

którym później, kiedy już ją obmacywali w swoich zagranicznych autach, przystawiał do czaszki tetetkę, każąc pozbywać się portfela, sygnetu, rolexa; omal nie posikała się ze śmiechu, gdy jednemu łysemu w Citroenie zabrał japoński aparat słuchowy. Była skuteczna,

bo z transu wyrwały ją słowa, na które czekała:

— Dobrze, dziecko, pomyślę, chyba rzeczywiście trzeba dać mu szansę. — A potem jeszcze coś o jej oczach i nocy,

którą spędzi bezsennie na marzeniach, gadka-szmatka podrajcowanego faceta,

nieświadomego, do czego się przyczynił, a właśnie w tym momencie zostały rzucone kości — i kolejne wyzwanie losowi.

O aresztowaniu Kulika usłyszała w radiu, obok Janka; poranne wiadomości przeplatane classic rockiem, jechali razem do pracy.

— Ła! — wrzasnął Janek jak dzieciak i z radości wciśnął klakson.

Dźwięk przebrzmiał, a z reszty komunikatu dotarło do niej, że to stało się nie dwieście kilometrów stąd w Nadolu, ale niedaleko jej szpitala, i pewnie setki razy widziała willę, w której dopadła go brygada antyterrorystyczna,

tak jak ją, w jej kryjówce, dopadnie zaraz przeszłość, a to, że Kulik znowu znalazł się blisko, nie dokonało się przypadkiem, lecz jest karą za skrywanie prawdy i zarazem ostatnim ostrzeżeniem,

więc to przez nią, by dostrzegła omen i memento, zginąć musiał niewinny człowiek, ten jubiler, lecz mimo to nie potrafiła;

patrzyła na profil Janka, uśmiechniętego, jakby wygrał z drużyną mecz, i nie była w mocy przezwyciężyć lęku i bólu,

i wtedy przypomniła jej się Nataszka, jak połknęła zgięty sprężysty drut na żyłce, który następnie rozprostował się, zakotwicząc ostrymi końcami w ściankach przełyku; podała jej żyłkę, wyciągnij mi, Żanet, i Żanet szarpnęła,

ale sama sobie nie umiała silnym, desperackim ruchem wyrwać wyznania, za którym, fizycznie to czuła, rzuciłaby się krew, mnóstwo krwi z ust, jak Nataszce pod celą.

W nocy długo się kochali, a potem, leżąc bezsennie przy nim, wymyśliła sposób,

bezwiednie ten sam, którym już raz wyrwała się z matni; a zatem ponownie zredukuje swoją szansę do minimum, prawie do zera, zagra, i może się uda,

jak udało się tam, u albertynek, choć żeby zbiec ze skarpy i znaleźć się po drugiej stronie torów, potrzebowała najmniej siedmiu sekund, a pociąg dawał jej tylko pięć, góra pięć i pół, co pokazywał zegarek ze stoperem, prezent od matki Aurelii za to, że w kilka miesięcy zaliczyła dwie klasy liceum;

a pozbawić się szans mogła wtedy, gdyby sprawę Kulika

wziął Janek, bo innemu prokuratorowi nic nie powie nazwisko Bielczyk; nikomu poza nim nie przyjdzie do głowy przy sprawie tak prostej dowodowo grzebać się jeszcze w archiwaliach; to tylko ten chłopak, który ją przez sen obejmuje, zawsze idzie na całość, gdyż w jego ramionach jak gdyby zakodowany jest rozmach,

więc nie ukryje się przed nim nic, co ma związek z procesem, bo nie ma na boisku takich miejsc, gdzie nie trafiłyby jego atomowe ścięcia.

— Jeżeli mimo wszystko nie dowie się, znaczy, że Ty tak chciałeś — szepnęła zapinając kożuch, a Rusin, który go przed chwilą szarmancko a pieszczotliwie podał, zapytał:

— Słucham?

W odpowiedzi spojrzały na niego niewidzące oczy, takie same jak ma teraz, gdy bez płaszcza wbiegła do holu; ten sam hol Stowarzyszenia Prawników, niespełna dwa miesiące później.

— Chyba ustawiliśmy Jankowi za wysoko poprzeczkę — rzekł Rusin. — Popenił błąd: sam zaczął robić z oskarżonego szaleńca, a to woda na ich młyn, Grotkiewicz tylko na to czekał.

— Kulik nie jest chory psychicznie. — Jej twarda, przepojona zaangażowaniem odpowiedź kontrastowała z niecierpliwym, zdawkowym podjęciem rozmowy; przywitała się byle zbyć i chyba pilno było jej do sali klubowej, jakby miała tam ważne spotkanie, na które już się spóźniła.

— Oby pani koledzy podzielili ten pogląd. — Westchnął. — Ale powtarzam: niepotrzebnie drażył życiorys, jeśli miał w rękę wszystkie dowody.

— Czy on tu jest? — przerwała mu ostro.

— Janek? Nie, dziś nie przyszedł do klubu.

Skąd nadzieja, że tu go znajdzie? Poroniony płód zaciemnionego myślenia od chwili, kiedy zgasło, kiedy zgasił światło; spotykał się niekiedy w klubie z dawnymi kolegami ze studiów, starą wiarą, jak ich nazywał, wszyscy poszli

w radcostwo prawne, tłuką szmal w firmach, spółkach, korporacjach, i tylko on jeden z wyboru męczy się za prokuratorскую pensję, bo to jego pasja i cel; dwa, trzy razy w miesiącu gra tu z nimi w brydża, ale przecież nie dziś, nie po powrocie z Nadola, kiedy już nie ma, nie będzie niczego, co działa się dawniej, i to tak, jakby w miejscach, które czasem odwiedzał, szukała zmarłego.

Zostawiła Rusina bez pożegnania, jak sprzęt, bezsensowny megafon, z którego płyną słowa, a ona ich nie rozumie; weszła do niemal pustej sali, i pusto było pod oknem, gdzie siadywali brydżyści.

— Anka! — ktoś zawołał ją po imieniu, albo wskazał, że to właśnie ta, na którą czekają, więc zaraz pałką przygnała do ściany kark, poczuje zacisk metalu na nadgarstkach.

A to Mira wołała; siedziała przy stoliku ze swoim cielaczkiem, on pił piwo, ona wódkę z sokiem pomidorowym, a drink i sukienka miały ten sam kolor; również skóra, której więcej niż sukienki, a jeszcze ściągnęła cienkie ramiączko.

— Tak jest, jak się wariatkę wypuści na plażę. Mówią, że od słońca dostaje się raka.

Udawała, że się wygłupia, ale w gruncie rzeczy chciała usłyszeć fachowe, lekarskie zaprzeczenie.

— Od słońca raka, od Murzynów hifa. Zero frajdy na tej Kubie!

Przysiadła się do nich; Mira zauważyła, że papieros drży jej w palcach.

— Nie widzieliście Janka?

Mogłaby nosić tekturową zebraczą tabliczkę z tym pytaniem; prawdopodobnie szwenda się tak bez przerwy od przedwczoraj, odkąd Milewski zgubił się, wyniósł, kopnął wreszcie tę świętojebliwą zakonnickę,

która zaryczana przylazła do niej wtedy, a zaraz po jej wyjściu Mira wystartowała na drugą półkulę, 24 godziny w business class boeinga, 10 na plaży, reszta w hotelowym łóżku, bo

musiała wynagrodzić dyrektorowi Kasprzakowi, albo Kasprzykowi, ten zwariowany wypad na koszt jego firmy.

— Ale mimo wszystko milej spędziłam czas niż ty...

Żona Janka nie zareagowała, zapadła w jakieś odrętwienie; potrząsnęła nią.

— Ania, co się właściwie stało?

— Czas jest domem, nie można go spędzać, tylko się w nim mieszka. Chodząc po wszystkich pokojach, korytarzach czasu, by zawsze wracać w to samo miejsce.

Zrozumiała, że to komentarz do uwagi o dwóch minionych dobach, Anki i jej,

taki bełkot porzuconej kobitki.

— Miał tyle lat co twój Tolek.

— Kto? — Zaciekawiona nadstawiła uszu, ale nie warto, ona dalej pieprzy od rzeczy.

Już nie ma blokady, puścił czop trwogi, ustąpił opór; wyzna wszystkim, znajomym i obcym, zgodzi się nawet mówić do kamery; z całą mocą opowie się za przywróceniem kary śmierci.

— Kto zabił, musi być zabity! Dla dobra innych i swojego własnego. Bo gdyby prawo nie ulitowało się wtedy nad nieletnią, nie byłoby dzisiaj cierpienia dwojga ludzi. Ale nie wycięto nowotworu, i teraz daje przerzuty...

Słowa płynęły same, bez jej woli, bez udziału myśli; dziesiątki słów długo nie wybrzmiały w zamkniętym obiegu między pamięcią a wyobrażeniem spowiedzi, na którą nigdy się nie zdobyła,

nie licząc tej w konfesjonale, gdzie nie od razu otrzymała rozgrzeszenie, ale i tak poszło zbyt łatwo, toteż nie ufała w moc kapłańskiego odpukiwania w drewno, ani pocałunku składanego na pasku materiału;

moc prawdziwą odpuszczania lub zatrzymywania grzechów mieli ci specjalnie do niej posłani, osobiści jej apostołowie — matka Aurelia, profesor Kozerski,

także Janek, choć w Boga nie wierzył, lecz bezwiednie, z samej swej prawej natury, służył Mu wierniej aniżeli wielu wierzących i praktykujących.

— Miro, proszę cię! Pomóż mi go znaleźć!

Mira uderzyła ją w twarz; zamigotała przed oczami czerwona sylwetka, górująca nad nią, bo wstała, zasłania, ochrania Tolka, podnosi wystraszonego z krzesła, ciągnie do wyjścia,

i za progiem już mu jest lepiej, opada lęk, odraza, ustępując miejsca ciekawości.

— Ona naprawdę to zrobiła? — Nie pojmuje, jak Mira może się ironicznie uśmiechać, jedyne wytłumaczenie zaś jest takie, że to, co usłyszeli, było fantazją wariatki, a jego dorosła, doświadczona pani świetnie zdaje sobie z tego sprawę;

ale Mira uśmiecha się, bo jest jej dobrze, niewyobrażalnie dobrze,

gdy runął idiotyczny, wypiętrzony nad jej życiem pomnik wolontariuszki z kalekim dzieckiem na rękę,

przy którym non-stop czuwała cztery doby w szpitalu, kiedy umierało na zapalenie płuc, a ona tymczasem spędzała święta i Sylwestra w Budapeszcie,

i o wszystkim dowiedziała się już po powrocie, od Janka, który zatelefonował rano, przerwał odsypianie kaca, i — jakby się tłumacząc — powiedział, że Ania zrobiła wszystko, żeby uratować Filipa.

— Zachorował w Wigilię, kiedy już wyjechałaś, i albertynki nie mogły cię zawiadomić.

A ta kurwa, oczywiście, pojechała tam łamać się opłatkami i znowu musiała wpierdolić się w jej życie; nikt jej nie kazał wieźć Filipa własnym samochodem do Akademii Medycznej ani ślęczeć nocami w jego izolatce, od tego są karetki, i pielęgniarki, którym się płaci,

ale ona musiała pokazać, jaka z niej święta Penelopa, i z boleściwą miną pochylić się nad dzieciątkiem, które wy-

rodna matka oddała do przytułku, a kiedy umierało, bawiła się w budapeszteńskim Hiltonie.

— Bestialstwo, co w ogóle przekracza wyobraźnię — powiedziała, gdy Tolek podawał jej płaszcz. — A przy tym jaka hipokryzja!

Do pełni szczęścia brakowało jej już tylko informacji, że tego Żydka na krzyżu tak naprawdę przybili tam za rozbój albo gwałt; wtedy byłaby nawet skłonna przyznać, że istniał.

Gdyby Mira uderzyła Żanetę, w tej samej sekundzie miała by w oczach jej palce, szkło butelki między nogami, „wszystkie się ciebie boją, Żanet, mówiła Nataszka, i nawet ja, twoja kumpelka, też się czasem boję”.

Po tej aferze ze Steńką, bo tak nazywały dziewczynę, która straciła wzrok, zmawiały się, żeby w nocy udusić ją poduszką.

— Beze mnie — powiedziała Nataszka. — Ja tam wierzę w takie rzeczy.

Miała na myśli trzy szóstki, które wypatrzyła u nowej, wytatuowanej na wewnętrznej stronie uda; inne widziały tylko wijącą się z bólu Steńkę,

i jednej Nataszy starczyło spostrzegawczości, by wśród wrzasku i paniki, oprócz skutku, zauważyć również to, co — jak sądziła — było przyczyną; „nawet na filmach nie widziałam, żeby ktoś komuś w taki sposób wybił ślipia i za chuja-pa-na nie wiem, jak to wytłumaczyć”,

więc wytłumaczeniem mogły być owe szóstki, i w tej sytuacji pomysł z poduszką upadł.

A o nie wcześniej pytała Marta, gdy po kolacji poszły do jej pokoju, Żanet zdjęła dżinsy, poprosiła o nożyczki i obcięła nogawki przy samych pachwinach.

— Wiesz chociaż, co to za symbol? — spytała z wyższością studentka, odcytana w różnych pracach z antropologii kultury, etnografii i psychopatologii.

— Daje mi siłę — odpowiedziała szesnastolatka, cała pochłonięta swoim nieskomplikowanym krawiectwem,

i rzeczywiście nigdy nie czuła się równie silna, jak tego wieczoru, gdy siedziała przy stole z Olkiem, jego matką i siostrą. Ten dom był dla niej zawsze otwarty, więc tu kazała Rafałowi zawieźć się po aferze w jej własnym domu.

„Patrz — chciała się pochwalić Marcie — Śpię u ciebie, gadamy jak przyjaciółki, a jutro zabiję twojego brata”.

Szóstki przestały istnieć, gdy — rekomendowana przez profesora — jechała podmiejskim pociągiem do zakładu sióstr albertynek i nagle pomyślała, że nie wypada zjawiać się tam z takim tatuażem.

A zresztą od dawna był to już tylko pusty znak, gdyż ten, kogo symbolizował, opuścił ją w potrzebie, odwrócił się wzgardliwie, i to akurat w chwili, gdy składała mu kolejną ofiarę; Natasza i Gorzka mocno trzymały nową dziewczynę, która wiedziała już, co ją czeka, gdy Żanet skończy palić,

z czym się nie spieszy, zaciąga się głęboko, w teatralny sposób wydmuchuje dym,

bo najrajcowniejsze są przygotowania i oczy tej małej rudej pieguski, co przestała się wyrwać i tylko wzrokiem jeszcze broni się instynktownie, walczy, prosi

na dnie bezsilności, skoro nawet nie będzie się komu poskarżyć, bo te trzy dobrze żyją z oddziałowką, która nie przypadkiem posłała ją na czwartą do szklarni, gdyż wzajemnie chce z nimi dobrze żyć, i dlatego ułatwia podobne rozrywki. W szklarni było gorąco, duszno i rosły jakieś chwasty; przedostatni mach, ostatni, zdeptała niedopałek.

— Zatkaj jej mordę, Gorzka! — I Gorzka posłusznie knebluje piegowatą jej majtkami,

ale to przecież w Żanecie wzbiera krzyk,

bo nagle zrobiło się zupełnie pusto, widzi te trzy dziwacznie splecione ciała, lecz mimo to stoi w samym środku pustki, która centrycznie, niby kręgi po wodzie, rozchodzi się na cały świat,

a te wszystkie chwasty wyrastają z jej skóry.

— Nie martw się, wróci — powiedziała wieczorem piegowata, wdzięczna i przypochlebna wobec pani życia i śmierci, która w ostatniej chwili, nie wiadomo czemu, okazała łaskę.

— Nie myślę — rzekła smętnie, ale spokojnie Żanet. — A zresztą, chuj mi na nim zależy.

Tydzień wcześniej przemycono jej z wolności list Rafała; pisał, że co najmniej na rok wyjeżdża do Szwecji.

Gdyby Mira uderzyła Żanetę...

Ale, choć miała całą jej przeszłość, nie była już Żanetą, i samo wyobrażenie fizycznego odwetu odpychało, nawet sceny przemocy w filmach, co starała się ukryć przed Jankiem, gdy byli w kinie lub oglądali telewizję, pełno takich scen, od których najchętniej odwróciłaby wzrok, by nie atakowały pamięci, lecz się powstrzymywała, bo kiedy prawda wyjdzie na jaw, to również zostanie zapisane jako jej wina, że się zgrywała, robiła teatr; to jasne, że Janek tak pomyśli. Spoliczkowana, uświadomiła sobie, że źle postąpiła, zwracając się tym dwojgu, nie ze względu na siebie, taki wzgląd już nie istniał, ale na Janka, który prawdopodobnie nie chce, na pewno nie chce, żeby ludzie znali tę historię, nawet jeśli zdecydował się odejść. Staruszek kelner, przylepny gaduła, który często z dumą opowiadał o swojej pracy w paryskim Ritzu, teraz zdawał się skonsternowany, i trochę nieśmiało położył przed nią kartę menu; zrozumiała, że to, co wystaje spomiędzy brązowych skórzanych okładek, jest rachunkiem, o którym Mira, odchodząc wzburzona od stolika, zapomniała; ponad 200 złotych, nawet nie wie, czy tyle ma w torebce — miała, uregulowała za Mirę należność.

— Tej pani naprawdę nie powinno się tu więcej wpuszczać. — Stary kelner widział moment spoliczkowania, i to, wraz z faktem nie uiszczenia rachunku, całościowo określiło mu kobietę

w czerwonej sukni; w odróżnieniu od niej pani Milewska była osobą z towarzystwa, i aż dziw, że siedziały przy jednym stoliku.

Podobnie lubił ją szatniarz, tyle że bardziej poufale to okazywał.

— Chcesz grypę złapać, córcia?

Był oburzony; jakżeż można w śnieżycę w samym swe-trze, i uparł się otulić ją grubą wełnianą kamizelą, którą wy-grzebał gdzieś z zaplecza; towarzyszył w drodze na parking, kolejny raz opowiadając, jak bardzo przypomina jego naj-młodsza córkę, tę, co wyszła za Niemca i mają sklep z dzie-cięcą odzieżą w Dortmundzie; przez trzy lata zdążyła poznać losy całej licznej rodziny szatniarza, choć w przeciwieństwie do kelnera, w zasadzie nie był rozmowny, i to tylko ją tak so-bie upodobał.

— Kto to jest? — przerwała mu w pół słowa.

Mężczyzna w długim sztormowym płaszczu, opalizują-cym w świetle latarni, stał między zaparkowanymi autami smagany podmuchem zadymki, i uważnym, jak cała sylwetka nieruchomym wzrokiem obserwował Ankę i cinquecento.

— Nowy cieć na parkingu. Poprzedniego szef wywalił za... — Szatniarz znacząco pstryknął palcami w szyję. — Zostawię ci, córcia, tę kamizelkę. Oddasz przy okazji.

Dbał, żeby się nie zaziębiła, przechodząc z auta do do-mu; wiedziała, że uraziłaby go odmową, więc opatulona sia-dła za kierownicą.

— Pozdrowienia dla pana prokuratora!

Wyjeżdżając z parkingu, zobaczyła, że macha jej na po-żegnanie,

a także to, że ten nowy wszedł do swojej budki i zza prze-szkłonej ściany, podświetlona, monstrualna ryba w akwa-rium, śledzi jej odjazd i dokądś dzwoni.

Może do grubasa w kapeluszu, który nerwowo przechadza się wzdłuż krawężnika, w jednej ręce walizka, w drugiej telefon

komórkowy; rozmawiając, jakby odruchowo patrzy w górę, w okna domu, w oknie Milewskich ciemno.

Wjechała na chodnik, zaparkowała, wysiadła; przerwał przechadzkę i ciekawie przyjrzał się idącej do drzwi klatki schodowej; otwierała szyfrowy zamek, gdy za jej plecami głósno i wyraźnie poinformował swego rozmówcę:

— Już przyjechała!

To normalne, liczyła się z tym, skoro Kulika trzymają na sądówce, w jej szpitalu; myślą, że przekazuje wiadomości od niego, przemyca grypsy. Drzwi ustąpiły, szybko wbiegła na schody, zanim usłyszy więcej, zanim stanie się coś więcej,

i nie mogła widzieć, że to „już przyjechała” taksówka, do której grubas wsiadł, nie przerywając rozmowy o dogrywkach na giełdzie. W mieszkaniu, jak gdyby szanując wolę Janka, nie zapaliła światła; powiedział, że nie chce jej znać, i już jej nie ufa, skoro doniósł policji o tym, co łączyło ją z Rafałem, na pewno Janek, nikt inny nie znał tych faktów; a jednak, odsłuchując po ciemku automatyczną sekretarkę,

wierzyła, że będzie tam jego głos, tak jak umierający wierzy, już nie w ozdrowienie, ale w zmartwychwstanie ciała; sama dzwonić nie mogła, bo nokia Janka jest w samochodzie, chyba świadomie nie zabrał, żeby przeciąć kontakt.

Na taśmę wgrał się tylko jeden głos — po francusku i niemiecku niejaki Michael Bahr z pokładu airbusa szwajcarskich linii lotniczych; spojrzała na zegarek: za pół godziny dostanie na lotnisku phelonex. Szwajcarzy z najwyższą powagą potraktowali wysłany rano faks, i ich urzędnik, który leci na jakieś targi, przekaże nieodpłatnie cztery opakowania.

— W zamian oczekujemy dokładnego sprawozdania z przebiegu i wyników kuracji. — Michael Bahr miał 50 lat i budzącą zaufanie fizjonomię solidnego biurokraty,

którym nie był, co natychmiast powiedział w barze terminalu przy kawie, tak jakby wyłożył na stół swoje dyplomy.

— Nigdy nie myślała pani, żeby pracować dla firm farmaceutycznych? Sam jestem neurologiem i psychiatrą, ale nie praktykuję od dwudziestu lat.

Musiła wypełnić kilkanaście formularzy i podpisać aż dwa osobne oświadczenia, że dokładnie zapoznała się z ulotką; on w tym czasie zachwalał pracę u Sandoza.

— Przeciwwskazania przy znacznym odwodnieniu i zaburzeniach krążenia? — Miała jeszcze nadzieję, że źle zrozumiała francuski tekst, bo to przecież dokładnie tak, jakby lek na grypę był przeciwwskazany przy kaszlu i gorączce. — Pacjent hipokinetyczny jest prawie zawsze odwodniony.

Bahr uśmiechnął się z lekka protekcyjnie, bo należał do wyższej cywilizacji, gdzie nikomu nie pozwolą się odwodnić ani wycieńczyć.

— Nie dochodzi do tego, jeśli phelonex stosuje się od początku.

W barze nie wolno było palić i Szwajcar zdziwił się, że tak niefrasobliwie złamała zakaz.

— Panie doktorze, tu chodzi o przypadek zaniedbany, pacjenta podejrzewano o symulację i hospitalizowano z wielodniowym opóźnieniem!

— *Je ne sais pas, Je n'ai pas vu le malade.* — Bahr z lekarza zmienił się na powrót w biurokratę, uciekł, schował się w swoje świstki.

— Przy odwodnieniu w granicach trzydziestu procent, jaka dawka jest, według pana, bezpieczna?

— Żadna. Phelonex to lek bardzo silny, syntetyczne neurohormony, głównie histamina.

Monotonnie wymieniał kolejne rozwlekłe nazwy związków, w pojedynczych, podwójnych, wielosylabowych łańcuchach, i nagle spotkał wzrok tej lekarki, wzrok dziecka, które urzeczony słuca bajki i oczami niecierpliwie pyta, co dalej; zdziwił się, że tak ją to zafrapowało i że w ogóle coś z tego rozumie, w jego kantonie kobiety do dziś mało rozumieją, i na-

wet nie wolno im brać udziału w lokalnych referendach.

— *Vous comprenez?*

Nie mógł wiedzieć, że biochemia centralnego układu nerwowego to jej pasja, od pierwszej książki, pierwszych zajęć na uczelni widzi plastycznie, niczym żywy obraz

siatkę wiązań, pajęczynę cząsteczek, boskie, wspaniałe puzzle,

a ten Szwajcar opowiada, jak jeszcze można je ułożyć, na nowy, nie znany sposób, którego nigdy by nie odgadła.

— Bardzo proszę tutaj nie palić — pouczyła oschle kelnerka.

I wtedy tępnęły emocje; przypomniała sobie, że za godzinę zastrzykiem dożylnym wprowadzi phelonex do mózgu Bednarczyka.

— Myślę, że nie mam innego wyjścia.

Bahr skrzywił usta, co mogło oznaczać współczucie.

Jakoś od roku zaczął się budzić o czwartej rano, coraz regularniej, aż wreszcie mrok lub szarówka, zależnie od miesiąca zaglądale w okna nad biurkiem, stały się zwykłym początkiem dnia, pierwszym widokiem dla zbudzonego na wąskiej, twardej leżance,

zbudzonego starca, bo dobrze wiedział, że nadranno bezsenność jest objawem typowo geriatrycznym, podobnie jak kompozycja drobnych, uciążliwych dolegliwości przywołujących do jawy,

a wtedy, o tej czwartej, przypominał mu się dowcip — co myśli człowiek po sześćdziesiątce, gdy się budzi i nic go nie boli? Myśli, że już umarł;

więc skoro jednak dane mu było ocknąć się jeszcze ten jeden raz,

w pokoju, który pachniał starością, nie tą szlachetną, antykwaryczną, mebli, sztychów, książek, choć one też były tu wiekowe, ale — starością człowieka;

zapachem stworzonym i używanym przez naturę gwoli nacechowania tych, którym pora odejść, odłączyć się od stada, zaszyć w samotni,

gdzie ów zapach wybrzmi do końca w swym stadium docelowym — fetorze ostatecznego rozkładu;

więc skoro jeszcze nie dziś,

wstawał i szedł do łazienki, by — jak to czynił całe życie — wziąć lodowaty prysznic, choć wgrany w pamięć kobiecy głos niezmiennie, z chwilą odkręcenia kurka, drwił; nazywała go anachoretą, dziwakiem, chodzącym magazynem wielkich oraz małych zasad, systemowo zatruwających życie, czyniących życie we dwoje niemożliwym,

toteż od trzydziestu lat budzi się sam, sam je śniadanie, a teraz, gdy ranki zaczynają się o czwartej, samotność wydłużyła się; z początku próbował czytać, włączał radio, paląc fajkę, rozmawiał z radiem, przedrzeźniał, na głos komentował lekturę — świat za oknem nie wiedział, jak złośliwie jest wyszydzany, i spokojnie rozkręcał się do codzienności.

A od kilku miesięcy po prostu — wcześniej przyjeżdża do szpitala; zaabonowaną na piątą taksówką, co pewnie sporo kosztuje; niebagatelny odsetek pensji oddaje — prawie zawsze temu samemu — taksówkarzowi, który pomstuje na drożyznę, rząd, Żydów, a ostatnio także na kler; łysy, zgarbiony nad kierownicą, pełen zapiekłej złości do wszystkich, co mają się lepiej;

pewnie to kosztuje, ale Kozerski nie wie nawet dokładnie ile, nigdy nie liczył się z groszem w bezwiednym, rozrzutnym obywatelu się byle czym, co możliwe jest wyłącznie, gdy żyje się samotnie, jak on przez tyle lat, kiedy zawsze miał wrażenie, że pieniędzy ma za dużo, aby z sensem wydać, cóż zatem znaczy taki drobny luksus, jak codzienny kurs taksówką w dwie strony. Rozmawiał z kierowcą o anomaliach pogodowych; że to skandal w kwietniu śnieg, jakby nie dosyć innych strapień, to jeszcze śnieg,

i rzeczywiście dziwnie wyglądają białe trawniki i drzewa w szpitalnym parku; dwa czarne psy — nie pamięta już, kiedy tu się przybłąkały i zostały — w honorowej asyście prowadzą go od taksówki do ciężkich, masywnych drzwi oddziału, przez chwilę wspomniawszy własnego psa, przez piętnaście lat jedyne towarzysza samotności, który zdechł, umarł, jak powiedziała Anka, na jej rękach, a potem wspólnie pogrzebali biedny rudy zewłok na końcu parku, tam gdzie dawna szpitalna szwalnia, i kiedy po powrocie stamtąd zrobiła mu w gabinecie kawę, w ostatnim momencie ugryzł się w język, by bezwiednie, za nagłym impulsem nie wypowiedzieć myśli, że teraz już tylko ona, tylko Anka mu została.

Stuknęły odsuwane rygle i zaspany portier wpuścił go na oddział, machinalnie, prawie przez sen mamrocząc „dzień dobry”, choć to przecież jeszcze nie całkiem był dzień, a dobry z całą pewnością nie, jako że dobrych dni nie ma, są najwyżej takie sobie, a i tych coraz mniej, odkąd przekroczyło się sześćdziesiątkę. Otworzył kluczem swój gabinet; Małgosia — chyba Małgosia, nie miał pamięci do imion tych dziewczyn, które pracowały tu góra rok po szkole pielęgniarskiej, a potem odchodziły rodzić mężom dzieci — stała w drzwiach cicho, jak biały duszek, czekając aż zdejmie palto, nałoży fartuch; milczeli oboje, bo bez słów było jasne, że ordynator zacznie przedwczesne urzędowanie od wizyty w izolatce Bednarczyka.

Jarzeniowe zimne oświetlenie korytarza kontrastowało ze snem pacjentów w salach, ostatnią jego pół godziną, nim Małgosia termometrem przywołała wszystkich i każdego z osobna do jemu właściwej nierzeczywistości;

szedł z rękami w kieszeniach fartucha, a pielęgniarka otworzyła przed nim drzwi z szybą z kuloodpornego szkła; to był pomysł Anki, żeby taką zamontować, po tym jak inny katatonik — dla odmiany, pobudzony — rozwalił czołem tradycyjną szybę; zakładała mu szwy na łuk brwiowy, głośno zastanawiając się, jak zaradzić na przyszłość takim wypadkom, i wymyśliła.

Obecnemu lokatorowi izolátky nie w głowie były podobne harce; dla niego w ogóle mogłoby nie być szyb, drzwi, niczego, świat dla Bednarczyka przestał bowiem istnieć, i Bednarczyk dla świata, nawet dla kroplówki, skoro wciekała w niego zupełnie jałowo, nie zmniejszając odwodnienia organizmu.

Teraz też powoli opróżniał się szklany słoć, kroplówka „schodziła”, jak mawiała Małgosia; podregulowała zawór węża, i wyłapał na jej twarzy cień uśmiechu.

— Niech pan spojrzy, panie ordynatorze.

Ale nim spojrział, ubiegły go oczy Bednarczyka, który nagle rozwarł powieki, i w szarym zarannym świetle wpadającym przez okratowane okno Kozerski napotkał wzrok jeszcze nie do końca przytomny, jeszcze z pewnością wzrok człowieka chorego, nie w pełni obecnego, ale — pierwszy raz od wielu dni te oczy były żywe; zajrzał do wiszącej na poręczy łóżka karty choroby,

natychmiast rozpoznając niewyrobitony charakter pisma, które przenigdy nie stanie się pismem lekarskim; infantylne litery i cyfry, co od pierwszej klasy nie zgubiły kaligraficznych laseczek i brzuszków, którymi Anka zanotowała dokładny czas oraz dawkę dwóch dożylnych iniekcji.

— Chyba mu się poprawia — szepnęła dziewczyna; tak, na pewno Małgosia, przypomniał sobie wreszcie.

Ujął nadgarstek Bednarczyka i kilkakrotnie wahadłowo poruszył ręką.

— Patrzysz, co robię? Sprawdzam, czy nie stawia oporu, to się nazywa negatywizm ruchowy. Widzisz? Nie ma negatywizmu! — Z Akademii Medycznej wyniósł ten nawyk wykładowcy; uśmiech Małgosi.

— To dobrze, co nie?

— Lepiej być nie mogło. — Dla pewności powtórzył próbę, tym razem z nogami. — Wygodnie ci tak leżeć jak embrion? Chyba nie za bardzo.

Bednarczyk posłusznie wyprostował nogi.

— Pani Ania jest u siebie — przypomniało się nagle pielęgniarce.

Była u siebie. Zwinięta w kłębek na fotelu, z policzkiem przy bocznym oparciu, jak jego Tramp, skojarzyło się Kozerskiemu, czujnie, z otwartymi oczami drzemała, otulona szarym, mysim pledem, uwypuklonym na biodrach i ramionach, falującym lekko w rytm oddechu,

ale powstałej w ten sposób bryle, rzeźbie, brakowało harmonijnego spokoju, niezbędego, aby koc, suknia, wszelki materiał przejął i utrwalił kształt kobiecości, który pod sobą kryje,

przeciwnie — zastygnięcie w drzemce zdawało się tak chwilowe, przybrana forma tak ulotna, iż jak gdyby wcale nie było pod kocem ciała, a jedynie sam pospiesznie przepływający przez nie czas, wibracja czasu,

i pewnie ten był powód, że nigdy nie patrzył na nią jak na kobietę, nawet gdy, jak teraz, pled zsunął się na podłogę, i zobaczył, że jest prawie goła.

To mieli wspólne: po obudzeniu pierwsza rzecz — chwyтали papierosa.

Wyjął z fartucha zapalniczkę, nachylił się nad Anką, podał ogień; płomień wyeksponował niepokój jej spojrzenia.

— Byłeś u Bednarczyka?

— No cóż, wszystko wskazuje, że przed emeryturą zobaczę pierwszy przypadek wyleczenia ostrej, śmiertelnej katonii.

— Jezu, Stefan, odpukaj! — Pochwyciła jego dłoń, szukając nie malowanego drewna, nie było w pobliżu, użyła blatu biurka.

— Tak się bałam, chciałam do ciebie w nocy dzwonić. — Wkłada swoje nieskomplikowane ubranie: dzinsy, nieodłączną czarną koszulkę, sweter; z kieszeni spodni wyjęła ulotkę i pokazała Kozerskiemu.

Zobaczył podkreśloną cienkopisem informację o przeciwwskazaniach.

— Postąpiłaś rozsądnie. W takich sytuacjach nie patrzy się na stan ogólny, uczyłem cię tego na studiach.

— Wtedy nie było jeszcze phelonexu.

Również zapalił.

— Oczywiście. Hipokinezę leczyło się wstrząsami elektrycznymi i nikt nie wiedział, jaki będzie skutek, na przykład przy niewydolności krążenia. Taka prawda, Aniu, że chcąc pomóc, wyprawilem na tamten świat czterech ludzi, i to z grubszą całe moje doświadczenie z *catatonia acuta letalis*. Ciesz się, że ty masz lepsze.

Jeszcze trzy dni temu zadzwoniłaby teraz do Janka, który czekałby na jej telefon, na jej sukces, mimo że szósta rano — tak jak dziś czekają na błąd, porażkę ci, których przeciwko niej uruchomił, patrzą czujnie na ręce,

bo zabiła saperką, a dziś chce zabijać zastrzykami, więc gdyby Bednarczyk umarł, już by się im nie wywinęła.

— Które z nas robi kawę? — spytał Kozerski.

Jak zawsze jest górą,

nad ich zadartymi głowami, nad konsternacją oraz bezsilnością wypisaną na mordzie, czego nie widzi, lecz się domyśla, czując na plecach wzrok lekarzy, pielęgniarzy, ochroniarzy, i wszystkich chujów, co zbiegli się z całego oddziału dla podsądnych;

oni w dole — gleba, gnój,

a on — hen, wysoko,

jasnowłosy cherubin, któremu żadne pierdolone psychotropy nie sparalizują skrzydeł!

Okno korytarza, zabezpieczone kratą wpuszczoną w mur wykuszu oraz dodatkowo drucianą siatką, znajdowało się trzy i pół metra nad podłogą,

„a on, panie doktorze, normalnie skoczył jak małpa”. Ten

wyższy z duetu atletycznych pielęgniarzy, który miał polecenie doprowadzić Kulika na EEG, bezradnie rozkłada ręce, co nie zdołały utrzymać; wyrwał się z nich, odbił od kamiennej posadzki, zawisł na kracie,

i teraz ją szarpie, aż jeden pręt wyłamał się, prosząc chmurą ceglanego pyłu; mieści się w oczkach siatki, więc przez nią dźga prętem szybę, która rozmnożona w kilkanaście ostrych odłamków leci w dół, rozbrzękując się na betonie podjazdu,

a równocześnie Kulik zaczął krzyczeć,

na cały szpital, cały park, który ma pod sobą; drze się z wysoka, sponad koron drzew, skrzecząco i piskliwie — jak kastrat albo jastrząb,

i widzi, że do jego krzyku ciągną świry ze wszystkich pawilonów, zadzierają chore łby, wznoszą w górę głupie ślepia, tak samo jak ci, których ma za plecami, bo tu są same schizole, totalne czuby, a jedyny normalny jest on — i dlatego robią z niego wariata,

więc, okej, widzicie? Odjechało mi, fruвам, Aj em en endzel! Słyszycie, kurwa?! Jestem aniołem i wszystkich pierdolę w dupę!

Była w „bossówce”, jak nazywano siedzibę dyrekcji i administracji szpitala, dziewiętnastowieczny dworek wraz z resztówką inkorporowany przez szpital. Odnowiono go niedawno, miedziana blacha, sztukateria, spore pieniądze, których brakowało na leki dla pacjentów, ale „bossówka” musiała wyglądać reprezentacyjnie, jako że narady, wizyty, zagraniczni goście,

dziś akurat Czesi, trzygodzinna nasiadówka, po której kilku lekarzy zostanie zaproszonych na identyczną nasiadówkę w Ostrawie; spytała, czy wolno palić, i otrzymała niechętnie przyzwolenie, po czym zaraz gruba Czeszka wstała, by demonstracyjnie otworzyć okno, lecz pod koniec sama je zamknęła,

bo aż tu dochodził krzyk z sądówki. Wiedziała, kto krzyczy; nie zapomniała przez jedenaście lat jego głosu, choć nie wracał nigdy, prawie nigdy

w myślach, snach, marzeniach, jak podejrzewała matka Aurelia, gdy próbując zrozumieć motywy kierujące Żanetą, niejako po linii najmniejszego oporu, przyjęła, że zawiniło źle ulokowane uczucie, które w utajeniu, zakonspirowane trwa dalej, i dziewczyna szorując schody i podłogi roi o Szwecji, dokąd przy pierwszej okazji ucieknie,

toteż nie po to, aby rzecz wyjaśnić, lecz by potwierdzić domysł, spytała ją wprost, w odpowiedzi spodziewając się gry i kłamstwa, które dorosła kobieta bez trudu u siedemnastolatki rozpozna. Lecz ucho nie wychwyciło fałszywej nuty.

— To było nieszczęście, żeśmy się poznali, dla mnie i dla niego — odpowiedziała przeoryszy jednym zdaniem, którego prawda, odkąd ją sobie, jeszcze w więzieniu, uświadomiła, obróciła w niwecz całą sentymentalną stronę wspomnień.

Po zebraniu, wracając na oddział, musiała przejść koło sądówki i zbiegowiska zagapionych w górę, gdzie z okna na trzecim piętrze usiłowała wyjrzeć wrzeszcząca twarz, fragmenty twarzy, kubistycznie wpisane w geometrię kraty,

a na plan pierwszy pchały się usta, szeroko rozdziawione, nachalnie szukające przesmyku, by wszyscy zobaczyli pianę, rekwizyt numer jeden przedstawienia,

będącego prymitywną, nieudolną próbą symulacji obłędu, na którą nie nabierze nawet sanitariuszy, lecz na nic więcej nie stać Rafała Kulika, wyzutego już nie tylko z człowieczeństwa, ale i z elementarnej godności. Aż nagle

napadowo przyszedł domysł, że tego kabotyna specjalnie umieszczono tam w oknie, i zaraz ktoś wobec zgromadzonego tłumu wskaże ją palcem; miała wrażenie, że już na nią patrzą.

— Pani doktor!

Chciała odejść, nim padną dalsze słowa, bo przeczuwała w nich niebezpieczeństwo, ale przemocą narzuciła sobie rozsądek, zbliżyła się do Karola i podała mu rękę.

— Wczoraj zima, dzisiaj wiosna, jak to mówią: kwiecień-plecień. — Korzystając z wiosny, powędrował ze sztalugami w park i chyba przypadkiem znalazł się akurat pod sądówką, bo nie zdradzał najmniejszego zaciekawienia Kulikiem.

— Dalej te ptaki?

Obraz wydawał się skończony, więc nie rozumiała, czemu jeszcze z takim wytężeniem w oczach i zmarszczkach patriarchalnej twarzy mozoli się nad nim, bo u Karola to był mozół, olbrzymi mozół, a nie po prostu praca.

— Muszę domalować trzysta kruków w jego głowie.

Lecz pędzel nie tylko mnożył, ale również poprawiał jakość, wyostrzając ptactwu dzioby.

— Mają być *richtig*, pani doktor, bo sąd i kara blisko.

I nachyliwszy się do Anki, konfidencjonalnie szepnął:

— Jeszcze w kwietniu.

Kulik tymczasem nadal krzyczał i huśtał się na kra-
cie, lecz myliła się, bo to nie żadna symulacja, tylko sygnał,
znak,

i ci, do których został wysłany, odczytali go właściwie.

Żaneta

— Medycynę?

— Tak. Pewnie nawet wybiorę psychiatrię.

Tupet w głosie, dzięki któremu panuje nad drżeniem, ale i on, choć wybrał swój zawód przed dziesiątkami lat, również musi podjąć wysiłek, by nad głosem zapanować i nie ujawnić poruszenia; okulary już przetarte, lecz pozostaje zawsze wierny papieros; wyciąga paczkę, częstuje Ankę.

— Czy to historia tej dziewczyny wpłynęła na pani postanowienie? — Opuszczonym wzrokiem pokazuje mogiłę, która ich przedziela,

i myśli, że gdyby wzniesiono tu kiedyś nagrobek i postawiono anioła, to on powinien mieć jej twarz; anioł nerwowo zaciągnął się dymem.

— Być może. Ale przede wszystkim myślę o moich podopiecznych. O Słoniku, panu Leonie. Ci naprawdę potrzebują lekarza, a Żaneta? Sądzi pan, że ona rzeczywiście była chora?

Wszedł do gry i przyjął dziwaczną konwencję tylko dlatego, że docent Woronicka, zwana tu matką Aurelią,

prosiła, by w rozmowie z dziewczyną nie nawiązywał w sposób wyraźny do przeszłości. Był to rozpowszechniony wśród niefachowców przesąd, że słowa, takie czy inne, potrafią spowodować nawrót choroby, i wzruszył nad nim ramionami, lecz

mimo to uszanował wolę przeoryszy (chyba tak się to stanowi-
sko nazywa?), a mówiąc ściślej, tutejszy obyczaj,

co nie tylko pozwala, ale wręcz nakazuje amputować
przeszłość i zmieniać tożsamość, jak uczyniła to kobieta,
którą poznał niegdyś jako absolwentkę Oksfordu oraz sty-
pendystkę Fundacji Rockefellera, a która dzisiaj jest zakon-
nicą o cudacznym imieniu Aurelia,

i Kozerski nie bardzo wie, jak ma się do niej zwracać —
siostró, matko przełożona? — więc stara się to jakoś omijać
w rozmowie.

Pokój, gdzie go przyjęła, pełen książek i specjalistycznych
czasopism, był rodem z potocznych wyobrażeń o gabinecie
i pracy uczonego,

lecz przecież jasne, dla niego, dla niej, gdy siedząc na-
przeciw sobie przy stole piją herbatę bawarkę, że u schyłku
XX wieku mikrobiolog, odcięty od laboratoriów, instytutów,
bieżącej wymiany myśli i doświadczeń, po prostu już nim
nie jest,

tak jak to pomieszczenie nie jest żadnym gabinetem, lecz
tylko kancelarią przyklasztornego domu opieki.

Spojrzała na niego pytająco i bardzo rzeczowo, bo jak
każdy przywołany z zewnątrz miał zrobić swoje i szybko opu-
ścić ten dom, żadną zbędną minutą nie zakłócać spokoju
i eksterytorialności.

— Nie ma wyraźnych objawów chorobowych — powie-
dział cicho i powoli, bo tylko tak mógł zamaskować ton iryta-
cji, co w nim wzbierała,

i to od samego początku, kiedy Adam w imieniu siostrzy-
czek, jak je serdecznie i poufale nazywał, poprosił go o zba-
danie byłej pacjentki.

— Ale przy tak nieprawidłowej i zaburzonej osobowości
trudno, oczywiście, mówić o pełnym zdrowiu.

— Czy uraz głowy może mieć na to wpływ? — spytała,
przeczuwając odpowiedź wymijającą, i rzeczywiście taka pa-

dła, bo ani Kozerski, ani wcześniej neurolog nie umieli przewidzieć późniejszych następstw stłuczenia pnia mózgu,

które, jeśli wierzyć rezonansowi magnetycznemu, nie spowodowało widocznych uszkodzeń, ale przecież wiedział, że mózg wymyka się szkiełku i oku, w sposób doskonały kamuflując w fałdach i zwojach tajne wytwórnie obłądu, paraliżu, drgawek.

— I dlatego nie chciałbym bawić się w proroka. — Uśmiechnął się, przepraszając za naukę; również się uśmiechnęła.

— W każdym razie teraz jest znacznie lepiej.

Skoro tak, to po cholere mnie wzywacie? — pomyślał.

— Pan nie widział jej dwa lata temu, przed wypadkiem. Nie jadła, nie spała, dosłownie ginęła w oczach.

Na przekór woli dalsze słowa matki Aurelii przekładały mu się w głowie na ten okropny, w nie zamierzony sposób szyderczy język, jakim pisane są historie choroby: odmawia przyjmowania pokarmów, w nocy wstaje z łóżka i chodzi bez celu przez wiele godzin. Zadaje dziwaczne pytania, nacechowane religijnym rezonerstwem, na przykład: jaki kodeks obowiązuje na Sądzie Ostatecznym? Często również porusza temat samobójstwa; projektuje urządzenie do popełnienia samobójstwa bez grzechu, i tak dalej.

— Jej rozumowanie zmierzało do tego, że nie jest *sensu stricto* samobójstwem, a co za tym idzie grzechem, jeśli człowiek zostawi sobie choćby symboliczną szansę ocalenia, bo wtedy, mimo wszystko, uważała, życie odbiera Bóg; jako przykład podawała powieszenie się na naciętym sznurze. — Na twarzy i w głosie matki Aurelii narastająca skarga. — Trudno wyobrazić sobie, jak mroczne i przykre były te rozmowy!

— Jest inteligentna — rzekł Kozerski, nie dodając, że to akurat nic nadzwyczajnego u asocjalnych psychopatów: pewien intelektualny potencjał, najczęściej wyrażający się w prostym sprycie, lecz bywa także, że i w spekulacjach oraz

dociekaniach, z reguły właśnie, wedle określenia jego rozmówcy, mrocznych i przykrych.

— Istotnie, trudno racjonalnie wytłumaczyć, w jaki sposób przeżyła, bo pociąg jechał z pełną prędkością i maszynista nie zdążył nawet włączyć hamulców. Anna wierzy, że to był cud i wola Boga, od którego przez niedoszlą śmierć otrzymała jak gdyby łaskę powtórnych narodzin.

Kozerski nabrał podejrzeń, że choć relacjonuje mu to wszystko słowami osoby wykształconej, jednocześnie — jako matka Aurelia — sama gubi się w wątpliwościach i po cichu podziela zabobonną wiarę psychopatki z małego miasteczka,

— Czy to pani namówiła ją na studia medyczne?

Twardy wzrok uświadomił mu popełniony lapsus, nie miał prawa tak się do niej zwrócić, chociaż znali się z czasów, gdy jako doktor habilitowany kierowała pracownią cytologii,

a potem to przestało być sztuką *in vitro*, i ziarniak, cytologiczny demon, zabił człowieka, którego kochała

Maryla Woronicka, uważana przez wszystkich wyłącznie za kochankę nauki, najmłodsza w historii Akademii docent i niedoszła profesor,

której uczennica na egzaminie testowym z biologii zdobywa komplet punktów, dystansując pięciuset innych kandydatów.

— Nie. To był jej własny wybór. Sądzi pan, że niewłaściwy?

„Ależ skąd, jak najbardziej właściwy” — pociąg, którym wracał, w związku z remontem torów posuwał się jak za porzebem, i był nadprogramowy, przeklęty czas na rozmyślanie o tym, co — literalnie — nie chciało się oddalić. „Choczy przecież potrzebują lekarza o takich zręcznych rękach, w których trepan i lancet zastąpią saperkę”.

Przez chwilę zastanawiał się, czy regulamin Akademii Medycznej pozwala studiować tam osobom prawomocnie skaza-

nym za morderstwo, lecz nieomal zaraz roześmiał się nad swą naiwnością,

bo przecież w świecie, co burą biedą przedmieść i arogancją strzelistych biurowców w oddali przesunął się za oknami pociągu, w tym świecie, przez który jechał, zniesiono już wszelkie zakazy,

i one są jak ta oberwana tabliczka, zakazująca palić i śmiecić w wagonie, żałośnie na jednym wkręcie zwisająca ze ściany, urągliwie dyndająca nad wysypiskiem puszek, flaszek i niedopałków,

albowiem już nie wolno zabraniać, zabrania się zabraniać, czyż nie inaczej krzyczeli trzydzieści lat temu nowi majowi komunardzi paryscy?

których widział, wznoszących barykadę na Bulwarze Sewastopolskim, oraz coś w rodzaju ołtarzyków Che i Mao Tse Tunga, a Barbara — to była ich pierwsza podróż, jedyny wyjazd za granicę we dwoje — nosiła już w łonie dziewczynkę,

dziś znaną, przebojową dziennikarkę, powtarzającą echem tamto hasło, walczącą z ekranu TV o tolerancję dla wszystkich i wszystkiego,

poza jednym, „ciemnotą starego człowieka”, jak nazywa w gniewie jego poglądy, a gniew, płomienny i fanatyczny, często porывa Kasię Weiss, z domu Kozerską,

bojowniczkę o Nowy Wspaniały Świat, bez zakazów i regulaminów, w którym niezawodnie potrzebni będą również Nowi Wspaniali Lekarze, zwłaszcza z chwilą zalegalizowania eutanazji,

toteż Żaneta dokonała na pewno szczęśliwego wyboru.

Następnego dnia, przechodząc przez hol, rzucił okiem na wywieszoną w gablocie listę nowo przyjętych studentów; nazwisku Bielczyk drukarka poświęciła nadmiar tuszu, więc przeczerńnione, z lekka rozmazane, skojarzyło mu się ze smugą po zgniecionym insekcie.

Wyrzucał sobie, że wtedy, gdy wyjawiała mu, czemu nie chce, nie może wrócić do domu i mieszkać z matką pod jednym dachem, nie zaapelował, jak miał zamiar, do władz o umieszczenie jej w więziennym szpitalu psychiatrycznym,

gdzie do dziś odsiadywałaby zasądzony wyrok, zamiast pętać się po korytarzach Akademii, ustawicznie, co dzień niemal wyławiana przez niego wzrokiem

z tłumu młodych ludzi, przyszlých lekarzy, lepszych i gorszych, uczciwych i łajdaków, bo w takiej masie, z samej statystyki, trafić się może każdy,

tysiące twarzy, tysiące ludzi, których poznał w tych murach. O większości nic nie wie,

i to, w sposób zasadniczy, odróżnia ich od Anny Bielczyk, która także chciałaby być anonimowa, tak dba o anonimowość, że przez to, paradoksalnie, zwraca na siebie uwagę, niezmiennie w dzinsach i byle jakim swetrze na tle dziewczyn wyszykowanych jak na bal, lub raczej — komentuje zjadliwie Kozerski — do pracy w agencji towarzyskiej;

a kiedy mijają się na korytarzu albo w bufecie, zawsze coś czyta, unikając w ten sposób jego wzroku, lub przeciwnie, podsuwając mu przed wzrok swoją pilność i zaangażowanie. Aż wreszcie na trzecim roku

zjawiała się w jego gabinecie z okazałym maszynopisem, prosząc o opinię, bo napisała tę pracę pod kątem przyszłej specjalizacji.

— Więc jednak psychiatria?

Skinęła głową, a do Kozerskiego dotarło, że za kilka miesięcy, po wakacjach, będzie miał z nią kontakt zupełnie innego rodzaju, studenci bowiem, których bierze pod skrzydła, są dla niego przez dwa lata jak rodzina, prawie jak dzieci — w zbiorowym zastępstwie Kasi Weiss;

nie mógł jej jednej traktować inaczej niż resztę grupy, a czuł, że na takich samych zasadach nie będzie potrafił. Powinna teraz gnić w więzieniu, gdzie jej miejsce, starczyłaby

krótka rozmowa z sędzią penitencjarnym, ale, uśmiechnął się sardonicznie, dobry Polak brzydzi się wszystkim, co choć troszkę przypomina donos,

i oczywiście prawdziwy, dobry Polak za romantyczny poryw musi dostać w dupę.

W domu siadł nad maszynopisem, potem położył się z nim do łóżka i kiedy skończył ostatnią kartkę, za oknem było już szaro, noc przechodziła w świt tak płynnie, jak wedle autorki zło przeistacza się w dobro i odwrotnie, albowiem wszystkim zawiaduje tajemniczy przełącznik ukryty w płatach skroniowych, za sprawą którego może być ciemno albo jasno,

omnipotentny regulator wyższej uczuciowości, empatii, agresji i wszelkich osobowych cech, czyniących nas świętymi, względnie bydlakami, przy czym autorka pochyliła się wyłącznie nad tymi drugimi, dowodząc, że bez wyjątku cierpieli na skroniową epileptoidię,

podobnie jak ona sama, *wychowana w trudnych materialnie warunkach, matka nadużywa alkoholu, ojciec NN. Już we wczesnym dzieciństwie sprawia kłopoty wychowawcze, jest nieposłuszna, kradnie; stosowanie surowych kar nie odnosi skutku. W 13 r. ż. przechodzi inicjację seksualną, wtedy również wiąże się z grupą młodocianych przestępców. Sięga po alkohol i narkotyki, głównie amfetaminę i kokainę. W okolicach 15 r. ż. zauważalny wzrost poziomu agresji: dopuszcza się szeregu aktów przemocy, dokonuje podpaleń. W dniu swoich szesnastych urodzin, przy współudziale kilku innych młodych przestępców, bestialsko morduje licealistę. Skazana na 8 lat pozbawienia wolności, łatwo asymiluje się w więziennej subkulturze. Terroryzuje słabsze więźniarki, znęca się nad nimi. W 5 miesiącu pobytu w więzieniu popada nagle w stan apatii. Na propozycje udziału w kolejnych aktach przemocy odpowiada, że „to już jej nie bawi”. Zmianie zachowania i postawy nie towarzyszy jednak krytyczny*

osąd przeszłości. Na początku 6 miesiąca odbywania kary, wieszając się na kracie, podejmuje próbę samobójczą udaremniającą przez współwięźniarki i personel. Zostaje przewieziona do Centralnego Szpitala Chorób Psychiczych i Nerwowych, gdzie w ciągu kilkunastu godzin rozwija się u niej pełny obraz psychozy. Twierdzi, że ma być zgładzona za pomocą zastrzyku z trucizną, słyszy głosy, które ją oskarżają. Objawy wskazują na zespół urojeniowo-omamowy przebiegający bez wyraźnych cech rozszczepiennych. Po dwumiesięcznym leczeniu w stanie pełnej remisji. W warunkach przerwy w odbywaniu kary podejmuje pracę salowej w przyklasztornym domu opieki. Jednocześnie uczy się w trybie eksternistycznym w liceum ogólnokształcącym. Rozwijająca się na tle krytycznego osądu przeszłości silna depresja popycha ją do kolejnej próby samobójczej — rzuca się pod pociąg. Przez 3 dni jest w stanie śmierci klinicznej, z której wyprowadzenie określa jako „powtórne narodziny”. Otoczenie zauważa teraz wyraźne zmiany w jej postawie, zachowaniu oraz charakterze. Ona sama deklaruje wolę „bycia innym człowiekiem”. Dwa lata później kończy szkołę i pomyślnie zdaje egzaminy na Akademię Medyczną. Ocena diagnostyczna przypadku: dynamika oraz charakter zmian osobowości pozwala podejrzewać tło epileptoidalne, ze wskazaniem na epilepsia temporalis.

...dwa razy zaciągnął się papierosem, musiał mówić.

— Pani odpowiedzialność za życie Żanety to wyłącznie sprawa sumienia. Choćby nawet odkryto patogenezę takich zachowań...

— Poczuję się do odpowiedzialności — przerwała mu twardo i tonem, którego zwykło się używać przy składaniu przysięgi. — Za jej życie, i za jej śmierć!

Górnolotny ton, doznał wrażenia niesmaku, crescendo, którym chce zagłuszyć prawdę; już przedtem spomiędzy Ne-

ronów, Hitlerów, Kürtenów wyciągnął te niepełne dwie strony maszynopisu, przypadek niejakej A. B., lat 19, oznaczony przez nią numerem 86.

— Kiedyś uważała pani podobno, że to sprawa łaski Bożej. I co, przeszła pani na pozycje scjentyzmu? A może Bóg mieszka w płatach skroniowych? Z pani elaboratu tak dokładnie wynika.

Próbowała wytrzymać jego wzrok.

— Nie widzę sprzeczności, panie profesorze. Bóg działa wszędzie i przez wszystko.

Wtedy starannie spakował maszynopis do teczki i położył przed Anką.

— Umówmy się: ja będę uczył panią o epileptoidii, a od spraw Bożych ma pani biskupa Adama.

Miał na myśli kogoś, kogo znał od dawna, tak jak zna się wielu kolegów szkolnych, i, mniej lub bardziej pobieżnie, ich losy; kariery, uwikłania części swego pokolenia, a pokolenie jest w czasie czymś podobnym do rodzinnych stron w przestrzeni,

i dla każdego trwa, każdemu upływa jego mała ojczyzna, coraz mniejsza, kurcząca się, wyludniająca z biegiem lat,

aż nagle, nie wiedzieć kiedy, spostrzegł, że zostało ich już tylko dwóch. A tym drugim był właśnie

Adam Księżopolski, biskup: rosły, barczysty infulat, przedwojenną metrykę poświadczający nie tylko zmarszczkami, lecz nade wszystko rysami twarzy,

po wojnie bowiem — można pomyśleć: ze strachu przed bolszewią — już się tacy nie rodzili, nawet potomkowie wielkich familii przychodzili na świat obleczeni w ochronne barwy fizjonomicznej bylejakości. A jego portret

mógł zdobić galerie antenatów w każdym magnackim gnieździe, ba! z samych ścian Wersalu i Schönbrunnu spoglądać miały prawo spod pięknie sklepionego czoła takie szare dumne oczy pana z panów,

który naprawdę był synem stolarza, a nazwisko pochodziło, rzecz prosta, nie od księcia, lecz od księżego pola, snadź uprawianego przez pradziadów,

choć Adam, jeszcze jako gimnazjalista, umiał przedstawiać się takim tonem i takim gestem podawał przy tym rękę, iż to, w połączeniu z jego wyglądem, kazało wręcz słyszeć: księżę polski.

Był więc fizjonomicznie predestynowany do ponadprzeciętnych godności, i Kozerski, zaraz po jego mszy prymicyjnej, przepowiedział, że zostanie biskupem, a w myślach dodał: głupim biskupem.

W klasie maturalnej siedzieli w jednej ławce, nie dlatego, że wcześniej byli ze sobą blisko, lecz z musu, obaj bowiem jako nieliczni, a kto wie, czy nie jedyni w czwartej B, nie należeli do organizacji komunistycznej, ta zaś w pewnej chwili nakazała swym członkom bojkotować nie zrzeszonych i tworzyć dla nich getta ławkowe; po miesiącu ktoś we władzach zreflektował się i rozkaz cofnięto, lecz im już nie spieszo było wracać w dawne sąsiedztwo, do kolegów, którzy ich przepędzili jak trędowatych, toteż do matury zostali razem w tej, do dziś pamięta, ostatniej ławce w rzędzie od okna,

i nawet polubił Adama, dużego, silnego chłopaka, który nie miał twarzy, lecz oblicze, a ono potrafiło jedynie jaśnieć lub posępnieć, zawsze kalkowo identycznie w swym dwubiegunowym ubóstwie wyrazu;

od wielkiego święta zaś pojawiała się tam również myśl, i wtenczas Adam długo, i jak gdyby z wysiłkiem, unosił brwi, albo jedną tylko, prawą, po czym z jego ust padały słowa bezwzględnie słuszne i najdokładniej na miejscu, roztropne rady oraz trafne sądy w rodzaju: „mniej licz na innych, bardziej na siebie” lub „są sytuacje, kiedy pośpiech nie jest wskazany” — do matury Kozerski dorachował się blisko pół setki ulubionych komunałów przyszłego biskupa,

„drugiego starego idioty, z którym tworzycie zgrany intelektualnie duet, wybacz, tato, że nie owijam w bawełnę, ale taka już jestem” — nie był w mocy sprawić, by nieliczne odwiedziny córki nie kończyły się kłótniami,

choć Kasia nazywa to dyskusją, kocha dyskutować i nieustannie węszy za przeciwnikiem, wzrok Kasi jak żagiew płonąca, dorodne piersi, które ma po matce, falują, kiedy dyszy nienawiścią do biskupa, „czytałeś, co on pieprzył w tej swojej homilii?”, i macha ojcu przed oczami przedrukiem kazania. „Średniowiecze! Inkwizycja! Stosy! Jego powinno się zamknąć w domu wariatów!”

— Wiesz, córeczko, trochę się orientuję w tych zagadnieniach, i, mówiąc szczerze, nie bardzo widziałbym podstawy. Może prędzej mój szanowny kolega Śnieżniewskij...

— Kto? — pyta machinalnie, nieuważnie, bezprytnym wzrokiem zaczytana w nienawistny tekst.

— Sowiecki psychiatra, który zamykał w szpitalach dydydentów, między innymi duchownych.

Podał przykład Śnieżniewskiego, choć, niestety, miałby na podporządku znacznie bliższy.

Zwykle wychodziła trzasnąwszy drzwiami, lecz czasem zdarzało jej się także wpaść w ton płaczliwo-liryczny.

— Dlaczego, tato, my dwoje nigdy nie umiemy się porozumieć?

I sama udzielała odpowiedzi:

— Bo to nie ja, tylko ty wzniosłeś między nami mur.

Wyszedł do kuchni zaparzyć świeżą kawę, a gdy wrócił, Kasia miała już poprawiony makijaż i oczy zakryte ciemnymi okularami.

— Nie akceptujesz mojego małżeństwa, tak? Bo Adrian jest Żydem? Tym się różnisz od mamy, że ona nigdy nie skreśla kogoś tylko dlatego, że jest innej narodowości albo wyznania.

— Ciekawe, czy tego samego zdania byłby Akiba Zylberstein? — nie powiedział córce. — Samotny, stary krawiec,

który szyl kostiumy dla teatru i chciał przed śmiercią pojechać do swojej ojczyzny,

więc pisał do władz grzeczne, z lekka uniżone podania, za co pewnego dnia zabrano go z domu, i skuty kajdankami jak złoczyńca, stanął przed kobietą w białym fartuchu,

doktor Barbarą Kozerską, kochanką dyrektora departamentu do spraw leczenia psychiatrycznego, majora służb specjalnych, niejakiego Grzelaka,

i ta podobno nawet nie badała pacjenta, bo już dzień wcześniej, na wszelki wypadek, podpisała rozpoznanie, dementia praecox, dwa słowa, które dla Akiby Zylbersteina oznaczały pobyt w oddziale zamkniętym, i szpryce, szpryce i jeszcze raz szpryce, tak długo, aż na zawsze odechce mu się Izraela,

dokąd i tak dwa lata później trafił, wraz z setkami innych, co nie chcieli nigdzie wyjeżdżać, toteż zmuszono ich siłą, a do dzieła tego dziarsko przyłożył się Grzelak, w nagrodę awansowany na wiceministra zdrowia i podpułkownika bezpieczeństwa,

być może twój ojciec, Kasiu.

— Tato, to wszystko nieważne. Jest jak jest. Dla mnie liczy się, że cię kocham. — Niekiedy i tak kończyły się wizyty; bardzo rzadko, bo w ogóle rzadko dzieje się w życiu coś dobrego,

ale być może nie po to życie jest, w każdym razie jego życie, które trwa już ponad sześćdziesiąt lat,

dokładnie tyle samo, co życie Adama, jaśniejszego na obliczu oficjalnym optymizmem oraz pochmurniejszego w obowiązkowej reakcji na pogaństwo i moralny upadek epoki; choć optymizm zawsze jednak bierze górę, musi wszak brać u reprezentanta instytucji, której bramy piekielne nie przezmogą.

Kozerski sam się dziwi, ale to prawda, że spory z córką zdają mu się równie niedorzeczne jak przytakiwanie Księżo-

polskiemu; pewnie to stąd, że w obu wypadkach to są doktryny; słowa jaskrawo okraszone emocją, lecz przecież w ich ustach wtórne, nie poparte prawdziwym doświadczeniem ni głębszą, osobistą refleksją, więc ma wrażenie, jakby rozmawiał z przemądrzałymi dziećmi. I przez to czuje się jeszcze starszy.

Lecz podrwiwając, że od spraw Bożych studentka Bielczyk ma biskupa, cokolwiek rozminął się z prawdą, miała go bowiem w pierwszym rzędzie od spraw ziemskich i jak najbardziej doczesnych, więcej: gdyby nie biskup, studentki Bielczyk w ogóle by nie było.

Tego dnia, gdy nie zdecydował się pójść ze sprawą Żanety do sędziego penitencjarnego, zatelefonował Adam, bez żadnej konkretnej sprawy, bo jakąż mógłby mieć dostojnik duchowny do psychiatry? chyba że oszalał, a to człowiekowi takiemu jak Księżopolski przenigdy się nie przydarzy; chodziło o to, że wrócił właśnie z Rzymu, a przy okazji ostatniego telefonicznego kontaktu — wtedy dzwonił Kozerski — ustalili, że po Rzymie będzie najwyższy czas się spotkać.

Dom biskupi — zbudowany z początkiem stulecia, wraz z eklektycznym kościołem, za którego plecami schował się przed zgiełkiem dużego śródmiejskiego placu — architekturą wnętrza kojarzył się ze szpitalem lub urzędem, takim szpitalem, gdzie ordynował Czechów, i urzędem, w którym straszyl Akakij Akakijewicz,

bo w kamiennych klatkach schodowych i zimnych korytarzach z podwójnymi oknami w głębokich wykuszach czas niewątpliwie płynął wolniej aniżeli na zewnątrz,

i co tu kryć, pomyślał Kozerski, to jest cała gęba instytucja w stylu retro, gdzie — wydawało mu się — zza któryś uchylonych drzwi ukaże się zaraz widok urzędników zgarbionych nad kałamarzami i liczydłami, i doprawdy, doprawdy, odruchowo wzniósł oczy ku stojącej na półpiętrze figurze

Chrystusa, mógłbyś cofnąć nam czas o sto lat; odrobinę spokojniej by się żyło.

Prywatne mieszkanie biskupa znajdowało się na drugim piętrze, nad biurami kurii, i w wystroju niczym nie odbiegało od typowych mieszkań wiekowych inteligentów, gdzie los pozwolił zachować część starych mebli, książek, bibelotów; u Kozerskiego było podobnie, więc czuł się jak u siebie, z tą różnicą, że u siebie przebywał sam, a tu miał towarzystwo i musiał podtrzymywać, a nawet zagajać rozmowę; na pół godziny starczyła inwentaryzacja ludzi i wspomnień, drugie pół zajęła opowieść o Rzymie; zagrażała cisza.

I wtedy przypominał sobie, że Żaneta wyraziła chęć pracy w domu starców albo szpitalu, więc spytał Adama, co on o tym sądzi; oczywiście, musiał znać wszystkie takie placówki w diecezji, które prowadzone były przez Kościół, a jego ewentualna protekcja w każdej z nich uczyniłaby Żanetę salową, Kozerski podejrzewał jednak, że nic z tego nie wyjdzie,

i nie zdziwiłby się, bo sam na miejscu Adama nie kwapiłby się pomagać w sytuacji tego rodzaju, w imię nie wiadomo czego narażając personel i pensjonariuszy; odmówi, i z głową, z ulgą rozstawał się z kłopotem, którym sam się obarczył; jako starej daty lekarz uważał, że ma wobec pacjentów, a więc, niestety, i wobec niej, obowiązek zadbać o warunki, w jakich znajdują się po wyjściu ze szpitala, chociażby po to, by mu nie wracali po tygodniu; chciał jakoś rozwiązać jej życiowy i mieszkaniowy problem,

lecz skoro się nie udało, i to z przyczyn przez nią zawnionych, gdyż dalibóg nikt nie kazał jej być taką, iż w normalnych ludziach wzbudza strach i odrazę — trudno, zrobił, co mógł; pewnie i tak za dużo dla osoby nie zasługującej na żadne względy.

Biskup spytał, za co była skazana, a dokładnie, „co złego uczyniła?“, więc odpowiedział, a potem,

mniej, by dopełnić ohydy wizerunku, lecz raczej, aby objaśnić niemożność powrotu dziewczyny do domu — opisał za Żanetą scenę gwałtu.

— To była jej rodzona matka? — chciał uściślenia Księżopolski, a gdy je otrzymał, oblicze spochmurniało, biskupia brew uniosła się i upłynęła dobra minuta, zanim namaszczonym głosem zawyrokował: — Doprawdy straszne.

I, jako że są słowa i reakcje, po których rozmówcy nie wypada ciągnąć dalej tematu, a to, co powiedział biskup, było takich słów i reakcji esencją, Kozerski najpierw zamilkł, a potem, trochę nieśmiało i sztucznie, spytał, jak posuwa się remont kościoła, a może o zdrowie metropolity albo o pogodę w Rzymie, i prawdopodobnie zagrali w szachy, co Księżopolski uwielbiał od gimnazjum, w przeciwieństwie do niego, którego do mdłości nudziły te wszystkie gambity i debiuty, lecz mimo to regularnie wygrywał,

i kiedy przed samą północą biskup odprowadził go na dół, gdzie czekała zamówiona taksówka, miał wrażenie, że na skutek zmęczenia przegapił jakiś wątek, bo zadane pytanie nijak nie pasowało do rozmowy.

— A propos, pamiętasz Marylę Woronicką?

A propos czego?

— Docent Woronicką? Naturalnie.

— Jest teraz przeoryszą u albertynek w Złotogórze, które, jak wiesz — Kozerski nie wiedział — prowadzą dom dla upośledzonych umysłowo. Zatelefonuję do niej jutro, może zgodzi się przyjąć dziewczynę do pomocy.

Po wakacjach przyszli psychiatrzy stawili się w liczbie ośmiu: pięciu wyraźnie bystrych chłopców i trzy dziewczyny, w tym Anna Bielczyk.

Zaczął jak z każdym nowym rocznikiem.

— Moi państwo. Dokonując wyboru specjalizacji, musicie, rozumiem, świadomość specyfiki tej gałęzi medycyny,

jaką jest psychiatria. — Zapalił papierosa, kilka razy głęboko się zaciągnął, i jego spojrzenie jak kamera przesunęło się po ich twarzach; szukał śladu dezaprobaty. — Uprzedzam: jeżeli ktoś z państwa ze względu na schorzenie układu oddechowego, alergię lub w imię ekologicznej mody nie toleruje palenia, lepiej niech już w tym momencie zrezygnuje. Bo oddział szpitalny śmierdzi jak popielniczka, a pacjent psychiatryczny pali najmniej czterdzieści papierosów dziennie.

Dwie pannice wyglądały na takie, co modnie krztuszą się od dymu i protestują przeciw zmuszaniu do biernego palenia.

— Kto nie pali, niech czym prędzej zacznie, mówię serio. O wiele lepszy jest kontakt z pacjentem, jeżeli możesz go poczęstować, podać ogień, wypalić z nim fajkę pokoju. — Spojrzał na Ankę i zmusił się do uśmiechu. — Wiem, że pani Bielczyk kurzy jak parowóz, więc może was nauczyć.

Zrobił pauzę. Za oknami głównego gmachu, w ogrodzie, gdzie poszczególne kliniki, w tym jego psychiatryczna, rosły stare topole, które, nie wiedzieć czemu, wszystkie naraz zaczęły w tym roku chorować; niefortunna wizytówka uczelni lekarskiej, pomyślał, patrząc na łyse korony drzew, i jakby zły omen na nowy rok akademicki; a poza tym żal mu było topoli, z którymi żył się przez prawie już ćwierć wieku — tak, dokładnie po raz dwudziesty czwarty robi otrzęsiny młodym adeptom.

— Kto z państwa wie, jakie są korzenie psychiatrii?

Cisza. Napotyka wzrok Anny Bielczyk, która, jeśli nie z książek, to z własnego życia zna odpowiedź. Pozostali chyba nawet nie rozumieją pytania.

— Otóż, moi drodzy, psychiatria w sposób bezpośredni wywodzi się z więziennictwa. Do końca osiemnastego wieku umysłowo chorzy na równi z kryminalistami zakuwani byli w łańcuchy i dopiero niejaki Pinel zauważył między nimi różnicę i zalecił odmienne traktowanie. Przykro to mówić, ale sami państwo się przekonacie, że Pinelowskie rozróżnienie budzi w poszczególnych wypadkach wątpliwości.

Powtarzał te słowa rokrocznie, ale chyba na nikim nie wywarły takiego wrażenia, jak na tej dziewczynie, jego byłej pacjentce, która gwałtownie odłożyła notes,

bo tego nie musi zapisywać, robią to za nią nerwy; Kozerski wie, że wzięła te uwagi do siebie, ale nie odczuwa współczucia, jedynie niesmak, i jest mu trochę głupio.

— W naszej branży problem zdrowia i choroby nieustannie spleta się z zagadnieniami dobra i zła. Czasami zazdroszczę internistom i wszystkim innym kolegom od chorób somatycznych.

Sięgnął po nowego papierosa.

— I punkt ostatni wprowadzenia. Domyślałem się, że niektórzy z was przyswoili sobie różne poglądy głoszone przez niefachowców nazywających siebie psychologami albo psychiatrami humanistycznymi. Oświadczam zatem: pacjent psychiatryczny to nie żaden myślący inaczej, czujący inaczej i widzący świat inaczej, ale — człowiek chory. Prywatnie możemy pozachwycać się jego wrażliwością, oryginalnością skojarzeń, pomysłowością urojeń, poezją mowy, jako lekarze natomiast — musimy go leczyć! To tyle na początek, od przyszłych zajęć spotykamy się w klinice.

— Aha. — Przypomniał sobie o rutynowym zakończeniu pierwszego spotkania. — Wiecie, jakim mottem opatrzył Bilibiewicz swój klasyczny podręcznik?

Nikt nie wiedział, Kozerski uśmiechnął się.

— Słowami Andrzeja z Kobyлина: Nie wierzyszli? Oglądaj.

Więc szli za nim i oglądali. Bardzo dobry rocznik, raz na dekadę taki się trafia, a Bielczyk była z nich najzdolniejsza, nie pamiętał, kiedy ostatni raz, i czy w ogóle, miał taką słuchaczkę,

i żałował, do ciężkiej cholery, żałował satysfakcji, jaką w innym wypadku, w normalnym porządku rzeczy, na pewno by odczuwał, bo lubił pracę ze studentami,

ale zamiast tego był porządek senny, oneroidalny, mówiąc językiem psychiatrii, gdy w kolejne środy i piątki witali się rano i Bielczyk, odczytując właściwie jego spojrzenie, odpowiadała oczami Scaevoli trzymającego dłoń w ogniu,

a wtedy niezmiennie przypominał mu się absurdalny sen sprzed kilku lat, kiedy miał gripę i 40 stopni

— śniło mu się, że wychodzi z mieszkania, prowadząc Trampa na spacer, i równocześnie z drzwi sąsiadów, tak że niemal na siebie wpadają, również wychodzi mężczyzna z psem,

a ściśle z rudopodpalaną suką owczarka niemieckiego, którą Tramp natychmiast chce wachać pod ogonem, ale nowy sąsiad — bo to chyba sąsiad, wprowadził się do mieszkania tej staruszki, co umarła — karcąco woła: Blondi!

Tak widać suka ma na imię, a wtedy Kozerski prznosi wzrok ze zwierzęcia na właściciela, którego twarz wypogadza się, gniew wywołany niesubordynacją Blondi odpywa.

— *Guten Tag, Herr Professor!* — mówi z serdecznym uśmiechem Hitler i lewą ręką ściąga smycz, a prawą chce mu podać.

— *Nein! Deine Banditen stoppten die Strassenbahn und lassen die Passagiere aussteigen!* — Chyba krzyczał przez sen, musiał krzyżeć, bo nie można inaczej, i trzeba na całe gardło, gdy do głosu nagle dorwie się dzieciństwo. — *Sie laden die Männer und Frauen getrennt auf die Wagen! Getrennt die Kinder!*

Ale dłoń wyciągnięta do powitania, zgody nie cofa się, wiśi przed nim uporczywie, i nagle słyszy słowa wypowiedziane czystą polszczyzną, od których przebiega go dreszcz.

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

I w tym momencie jest przebudzenie, świadomość non-sensu, i śmiech, jeszcze nigdy tak się nie śmiał po przebudzeniu; a wstrząsana przepona jak pompa wyrzucała z brzucha obrzydzenie i strach.

Wiec zajęcia na uczelni mają w tym roku klimat tego snu, lecz nie są snem, i nie ma szans ocknąć się do jawy i śmiechu.

Koledzy zazdrościli mu studentki z najwyższą średnią w indeksie, zwłaszcza profesor Wilga, endokrynolog, podług którego ta dziewczyna marnowała się na psychiatrii, „nie obraź się, Stefanie, ale żeby ogarnąć kilka wiadomości o neurohormonach i lekach inhibitorowych, szkoda naprawdę takiej wiedzy i umysłu”,

ale Stefan wcale się nie obrażał, bo, wedle niego, wszelka podręcznikowa wiedza wydawała się mało użyteczna w psychiatrii, która, mimo coraz to nowszych osiągnięć naukowych, zwłaszcza amerykańskich, jest nadal i długo jeszcze, przynajmniej do końca jego życia, pozostanie magią,

tak jak o magię ociera się motyw kierujący studentką Bielczyk przy wyborze specjalizacji, a on, dalibóg, nigdy studentki Bielczyk do siebie nie zapraszał.

To było tuż przed przerwą semestralną, w styczniu, który wypowiedziawszy służbę zimie, jak renegat miotał się tam i z powrotem między wiosną a jesienią, aż — nie należąc do żadnej pory roku — stał się meteorologiczną nijakością, błotnym zlepkiem dni skazanych na zapomnienie, nikt bowiem już po kilku miesiącach nie będzie umiał powiedzieć, jaka była w styczniu pogoda, i właśnie w takie przedpołudnie bez aury, gdy za oknem ciurkał niewydarzony deszcz,

przyszła na jego dyżur,

do nowego pokoju, dokąd niedawno się przeniósł i który był po remoncie, świeżo odmalowany, i stało w nim nowe biurko, pachnące lakierowaną sklejką, czym konkurowało z ostrym chemicznym wyziewem podłogowych wykładzin; nowy gabinet,

co nie zdążył jeszcze nabrać charakteru, podobnie jak pogoda w nowym, dopiero rozpoczynającym się roku. Gdy zapukała,

wieszal właśnie na ścianie kalendarz z fotografiami słynnych katedr, podarunek kogóż by innego, jak nie księdza biskupa, jedyny, jaki dostał na Gwiazdkę, bo Kasia wyjechała do Stanów.

Weszła, jak gdyby wnosząc milczenie, i wydała się Kozerskiemu niższa niż zwykle; niska, drobna dziewczyna w spodniach i kurtce z wytartego dżinsu, niemo wpatrzona w fotografię Notre Dame.

— Niechże pani usiądzie, słucham...

Ale nie usiadła, tylko postąpiła krok w stronę biurka i zatrzymała się niby w obawie, że bliżej już nie wolno, bo przed czubkami butów, w których utkwiała wzrok, przebiega niewidzialna linia,

jakieś zakłęte kredowe koło.

— Słucham — powtórzył.

— Przyszedłam się pożegnać. — Zdziwił się; intuicyjnie wiedział, że na swój utajony sposób bez przerwy mu się narzuca, ale przyjdzie, ot tak tylko, żeby się pożegnać przed feriami, byłoby już narzucaniem się zupełnie jawnym; nie lizusostwem nawet, czego nie cierpiał u studentów, ale karykaturą lizusostwa. — I podziękować panu za wszystko. — Skrzywił się, chciał przebrać. — Bo w nowym semestrze już się pewnie nie spotkamy.

— Przenosi się pani do profesora Wilgi?

— Nie. Idę, to znaczy wracam do więzienia. Sąd uznał, że dalsza przerwa w odbywaniu kary jest bezzasadna.

Ostatnie zdanie zacytowała prawdopodobnie dosłownie z tekstu postanowienia.

— Może pani jednak usiądzie. — W tej grzeczności wy-czerpywało się całe współczucie dla Anny Bielczyk,

która, ociągając się, przysiadła przed nim na krześle; poczęstował ją papierosem.

— Zasięgnięto opinii biegłych? — spytał, bo to go w pierwszym rzędzie zainteresowało, z zawodowego punktu widzenia.

— Nie. Ale chyba dla każdego jasne, że nic mi nie dolega. Osoba zaburzona nie mogłaby przecież studiować.

Wydymuchała dym, bezwiednym ruchem ust formując kółka, których lot i rozmazywanie się w powietrzu zdawała się śledzić z takim napięciem i koncentracją, jakby odczytywała z nich wróżbę.

— Przede mną cztery bardzo trudne lata.

— Tylko cztery? — wyrwało mu się nietaktownie.

— Amnestia zmniejszyła wyrok o połowę — wyjaśniła rzeczowo, najmniejszą zmianą na twarzy nie reagując na jego *faux pas*. — Oczywiście zaliczyli areszt śledczy.

Rozum Kozerskiego spierał się teraz z sercem, którym całym był za decyzją sądu, przywracającą nie tyle już nawet sprawiedliwość, ile elementarny ład

w świecie, gdzie rozerwały się podstawowe, proste związki, w tym także związek winy i kary,

lecz spokój serca — to dobre słowo, bo przecież, u licha, nie radość — mąciła samonarzucającą się myśl, iż nonsensem jest zamykać najzdolniejszą studentkę medycyny z osobami pokroju Żanety,

zmuszając, aby powtórnie stała się Żanetą. Myślała o tym samym.

— Znam więzienie. Tam jest wiele zagrożeń. Zewnętrznych, ale również tych we mnie. — I nagle ściągnęła z szyi krzyżyk i położyła na biurku.

— Przysięgam, że nigdy nie cofnę się do tego etapu życia, kiedy mnie pan poznał!

Na widać się po blacie srebrnym łańcuszku wyglądał jak mała, połyskliwa traszka; Kozerski poczuł się nieprzyjemnie zmieszany, zażenowany symboliką, uderzony teatralnością. Przymknął powieki,

by choć na chwilę zniknęła, a kiedy znów na nią spojrział,

łańcuszek był z powrotem na szyi, a krzyżyk schowany pod bluzką.

Ten sam znak, na który przysięgała, wisiał na wprost jego oczu, więc go kontemplował, z lekka ekspresyjne dzieło, czekając, aż Książopolski wykona posunięcie, po którym, jakiegokolwiek będzie, i tak dostanie łupnia, bo nie ma już żadnej obrony przed jednoczesnym atakiem na króla i hetmana; myślał, że ten krucyfiks ociera się o niezgodność z kanonem, więc nie rozumiał czemu skądinąd konserwatywny duchowny umieścił go w prywatnym gabinecie,

ale nowe docierało już wszędzie, i nie oszczędzało także Kościoła,

który rozrastał się nowotworem awangardowej sztuki sakralnej i ustami postępowych księży wydawał z siebie agonalny bełkot. Gdzież, gdzież się podział ten stary ksiądz katecheta,

zapamiętany z dzieciństwa, z wizją piekła na ustach i liniijką w dłoni, narzędziem kary jak najbardziej doczesnej? Nie, Kozerski nie oczekuje od Kościoła obietnicy powtórnego przyjścia Chrystusa, jemu starczy, że wróci tamten ksiądz.

Brwi Książopolskiego, obie brwi, uniesione były tak długo, aż przeszło to wytrzymałość, i wtedy skapitulował.

— No cóż robić? Znowu mnie ograłeś. Ale i tak ten dzień był pomyślny — dodał po chwili z nagłym przeskokiem ku najwyższej powadze tonu.

Po czym wyjął z biurka jakiś papier, najwyraźniej urzędowy, i położył obok szachownicy.

— Przeczytaj, Stefanie.

Było to pismo, Kozerski z zaskoczeniem zobaczył, sygnowane przez Prezydenta Rzeczypospolitej, więc pomyślał, że musi chodzić o jakiś arbitraż głowy państwa w sporze między kurią a lokalnymi władzami,

lecz nie, to jest prezydencki akt łaski, jedna z kopii, z dołączonym kurtuazyjnym listem,

a pozostałe poszły formalnoprawną drogą do właściwych

instytucji wymiaru sprawiedliwości, pan prezydent bowiem w pełni podziela pogląd J. E. księdza biskupa na przedłożoną sprawę i z przyjemnością korzysta z przysługującego mu na mocy Konstytucji prawa... Konstytucja, Prezydent, Ekscelecja — a wszystko po to, by Anna Bielczyk nie wróciła za kratki.

Odłożył pismo i spojrzął w jaśniejące oblicze.

No tak, jużes wolny, Adamie. Kasia Weiss na ten jeden dzień, na próbę wypuści cię z domu wariatów. Bo wreszcie stanąłeś po właściwej stronie, po stronie tych, co zabraniają zabraniać i karać, i nienawidzą nietolerancji oraz represyjności, więc dzisiaj — ty dla nich jesteś gość!

— Sądziłem zawsze, że prawo łaski dotyczy skazanych na śmierć — powiedział, przecierając okulary, bo Księżepolski nie znosił papierosów, toteż trzeba było szukać jakiegoś zastępczego gestu.

— Zniesiono, jak wiesz, karę śmierci.

Ach, tak. A zatem, by prezydent nie poczuł się niepotrzebny, należy prosić go o darowanie wszelkich kar, nawet tych najłagodniejszych,

albowiem każda kara jest represją i prymitywnym odwieciem społeczeństwa na jednostce,

a po wtóre, nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni,
a po trzecie, kara w gruncie rzeczy nie odstrasza,
a po czwarte, moją jest zemsta, rzecz Pan.

No, dalej! Zbierzcie się we dwoje z moją córką i napiszcie do prezydenta list, by z góry odpuścił wszystkie winy oraz darował wszystkie kary,

byśmy w XXI wiek mogli wkroczyć bez haniebnego przemytku, jakim jest więzienna krata, w imię Ojca i Syna i Ducha Postępu, amen!

Księżepolski starannie, nieomal pieścizotliwie, składał pismo i chował na powrót do pięknej prezydenckiej koperty.

— Powiedz mi jedno, Adamie. Do kogo mógł zwrócić się o łaskę tamten chłopak? Skuty kajdankami, bezbronny na-przeciw bandy zwyrodnialców, którzy dla zabawy przecinali mu kości. Słucham cię: kogo miał prosić? Prezydenta? Biskupa?

Cisza. Tylko szelest koperty wkładanej do szuflady. Cisza, trwająca pod gwarancją nowego gestu, zajęcia dla dłoni, która wzięła z szachownicy figurkę hetmana, obraca, i od dotyku drewna płynie żyłami, nerwami, płynie w górę jakiś znieczulający prąd,

więc, gdyby nie ta figurka, pękłaby cisza,

i Księżopolski dowiedziałby się, że draństwem jest przebaczać w nie swoim imieniu, a zwłaszcza powołując się przy tym na Chrystusa,

albowiem On przebaczył cudzołożnicy, a nic nie wiemy, jak zareagowałby na bestialskie morderstwo, kto zaś twierdzi, że posiada taką wiedzę, ten łże i nadużywa Ewangelii.

I do zsinienia, zdrętwienia zaciskając palce na figurce, nie powiedział również, że nawet jeśli wszyscy, łącznie z samym papieżem, pochyla się nad katami, by z troską oraz czymś na kształt chorobliwego uwielbienia babrać się w ich patologicznych psychikach,

on jeden, człowiek jak najdalszy od świętości, stary cudzołożnik i renegat Kościoła, będzie mówił w imieniu tych, co już są niemi,

podczas gdy kat tokuje dziesiątkami języków, których używają mu media, nauka i religia, kata wynoszą na piedestał,

a intelektualiści łamani przez humaniści na wypródkę pędzą składać mu pokłony oraz kwiaty swych myśli,

bo mają wprawę, w tym stuleciu zdążyli już uwielbić Hitlera i Stalina, Sartre, Hamsun, Eluard, Ezra Pound, Picaso, Heidegger, i wiele, wiele innych sław,

a bezimienne miliony szły w tym czasie do gazu i ginęły w wiecznych lodach Kołomy,

i to tylko przypadek, że jemu udało się dożyć końca wojny i ocalał,

lecz przez to nie przestał być jednym z nich, więc nigdy, w imię żadnej nadętej doktryny, nie zdradzi swoich.

— Ja też cię o coś spytam. — Księżopolski również wziął z szachownicy figurę, więc jest tak, jak gdyby znowu grali, choć według absurdalnie zmienionych zasad. — Jak godzisz taki stosunek do niej z obowiązkami profesora? Bo przecież jesteś jej profesorem.

Kozerski milczał.

— To musi być dla ciebie przykra sytuacja — odpowiedział za niego biskup; po swojemu: słusznie i banalnie. — Ale, jeśli chcesz wiedzieć, jej także jest trudno...

— Trudno — odrzekł echem.

W następnym semestrze spotykali się zatem, z prezydenckiej łaski, nadal, tym razem w poniedziałki i czwartki; zrobił kolokwium z leków psychotropowych, które napisała na najwyższą ocenę,

a właściwie, myślał, to wykracza poza skalę ocen, bo piątka należy się tym, co wkuli, a następnie przepisali podręcznik z głowy, tu zaś, przed snem raz jeszcze przejrzał jej pracę, zamiast bierności odpowiadającego studenta, jest — aktywność wykładowcy, maniaka swej dziedziny wiedzy,

który w natchnionym pośpiechu tłumacząc zagadnienie, zarazem sam sobie stawia pytania, szuka, odkrywa kolejne warstwy sensu,

i jakże charakterystycznie wygląda tablica po takim wykładzie, gęsto i na pozór bezładnie upstrzona symbolami i rysunkami,

zupełnie jak tych osiem stron papieru podaniowego, które długo jeszcze po zgaszeniu światła ma przed oczami, oraz jej podpis, urzędowo, w lewym górnym rogu każdej i z urzędowo niemądrą inwersją — Bielczyk Anna,

studentka Bielczyk, jak ją sobie na początku nazwał, bawiąc się urągliwym zestawieniem,

której nie mógł nazajutrz oddać kolokwium, a już pogodził się z tym w nocy, że przyjdzie mu złożyć króciutkie gratulacje i zmusić się do uśmiechu,

lecz studentki Bielczyk nie było ani w poniedziałek, ani w czwartek, pierwszy raz, odkąd prowadził z nimi zajęcia, i grupa bez niej wydała mu się nie tyle niekompletna, ile zdeformowana, pozbawiona dotychczasowej symetrii,

naprawdę prowadził bowiem dwie grupy: jednoosobową nazwiskiem Bielczyk oraz kolektyw siedmiorga pozostałych, mniej lub więcej spójny, ale jednak kolektyw, od którego się odseparowała, a Kozerski, doświadczony pedagog, jednym spojrzeniem ogarniający wszystko, co dzieje się między jego studentami, wiedział, że tym sposobem, i tylko tym sposobem, zapracowała, jak to się dziś modnie mówi, na image osoby tajemniczej,

gdyby bowiem odwrotnie, garnęła się do nich, ta młodziź, wielkomijska, inteligencka, natychmiast spostrzegłaby u niej elementarny brak obycia towarzyskiego i tę jej, Kozerski szukał słowa, chyba należałoby powiedzieć: dzikość.

Dwóch chłopców, zauważył, próbowało ją podrywać, ale, oczywiście, dwóch najmniej doświadczonych, uśmiechnął się ten, który jeszcze nie tak dawno sam miewał romanse, bo z tym było u niego podobnie jak z szachami, niezbyt lubił, nudził się, a jednak dobrze grał,

i w związku z tym wiedział, że są kobiety, nie że w ogóle, ale w danej chwili nie do wzięcia, co bardzo łatwo poznać po zachowaniu, słowach, mimice, i to niemal natychmiast, na pierwszy rzut oka, jeśli nie jest się facetem młodym i ślepo napalonym,

tak jak koledzy Robert i Wojtek, których umizgi, miał to sposobność podpatrzeć, zbyła z takim niesmakiem, jakby się przed nią obnażyli.

A kiedy zjawiła się w następny poniedziałek, w jego gabinecie na terenie kliniki, gdzie zbierali się zawsze o 9.30, zapadła na chwilę zaintrygowana cisza,

której nie rozumiał, choć istotnie było jasne, że to nie takie zwykłe pojawienie się po nieobecności spowodowanej czymś prozaicznym, ale — powrót,

a w wyglądzie powracających jest coś z lekka egzotycznego, co przykuwa uwagę, i taka egzotyka emanowała z Anny Bielczyk.

— Widziałam cię w telewizji — powiedziała Lidka Fedorczyk, albo Fedorczyk, i to tak, jak gdyby w imieniu wszystkich tu obecnych,

z których jeden Kozerski nie wiedział, że była w Czeczenii z konwojem wiozącym dary Caritasu,

lecz za to on jeden zrozumiał, dotarło do niego, że to musiała być jej pierwsza myśl i pierwszy plan po otrzymaniu paszportu, którego przed ułaskawieniem, pozostając formalnie więźniem, nie mogła przecież posiadać.

— W telewizji? — spytała starając się ukryć lęk, czego panna Fedorczyk, a może Fedorczyk, coraz gorzej z wiekiem z pamięcią do nazwisk, nie wychwycała, bo nie mogła — w jej głowie nie mieściło się wszak, że ktoś boi się pokazania w telewizji; co z tego, że telewizory są wszędzie, w każdym domu? — to fajnie, że człowieka wszyscy zobaczą, i zazdrościła Ance, bo sama, ze swoją figurą modelki, chciała być takim w każdym domu oglądanym człowiekiem.

A potem przez godzinę pytali ją o wrażenia, a ona bardzo rzeczowo, bez egzaltacji odpowiadała,

zaszczepiając w nich koszmar wypalonych domów, nie pogrzebanych trupów i tego wszystkiego, co znał jak pacierz wyuczony w dzieciństwie, więc już na nim nie robiło wrażenia,

za to co innego budziło niepokój: umacniające się, w miarę jej słów, w rytm jej opowieści, przekonanie, że to jest mimo wszystko gra,

którą podjęła ze sobą i światem, niebezpieczna przez sam swój rozmach,

ha! co za rozmach, skoro wciągnęła do niej dostojników państwa i Kościoła, a teraz jeszcze bierze się za historię!

Na wielkich i wciąż rozrastających się skrzydłach, wysoko i coraz to wyżej szybuje mała, na wpół obłąkana kryminalistka — dokąd? A czyż ona sama wie?

I zaprawdę trzeba być biskupem Adamem, pomyślał, by z tego lotu wróżyć cokolwiek poza nieszczęściem.

A potem przeszedł cały rok, kiedy w związku z Anną Bielczyk nic się szczególnego nie zdarzyło i jej sprawa w końcu zaczęła Kozerskiemu powszednieć, tak jak pewnie spowszedniałby i Hitler, gdyby rzeczywiście miał go za sąsiada i codziennie spotykał na spacerze z psem;

choć z Hitlerem akurat, zupełnie nie onirycznie i nie majaczeniowo zaczął mieć nagle do czynienia, bo jakby nie dość normalnych zmartwień, myślał, to jeszcze przyłażą upiory,

co — obok bólów, miażdżycy i niedołęstwa — jest przypadłością typowo starczą, chociażby z tej prostej przyczyny, że człowiek młody nie posiada upiorów sprzed pół wieku z okładem,

takich jak Wolfgang Amadeus von Eisenwald, Medizin und Philosophie Professor, który istotnie wyglądał jak odgrzebany z ziemi,

z opadniętą dolną szczęką, co z wysiłkiem poruszała się w rytm mamrotliwie skandowanych słów, i chudymi, szkieletowatymi rękami,

z których prawą wyciągnął przed siebie, a wszyscy ją po kolei ściskali, według starszeństwa oraz zasług, a więc najpierw Jego Magnificencja, potem prorektor i profesorowie zwyczajni,

na czym telewizyjne wiadomości przerwały relację; jako ostatniego pokazano zgiętego wpół Wilgę, i nadzwyczajni

profesorowie musieli już ustąpić miejsca na ekranie strajkującym górnikom; wyłączył telewizor

i przez chwilę miał ochotę zadzwonić do Wilgi, żeby pogratulować mu występu, i uświadomiwszy sobie, że niewiele brakowało, a naprawdę by to zrobił, przeląkł się, że dziecinieje,

co dokładnie zgadzałyby się z opinią rektora, że „pan profesor Kozerski zachowuje się jak kontestujący student”, a takie zdanie pod adresem człowieka po sześćdziesiątce w sposób oczywisty zawiera ocenę jego władz umysłowych, i w uśmiešku Magnificencji czało się implicite słowo miażdżyca,

lecz to bynajmniej nie cały kłopot ze starymi, że na nią cierpią; najgorsze to, iż pamiętają przedpotopowe czasy, oczywiście o wiele lepiej niż aktualne zdarzenia, to charakterystyczne dla sklerozy.

— Nie powinno się myśleć historycznie — rzekł Wilga, a w jego głosie słychać wręcz było pogardę dla historii jako dziedziny nauki, sam bowiem był specjalistą od spraw naprawdę potrzebnych; lecz cóż wymagać, pomyślał Kozerski, od jakiegoś endokrynologa, epoka, gdy lekarze byli ogólnie wykształceni, dawno wszak minęła, dziś nawet łaciny nie znają;

lekarze, inżynierowie, tak jak jego ojciec, po Politechnice Lwowskiej, spec od budowy mostów, który cytował z pamięci całe strony Horacego i Wergiliusza, i czytywał w oryginale Aleksandra Oniegina; za czasów ojca każdy, kto miał maturę, był już inteligentem, a dziś trudno o inteligenta wśród magistrów,

a czyż jest nim nawet ten rektor, sama tłusta, chodząca mądrość, który niedawno w jakiejś rozmowie poczynił uwagę, że coś tam, Kozerski nie pamięta już co, jest rodem ze średniowiecznych szkół jezuickich — za to doskonale pamięta wstyd, przykry wstyd za kogoś, tak jakby jego rozmówca nagle głośno pierdnął.

Lecz mimo to przez tyle długich lat żył z nimi w zgodzie, choć z lekka na uboczu, tak jak jego klinika, moja chata z kraja, mająca wejście, nie jak wszystkie inne z terenu uczelni, lecz od ulicy, i jakby zwrócona do reszty budynków plecami; mnóstwo pali, do kawy chętnie wlewa koniak i podobno sypia czasem z pielęgniarkami — tyle o nim wiedzieli, na plus przypisując mu jego bezkonfliktowość, bo rzeczywiście nigdy nie brał udziału w koteryjnych wojnach na intrygi, które zżerały to środowisko od wewnątrz;

i stąd ta złość, ta ich furia, że taki człowiek-nikt śmie stać między nimi a ogromną kupą niemieckich marek

z fundacji, która wspiera biedne uczelnie medyczne w Europie Środkowej i Wschodniej,

a której prezesem oraz ozdobą jest Wolfgang Amadeus von Eisenwald, papież niemieckich neurologów, odkrywca zespołu Eisenwalda i autor monumentalnego dzieła *Neurologische Probleme der Jugend und Adoleszenz*,

a trzydzieści lat wcześniej krótkiej rozprawy o patologiach systemu nerwowego u Żydów i Słowian,

co ten Kozerski, wart własnych pacjentów, wyciąga akurat w chwili, gdy senat chce dać Eisenwaldowi tytuł doktora honoris causa.

— Trzeba trochę Stefana rozumieć: więzień obozu, przewrażliwiony — usprawiedliwiał go Wilga, jedyny z profesorów, z którym był po imieniu.

— Oszalałeś?! — zareagował, gdy Kozerski zwierzył mu się ze swojego zamiaru tydzień przedtem, nim publicznie postawił senatowi ultimatum: albo Eisenwald, albo on; i wszyscy mieli takie same mniej więcej miny jak Wilga, a profesor Leżańska, kardiolog dziecięcy, dyskretnie popukała się w czoło.

Był kwiecień, i wiedział, że to już sama końcówka jego dwudziestopięcioletniej przygody z uczelnią, bo Eisenwald, oczy-

wiecie, swoje dostanie, a głupi Kozerski jak niepyszny będzie musiał odejść; na krótko przed emeryturą, on, profesor zwyczajny, pocznie chodzić od drzwi do drzwi w poszukiwaniu pracy;

szedł w przedziwnie ciepły wieczór, będący forpoczta lata, lata nieuchronnie obciążonego kłopotem; nie dramatem, bo ten nie powstaje z byle gówna, ale kłopotem właśnie, niepotrzebnym bólem głowy, a wszystko przez tego zombi, ten sarkofag absurdalnie zmartwychwstały, tak jakby mało było młodego i świeżego draństwa.

Czy postąpił, jak należało? Czy mógł nie dopuścić do tego, że oto — jeden z ostatnich jego powrotów z pracy na piechotę? Bo przecież znikąd nie będzie miał do domu równie blisko, więc już mu stoi w oczach, kręci w nozdrzach wyobrażenie zatłoczonych autobusów i tramwajów,

bo po czterdziestu latach pracy nie dorobił się samochodu, sam nie rozumie czemu, biedniejsi dawno mają, a on nie, choć lubi prowadzić i jest niezłym kierowcą.

Wystarczyło zgłosić sprzeciw, votum separatum wobec senackiej uchwały, a wtedy i sumienie miałby czyste, i stanowisko zachowane, wilk syty i owca cała; ale to ultimatum, którego już nie cofnie, samobójcze, z góry przegrane — czemu? Żeby przypomnieć stuletniemu Eisenwaldowi grzechy młodości? Albo by zagrać na nerwach pazernym prostakom z profesorskimi tytułami? Jedno wie — nawet gdyby mógł, nie zmieniliby decyzji; nieważne skutki, liczy się, że pewnie ostatni raz w życiu zrobił coś, co sprawiło mu przyjemność; na tej samej zasadzie, jak niektórzy przed śmiercią udają się w podróż dookoła świata lub idą do burdelu.

Tak rozmyślając doszedł do punktu, gdzie biegnący od Akademii szeroki, rozbuchany bulwar przecinała jego uliczka, wąska i ciemna jak szczurzy szlak, i stąd miał już tylko dwieście metrów do pustego mieszkania z nie posłanym łóżkiem i stertą

brudnych naczyń w zlewie, bo od tygodni za sprawą Wolfganga Amadeusa Eisenwalda staczał się w kompletną abnegację i denerwowały go najprostsze domowe czynności, codziennego użytku przedmioty, a nawet Tramp, głupi rudy jamnik, który irytującym skomleniem usiłował wyrwać swego pana z marazmu, kierowany na równi sercem, co pęcherzem;

więc — wzrok Kozerskiego odwrócił się od ciemnej perspektywy dwustu metrów ku oświetlonemu szyldowi kawiarni w narożnym budynku; nigdy tam nie był, choć przechodził obok co wieczór przez ćwierć wieku, i pamiętał jeszcze czasy, gdy była to knajpa furmanów z ostatniego w mieście postoju dorożek: pasażerów dawno odebrały im taksówki i zostało długie, bezczynne czekanie na klienta, który chciałby przewieźć drzwi, okno, lustro czy coś równie nieporęcznego do zabrania samochodem;

na zewnątrz knajpy konie pojadały obrok i walały kupy, w środku ich panowie chlali piwo z wódką, Kozerskiemu na zawsze utkwił w pamięci taki stary i łysy, co od drzwi prawie że na czworakach laził do swego siwka,

aż nagle wyprostował się i hardo unosząc głowę, z ochryłym zaśpiewem oznajmił na całą ulicę:

*A mój ojciec, furman, furman
co zarobił, oddał kurwam.
I ja będę taki sam,
co zarobię, kurwom dam!*

A potem dorożki znikły, a w knajpie pili ohydni faceci, zależnie od społecznego usytuowania z teczkami albo torbami monter-skimi, te wszystkie Geńki, Józki, Waldki, przynoszące do stolika swary i intrygi z zakładu pracy, tak się mówiło w owych czasach, i jeszcze do dziś niekiedy mówi: zakład pracy,

czyli wylęgarnia bełkoczących panów Zdzisiów, mędrkujących Lesiów, buńczucznych Czesiów, na których widok

von Eisenwald najpewniej posikałby się ze szczęścia, bo nikt, nikt bardziej od nich — Kozerski uśmiecha się gorzko — nawet ci nieszczęśni furmani,

nie mógłby mu tak naocznie potwierdzić tezy o niższości Słowian. A dziś na tym rogu jest przyciemniona winiarnia z jazzem, i przy stoliku sama młodzież, więc odruchowo cofnął się, tak jak człowiek, który w hotelu pomyliłby pokoje; ale ponieważ nikt nie zwrócił na niego uwagi, wrażenie niestosowności opadło i przez półmrok nasączony dźwiękiem trąbki dotarł do wolnego stolika. Zamigotały w oczach nogi kelnerki,

jeszcze wcale niedawno miał podobną, niewiele starszą, dobrą dziewczuskę i cierpliwą, lecz mimo to uznał, że nie godzi się dłużej wygłupiać, i z tym, jak ze wszystkim w życiu nadszedł pożegnania czas. Zamówił kawę, dwa koniaki, zasłuchał się w Armstronga,

chrypiącego o bandycie, co miał ksywę Mackie Knife i nosił rękawiczki, żeby nic nie było znać — Bertold Brecht, który już chyba wyszedł z mody, i żadne z tych dzieciaków randkujących nad winem, choć wyglądają na studentów uniwersytetu, nie widziało jego sztuk,

i niewiele straciło, myśli Kozerski, który był trzydzieści lat temu na *Kaukaskim kredowym kole*, a po wyjściu przedstawienie dała Barbara, udając zachwyt nad Brechtem

oraz brak zachwytu nad dyrektorem Grzelakiem, bo on też poszedł do teatru, w przerwie spotkali go w foyer, chyba wszyscy troje dostali bilety z kulturalno-oświatowej puli ministerstwa, takie do zrzygania się czasy.

Przebrzmiał Armstrong, zaczął się jakiś modern jazz, i wtedy nagle zorientował się, że co najmniej od pięciu minut patrzy na Ankę Bielczyk, w ogóle jej nie poznając,

tak jakby nagle doznał objawu, opisanego w jego branży pod nazwą *jamais vu*, występującego u epileptyków oraz ludzi bardzo zmęczonych; był bardzo, był cholernie zmęczony,

lecz przyczyna mimo to nie leżała po jego stronie; patrzył na nią tak, jak gdyby nigdy jej wcześniej nie widział, bo rzeczywiście nie widział ani razu Anki Bielczyk przy kawiarnianym stoliku,

zasłuchanej w głos mężczyzny, który mówił i mówił do niej, nie nachylając się, nie dotykając jej dłoni, a ona zastygnięta w koncentracji spoglądała mu w oczy, w twarz, na ręce i ramiona,

tak jak obiektyw kamery, co zmieniając plany i kąty ujęcia, szuka czegoś najważniejszego, jakiejś prawdy, którą chce wydobyć na powierzchnię,

a zatem to nie mogły być puste słowa, słowa, słowa, i Kozerskiego nagle zaciekawiło, co też ten facet gada, chętnie by się dowiedział, ale zabrakło dźwięku w tym filmie,

a to z jego perspektywy rzeczywiście wyglądało trochę jak film, gdyż siedzieli pod oknem i na jego tle sprawiali wrażenie, jakby byli na ekranie, a mężczyzna z ledwością się w nim mieścił,

ogromny samiec przy drobnej samicy, który wchodząc przez drzwi kawiarni prawdopodobnie musiał się schylić, żeby nie wyrznąć głową we framugę.

Bielczyk spostrzegła go, na chwilę w półświatle i jazzowych decybelach zawisło niepewne, łamliwe przywitanie wzrokiem, a potem wstała, podeszła i kiedy nachyliła się nad jego stolikiem, poczuł zapach soir de Paris.

— Panie profesorze, prosimy do nas.

Wielki facet przyglądał się z wyczekiwaniem, więc głównie żeby nie urazić nieznanego, Bogu ducha winnego, pozwolił jej wziąć swoje kieliszki, dwa kieliszki plus filiżanka za dużo dla rąk, toteż musiała mu pomóc w przeprowadzce pod okno.

— Chciałabym przedstawić panu mojego przyjaciela. — Zanotował, że umiała się znaleźć: jemu przedstawiła, nie na odwrót, o co zresztą nie miałby wielkich pretensji, bo przywykł już do wszechobecnych przejawów nieokrzesania.

Milewski miał dwadzieścia kilka lat, krzepki uścisk dłoni (ba! cóż się dziwić przy takiej łapie!) i spojrzenie silnego, młodego psa,

jednego z tych sznaucerów olbrzymów, bokserów, wilków, posturą budzących postrach, a przez to zmuszających właścicieli do ustawicznych zapewnień: „proszę się nie bać, on nie gryzie”,

lecz nie potrzebuje żadnych na uspokojenie słów, kto będąc choć odrobinę psychologiem, zajrzy takiemu psu w oczy, bo one najwiarygodniej zaprzeczą złym zamiarom;

sam przyjazny optymizm w nich jest, łagodność, wierność, i dla kontrastu trochę lirycznego, egzystencjalnego smutku, nieodłącznej ozdoby psiego spojrzenia,

i tak właśnie patrzył na niego Milewski,

wyrażając radość ze spotkania takiego człowieka,

— ...bo w czasach, kiedy wszyscy jak o największy skarb trzęsą się o swoje kariery, pan profesor jeden zdobył się na odwagę...

Odmówił wywiadów dziesiątkom dziennikarzy polskich i niemieckich, więc tym bardziej nie miał zamiaru gadać o tym w kawiarni z nieznanym; Bielczyk to wyczuła.

— Myślę, Janku, że pan profesor jest już zmęczony tym tematem — powiedziała, prokurując nieco kłopotliwą ciszę, w której pospiesznie starała się znaleźć temat inny. — Zabawne — uśmiechnęła się — jak transformuje się przestrzeń w takiej kawiarni, siedziałam dosłownie obok i w ogóle pana profesora nie widziałam.

— To nie sprawa żadnej transformacji, tylko zaabsorbowania panem Jankiem — powiedział jak do każdej innej

dziewczyny, swojej studentki, gdyby spotkał ją z narzeczoną; ale musiał sobie w tym celu wyobrazić, że jest tą inną studentką.

Speszyla się; odniósł wrażenie, że chce ukryć erotyczny charakter tego związku — mniej nawet przed nim, co przed

samą sobą. Temu też prawdopodobnie miało służyć streszczenie ich rozmowy; suche — i niepotrzebne, przecież wcale nie pytał, o czym gadali.

— Spieraliśmy się z Jankiem o kryminologię radykalną.

— Kryminologię radykalną? — Uśmiechnął się grzecznie; tak, chyba istotnie nie byli jeszcze w łóżku, dopiero pójdą, dziś, jutro, za miesiąc, ale to już nieuchronne i stać się musi, skoro nawet kryminologia radykalna potrafi służyć za majową noc, bez i słowika.

Milewski w jego tonie najwyraźniej odczytał zachętę, zresztą nie potrzebował wiele, bo był z tych, co przy lada okazji głoszą swoje przekonania,

będące pierwszą, samodzielnie odkrytą prawdą, która jest niby pierwsza spełniona miłość.

— Tezy kryminologii radykalnej paradoksalnie potwierdzają się w jej własnej praktyce. To właśnie fałszywy humanizm tej teorii zaowocował deprawacją i nieszczęściem niezliczonych jednostek. Jeżeli społeczeństwo głosem swoich elit, nie tylko zresztą naukowych, oświadczyło, że samo jest winne temu, że istnieją przestępcy, to automatycznie zdjęło z nich poczucie winy, i co? I rzeczywiście na masową skalę zaczęło produkować przestępców, rozumie pan ten paradoks?

Bielczyk i Kozerski palili bez przerwy, Milewski dopiero teraz sięgnął po papierosa.

— Często sam mam rozterkę, jakiej kary żądać dla chłopaka, który dopuścił się rozboju z użyciem niebezpiecznego narzędzia, jeśli wiem, że wcześniej szkoła, rodzice, policja, wszyscy przez palce patrzyli, jak pił i chuliganil, a szkolna pani pedagog po kolei wmawiała mu wszelkie możliwe stesy i głaskała po główce. I taki potem wprost mówi w sądzie: zabiłem, bo rodzice mnie nie rozumieli, napadłem, bo czuję się zagubiony w tym nowym kapitalistycznym świecie, zgwałciłem, bo w dzieciństwie przedszkolanka dała mi w skórę;

pan się uśmiecha, profesorze, ale to wszystko są autentyczne słowa oskarżonych. Odpowiedzialne instytucje społeczne wszczepiły im takie przekonania i tym samym popchnęły do zbrodni.

— Cóż, panie Janku. To nie ja wymyśliłem permissywizm. — Wypił drugi koniak, pomyślał o trzecim, ale wyciszył myśl, i w tym momencie dotarło do niego, że jeśli Milewski porusza w jej obecności taki temat, to znaczy, że nic o niej nie wie,

więc nagle zrobiło mu się chłopaka cholernie żal; ujrzał dłoń Anki Bielczyk, która dotknęła jego wielkiej dłoni, by zostać w niej zamknięta.

— Janku! — A może już śpiąją ze sobą? Bo głos, gdy wymówiła jego imię, był zabarwiony tym czymś, Kozerski uśmiechnął się do siebie zgryźliwie, co pochodzi z najgorętszych kręgów kobiecości. — Każdy człowiek, bez względu na to, gdzie żyje, w jakim społeczeństwie, sam odpowiada za to, co robi.

— To na pewno — zgodził się w zastępstwie Milewskiego, który milczał; milczał i gładził jej nadgarstek,

a wtedy nagle ostro spojrzała mu w oczy, i przeląkł się, jakie słowa padną zaraz,

ale spytała tylko, czy jutro w zwykłych godzinach ma swój dyżur.

— Naturalnie. Do września wszystko bez zmian. Nadal kieruję katedrą.

— Przyjdę do pana — zapowiedziała studentka Bielczyk,

i przyszła. Do gabinetu w gmachu głównym, który od czasu jej poprzedniej wizyty zdążył się zestarzeć, nabierając cech swego rezydenta; farba na ścianach, pewnie od tytoniu, pożółkła, a kalendarz z katedrami, zawieszony tamtego dnia, straszyl dziś zastarzałą zeszlórocznością;

za kilka miesięcy w tym gabinecie, podobnie jak we wszystkich innych, pojawią się komputery, faksy i inne cacka od fun-

dacji Eisenwalda, ale jego już tu wtedy nie będzie, a gdzie będzie? — licho wie, pewnie w końcu

przyjmie oferowane mu stanowisko ordynatora w Centralnym; coś trzeba robić do emerytury.

Zauważył, że ostatnio dba o włosy i zawsze ma umyte, a dawniej różnie z tym bywało.

— Bardzo sympatyczny ten młody pan prokurator — zagaił, żeby przerwać przedłużającą się ciszę.

Wzięła bezwiednie długopis z biurka i obracała w palcach.

— Jest człowiekiem naprawdę wyjątkowego serca i rozumu, ale przy tym strasznie niepewny siebie, nieraz bardzo silny, a chwilami zupełnie bezradny. — Krótka pauza i podsumowanie: — Chciałabym, żeby mu się udało w życiu.

— To się od niego odczep — nie powiedział Kozerski.

Długopis kołysze się dziwacznie przepleciony przez palce, i dłoń Anny Bielczyk wygląda z nim jak jedna z owych modnych, nowoczesnych rzeźb, zwanych instalacjami; zawisł nad biurkiem bezsensowny kształt, kaleki brakiem sensu, a przeto jakby o sens żebrzący.

— Powinnam wytłumaczyć się panu, dlaczego nie podpisałam tego listu.

Chodziło o protest przeciwko decyzji senatu, solidarny ze stanowiskiem Kozerskiego, a podpisany przez całą młodszą kadre naukową i większość studentów: 624 płomienne autografy, które z dumą pokazali mu założyciele stosownego komitetu, poczciwe niespokojne duchy, rozkochane w manifestacjach, strajkach i wszelkich hecach zakłócających powszedni, nudny rytm życia uczelni. Grozili okupacją głównego gmachu, bojkotem zajęć profesorów członków senatu, z wyjątkiem, ma się rozumieć, profesora Kozerskiego, który jedyny miał odwagę powiedzieć „nie”, i szykowali już jaja, pomidory oraz kukłę Eisenwalda, by spalić ją przed aulą podczas uroczystości.

— Jeśli wolno, apelowałbym jednak o zachowanie podstawowych form. — Westchnął, i nie dodał, bo nie czas, i nie zrozumieliby, że sposób przedstawienia jest równie ważny, jeśli nie ważniejszy niż sama racja,

o czym świat, zdaje się, ostatnio zapomniał, i dlatego tak często wygląda jak kabaret;

więc zrezygnowali na jego prośbę z jaj i pomidorów, ale ukręcony z prześcieradeł i parcianych worków Eisenwald, w brunatnej koszuli i ze swastyką na ramieniu, zginął w ogniu, od czego do dziś unosi się na korytarzu gryzący swąd,

a oryginał, z szacunkiem prowadzony pod ręce — przez rektora z prawej i prorektora z lewej — zakrztusił się dymem, spozjrzał na swastyki i szydercze hitlerowskie saluty,

po czym szczerze zmartwiony i zaniepokojony, spytał, czy to demonstracja neonazistów, bo tak kazała mu zrozumieć zajście starcza demencja.

Podpisów było dziesięć bitych stron, więc nie mógł stwierdzić, czy jest wśród nich również nazwisko Bielczyk, zresztą specjalnie go to nie interesowało.

— Jestem po pana stronie, i to nie tylko z poczucia lojalności, bo uważam, że pan naprawdę ma rację i ta decyzja senatu jest skandaliczna, ale... — na ułamek chwili zawiesiła głos — ja to mogę powiedzieć panu prywatnie, natomiast nie sądzę, żebym miała prawo cokolwiek podpisywać, czy uczestniczyć w takich akcjach.

— W tym cyrku z kukłą żaden kulturalny człowiek nie powinien brać udziału. — To było oczywiste,

nad resztą zamyślił się, prostując plecy; łopatki w sennym dreszczu znużenia przywarły do wysokiego oparcia — jego stare krzesło, które przez dwadzieścia pięć lat wędrowało za nim od gabinetu do gabinetu, a teraz pewnie trafi na śmietnik — patrzył w sufit;

to był, poza wszystkim, suchy problemat etyczny: czy człowiekowi obciążonemu winą wolno piętnować winę innych,

w tym wypadku Wolfganga Amadeusa Eisenwalda, wystawiając się na oczywiste zarzuty *ad hominem*,

których uniknie tylko wtedy, jeśli wobec wszelkiego występku zachowa neutralność, tożsamą przecież, gdy chodzi o skutek, z obojętnością na zło.

Cóż, argumenty *ad hominem* należą do erystyki, nie będąc prawdą, służą odpięciu prawdy,

tylko że czasem — i tu zamilkł Schopenhauer — dyktuje je serce.

— A co do listu, ma pani rację. Sądzę, że uczciwie pani postąpiła, nie podpisując.

Miał wrażenie, że oczekiwała innej reakcji; długopis zachybotał w rozczapierzonych palcach.

— Niech mi pan profesor powie wprost: czy ja mam prawo wykonywać zawód lekarza?

Nie można żądać mówienia wprost od kogoś, kto ani myślał mówić aluzyjnie; to ona, do diabła, przywołała sprawę Eisenwalda, biorąc ją ksobnie; ona, przecież nie Kozerski, który ma teraz co innego na głowie, odkryła analogię dwóch przypadków, skądinąd nieporównywalnych, bo co innego jakiś skrypt, nawet najbardziej podły, a co innego morderstwo.

— Na początku, kiedy przyszła pani na uczelnię, rzeczywiście uważałem, że nie powinna pani być lekarzem. Dobrze, jeśli musi być kropka nad i, to odmawiałem pani moralnego prawa!

Odłożyła długopis, jakby z żalem w palcach, które wciąż nerwowo się poruszały.

— A dziś?

— Dziś mam wątpliwości. A wszystkie wątpliwości rozstrzyga się na korzyść obwinionego.

Zamiast zgrabnego *bon mot*, wyszła tępa, brutalna dosłowność, i zdziwił się, że mimo to się uśmiechnęła, jak gdyby mu dziękowała; poczęstował ją papierosem, chwilę palili w milczeniu.

— To dla mnie bardzo ważne, co teraz usłyszałam. Matka przełożona też powiedziała mi, że mogę leczyć, ale ona rzeczywiście jest dla mnie matką. — Przesłodzony afekt w głosie, i nagle jak gwoździem po szkle: — A opinie matek nie zawsze bywają obiektywne, prawda?

Pomyślał ze współczuciem o Woronickiej, i o potędze macierzyńskiego instynktu, który, niespełniony, potrafi reagować nawet na taką Bielczyk, wynaturzać się w opiece nad nią;

więc jeśli teraz, do kompletu, szuka w nim ojca, niech się odczepi, odklei,

bo, dalibóg, rzadko co jest wstrętniejsze od tej jej lepkości.

A jeszcze ten tembr głosu, którego nigdy do końca nie za-gubiła, kurwy z małego miasteczka.

— Panie profesorze, czy jak już zrobię dyplom, weźmie mnie pan do siebie na staż?

Jak zrobi dyplom? Ależ zrobi go raz dwa, większość egzaminów już zdała w tak zwanych terminach zerowych; i to będzie najlepszy dyplom z nagłówkiem tej uczelni od ładnych paru lat, średnia ocen prawie maksymalna.

— Co to znaczy „do mnie”? Nie wiem jeszcze, gdzie będę wtedy pracował.

— Myślałam, że w Centralnym.

Tak, wieści rozchodzą się szybko. A może już w gazetach o tym pisali? Ostatecznie od kilku dni stał się osobą publiczną.

— Pani Anno — znów się cofnął, by poczuć za plecami oparcie, i znów sufit widziany przez przymknięte powieki. — Znamy się ile?

— Siedem lat — powiedziała, podpowiedziała cicho.

— I przez ten czas obserwowałam, mówię to zupełnie szczerze, imponujący rozwój pani osobowości, niewiarygodny awans intelektualny, kulturalny; wierzę, że również moralny, ale tutaj prawdę zna tylko pani sama.

Słuchała w zastygnięciu,

nieobecna jakąś nierealną nadobecnością

drobnej sylwetki, którą widział po drugiej stronie biurka — nedorzeczna twarz dziecka, absurdałne dziecięce ramiona, nie z tego świata gęste, jasne włosy.

— A mimo to, ilekroć na panią patrzę, nasuwa mi się niezmiennie myśl o kimś innym, komu nie było dane, tak jak pani, skończyć szkoły i studiów, szukać pracy, myśleć o małżeństwie. I to nie wojna, choroba czy wypadek zabroniły wybrzmieć temu życiu, lecz... Jak to właściwie nazwać? Czyjś kaprys? Żeby zobaczyć, jak wygląda człowiek, którego biją saperką...

Milczała.

— A może siebie sprawdzić? Granice swego zbydlęcenia?

Milczała.

— Pani Anno, już powiedziałem: wierzę w to, co kiedyś symbolicznie nazwała pani śmiercią Żanety, jak również, że przy swoich nieprzeciętnych zdolnościach będzie pani wykonywała ten zawód z pożytkiem dla chorych i dla siebie samej, ale proszę mnie zrozumieć, ja mam sześćdziesiąt pięć lat, i po tym wszystkim, co widziałem i przeżyłem, potrzebuję minimum ładu. W sobie, a także wokół siebie.

Wstała i wyszła.

— Ale w którymś momencie nastąpił przełom, pan mówi o przyjaźni; przyjaźni z kim?

Zielony neon z nazwą hotelu świecił w szyby i przedziwnym rykoszetem odbijał się w popielnicze,

którą mężczyzna chwycił nagle tak, jak gdyby chciał nią cisnąć o ścianę, albo w Kozerskiego,

zapalającego papierosa; lecz złagodził gest i tylko podsunął mu ciężki kryształ z zielonym refleksem na dnie, odbiciem liter, pretensjonalnych, małpujących gotyk, które świecą z dachu przeciwległego skrzydła,

niestrudzone od zmiernych do świtu, tak jak wzrok lokatora tego pokoju zeszywniały po wielonocnej bezsenności.

Nie skłamał mówiąc o przyjaźni,
jak również nie rzutował swoich uczuć wstecz, niby pro-
staczek, co pojednawszy się z nieprzyjacielem, utrzymuje
i wierzy, że tak naprawdę zawsze go lubił. Nie, Kozerski ni-
czego nie odwołuje, nie chce odwoływać: była studentką Biel-
czyk, i Żanetą, było i trwa ich niepojęte spotkanie.

Lecz o momencie przełomowym mówić niełatwo, zwłasz-
cza że jego rozmówca oczekuje wyjaśnień prostych, oddziele-
nia światła od ciemności, oczekuje cudu;

a tymczasem cóż mu powie, mężczyźnie niespełna trzy-
dziestoletniemu, obraz pół październikowych za oknem sa-
mochodu i nisko stojącego słońca? Ziemia burosiwa z wiech-
ciami zapóźnionej zieleni i dopalający się ogarek dnia,

a przed nim zgarbione plecy starego człowieka, i obok
profil starego człowieka, i stary samochód wolno sunie szo-
są, skrzynia ze starymi ludźmi, pomału, z cmentarza, przez
mgłę, przez zmierzch.

Pochowali Helenę Księżpolską, którą nieostro pamiętał z cza-
sów, kiedy kolegował się z jej synem; już wtedy wydawała mu
się mocno w latach, starszą pewnie, niż była w istocie, kobie-
ty z ludu bowiem nie umiały wówczas, a i dziś najczęściej nie
umieją, wyglądać młodo; plebejska matka w wieku nieokreslo-
nym — taką właśnie była ta, która urodziła Adama, a wcześniej
jego trzech braci; dwaj najstarsi od dawna nie żyją, przy czym
jeden poległ nad Bzurą, więc, wielki Boże! — oblicza ze zdumie-
nieniem Kozerski — ileż ona musiała mieć lat? Blisko sto.

Pochowali Helenę Księżpolską na małym cmentarzu,
w małym miasteczku pod wschodnią granicą, a potem brat
Adama, zgrzybiały jak jego wartburg, odwiózł ich prawie
czterdzieści kilometrów na kolej,

i podczas drogi Kozerski pomyślał, że wszystko powin-
no mieć swoją porę, więc i odejście matki; nieszczęście, gdy
osieroci przedwcześnie, co stało się jego udziałem, lecz źle

też, kiedy śmierć zapomni o naturalnych terminach i w jakiejś nieomal rówieśności spotkają się nad grobem — matka i synowie; i chociaż ona odchodzi pierwsza, im także niedaleko, już drobny krok wystarczy, ażeby pójść w jej ślady — i to właśnie czytał teraz z twarzy obu starców, i słyszał w ciszy, która trwała w samochodzie,

a którą biskup przerwał nagle, by wspomnieć o Annie Bielczyk; nie z jakąś specjalną intencją, lecz ponieważ była wspólną znajomą, i w związku z tym mogła służyć za temat zastępczy,

gdy główny wątek jego myśli musiał wybrzmiewać bezgłośnie, w rytm sfatygowanego silnika, rzucony na tło ścier-nisk, wzdłuż których jechali.

— A wiesz, że twoja studentka dostała pracę w Europejskim Centrum Medycznym? Nie musiała czynić najmniejszych starań, sami się do niej zgłosili.

Kozerski wiedział, że ECM to XXI wiek, miliardy euro, oraz — że jemu nigdy nie zaproponują tam pracy; zbudowany w lesie kompleks biało-niebieskich pawilonów, jak z filmu science fiction, które raz jeden obejrzał przejazdem, a wśród nich najnowocześniejszy w kraju oddział psychiatryczny, z emisyjną tomografią pozytronową i innymi cudami diagnostyki; i choć nigdy nikomu nie zazdrościł dochodów, tym razem z przykrością pomyślał o jej zarobkach, najmniej trzy razy wyższych niż lekarza w normalnym szpitalu.

A następnie jechali w pustym przedziale pierwszej klasy, a biskupowi towarzyszył jego sekretarz, który czekał był na dworcu z biletami, bardzo niekontent, że Ekscelecja wybrał pociąg, zamiast kurialnego (Kozerski lubił mówić „kuriozalnego”) mercedesa z szoferem; w wagonie obaj duchowni zatopili się w lekturze *L'Osservatore Romano*, podczas gdy on rozwiązywał krzyżówkę,

i byli w lepszej sytuacji, pomyślał, ponieważ im zgadzało się wszystko, a jemu nic, bo co to jest, do diabła, polecenie zabraniające? zakaz? zakaz ma za mało liter.

A kiedy pociąg ruszał z kolejnej stacji, Księżopolski ode-
rwał wzrok od gazety i chyba zupełnie bez związku z przeczy-
tanym artykułem odezwał się w te słowa:

— Pomyśl, Stefanie: gdyby w jakimś momencie życia nie
uwierzyła w Ewangelię, te wszystkie ogromne talenty pozos-
tałyby nie odkryte.

Ale Stefan pomyślał bardziej o jego matce, stuletniej pa-
ni Helenie, która urodziła się pobożna i umarła pobożna,
i Pan Bóg ani razu nie musiał jej niczego przebaczać,

lecz mimo to nie nagrodził żadnymi talentami, więc do
końca była prostą chłopką.

Nie podzielił się wszakże ową refleksją, i to nie tylko dla-
tego, że nie wypadało płać zmarłej w podobny kontekst; bar-
dziej bał się, że ujrzawszy Annę Bielczyk jako córkę marno-
trawną, świątobliwy osioł ostatecznie uwierzy, że stał się cud.

Do domu wrócił około trzeciej w nocy i przez godzinę na dzie-
siątki sposobów układał biedne, zmęczone ciało, próbując ko-
kietować sen; o 4.15 poddał się, ubrał i wyszedł z Trampem
na spacer, o w pół do piątej wyciągnął z barku old smugglera,
przed szóstą zatelefonował do Magdy,

która właśnie kończyła dyżur, miała znużony niechętny
głos i nie od razu go poznała.

— Nie rozumiem, kto mówi? Stefan? O, jak miło, że za-
dzwonileś!

I raptem, jak za naciśnięciem guzika, włącza się w niej
automatyczna kobieta:

— Słuchaj, właśnie niedawno o tobie myślałam. Nor-
malnie — telepatia! Koniecznie musimy pójść na jakąś ka-
wę, Stefan; jak przyjaciele — podkreśliła.

— Jak przyjaciele — powtórzył, wiedząc, że nigdy nie
pójdą na kawę,

i Magda też wiedziała, bo oczywiście zorientowała się, że
jest pijany, i dlatego dzwoni o szóstej rano

do dziewczyny, która była jego słuchaczką, gdy miał wykłady w szkole pielęgniarstwa, i ostatnią kochanką w życiu.

Anna Bielczyk zjawiała się w Centralnym pod koniec października. Znalazła go w pomieszczeniu, które w przyszłości miało być gabinetem ordynatora; w tym samym nieokreślonym, mitycznym czasie przyszłym, kiedy ten cały bałagan stanie się psychiatrycznym oddziałem koedukacyjnym, a gdzie na razie krzątają się niespiesznie robotnicy i trwa od miesięcy remont, burdel, przekleństwo wiertarek, stukających młotków, walających się na podłodze kabli, rur, żelastwa.

A jego funkcja sprowadza się do nadzoru oraz średnio trzydziestu telefonów dziennie, którymi beznadziejnie próbuje przyspieszyć, ponaglić, wymusić od urzędników pieniądze,

bo ciągle na coś brakuje i coś nie posuwa się naprzód, nic nie posuwa się naprzód, wszystko stoi w martwym punkcie, nieruchomo i idiotycznie, jak twarz głównej księgowej, która już mu się śni po nocach,

jeżeli oczywiście zaśnie, a tą łaską nerwy obdarowują coraz skąpiej, dokładnie tak samo, jak ministerstwo funduszy na remont. Przyszła w powabnym czarnym trenczu, i aż dziw, że go nie upaśćkała farbą, tutaj kroku nie można zrobić, żeby się nie upaśćkać farbą, smarem, wszelkim gównem,

i stoi w progu jego pokoju, przypominającego wnętrze barakowozu budowlańców, nieśmiało, bo nie ma w co zapukać, sama framuga, drzwi jeszcze nie zamontowano, brak środków na stolarkę drzwiową i okienną — orzekli wczoraj wspólnie kierownik techniczny i księgowa.

— Przepraszam za najście, ale jest mi potrzebna opinia pana profesora.

Wyjaśniła, że właśnie kończy staż i ma być zatrudniona na etacie, a ECM oprócz dyplomu wymaga w takich wypadkach również pisemnych referencji.

— Pewnie by chcieli po angielsku — mruknał.

— Byłoby najlepiej — przyznała.

Zirytował się.

— A po niemiecku nie łaska?

Oczywiście po niemiecku też było można, więc postawił starego remingtona na prowizorycznym biurku i rozejrzał się za papierem; Bielczyk śledziła wzrokiem jego żalną krząta-
ninę i cały ten kram,

Anna Bielczyk, której powiedział kiedyś o potrzebie ładu, w sobie i wokół, i w jego imię odmówił współpracy, oddalił, posłał do diabła; łął? czy aż tak głupi był?

Bo przecież tylko jeden ład mógł go czekać:

ład pogrzebów i rozmyślań o śmierci, do których skłania
byle ściernisko jesienią,

ład bezsennych przedświtów i durnych, pijanych telefo-
nów,

a także, przede wszystkim, ten najpełniejszy: ład zapomnie-
nia. Przez ludzi, odejścia z pamięci,

końcowa przymiarka do odejścia na amen.

Taki to ład we mnie, panno Bielczyk — stukał, stukał, ona
cierpliwie czekała, maszyna nie miała niemieckiego „ß”. —
A jaki wokół mnie, każdy widzi,

więc ona też musi widzieć, że przerasta go to wszystko,
wczoraj w nocy znowu nie spał, zmierzył ciśnienie: skoczy-
ło na 220; śmieszne, przeżył Majdanek, a umrze przez głu-
pi remont!

Zajrzała mu dyskretnie przez ramię.

— Przepraszam, nie powiedziałam panu: nazywam się
teraz Milewska.

— Ach, tak? — Nie wymyślił, co na to rzec, więc tylko za-
iksował wszędzie, gdzie było Bielczyk, i poprawił. — Proszę!
— Wyciągnął kartkę z wałka.

Przebiegła wzrokiem litanie superlatyw.

— *Danke schön*. — Uśmiechając się schowała do torebki;
miała ładną, chyba francuską, torebkę, dawniej nie dbała o takie

rzeczy, teraz widocznie dba o nią mąż; uśmiech nagle znikł z jej twarzy. — Nie zmienił pan zdania? Dalej nie widzi pan możliwości współpracy ze mną?

Było tak, jakby nagle, gdzieś między żebrami przemieścił mu się środek ciężkości, i czuł coś, co przypominało odzyskiwanie pozycji pionowej, podźwignięcie się z przygarbienia.

— Wie pani, teraz pewnie musiałbym na kolanach prosić. — Spróbował się uśmiechnąć.

— Nie. To ja proszę. Jeszcze raz...

Niemal to widzi, jak na alegorycznym obrazie: aktorzy jego ładu, skuleni niby pod batem, czekają na wyrok, bo to nie o Annę Biel... nie o panią Milewską chodzi, ale o nich, o te gnomy cmentarne, trole bezsenności, bestie samotności,

Goga i Magoga tego szpitala. Mówiąc „tak” — wywali je wszystkie w otchłań.

— Pani Anno, pani ma chyba nie po kolei w głowie! Z ECM... tutaj? Tutaj? — Nienawistnym gestem pokazywał odłupany tynk, dziury w parkiecie, wiszące przewody, meble jak ze śmietnika. — Zamiast pracować naukowo, chce się pani użerać z hydraulikami i księgowymi?

— To nie będzie chyba trwało wiecznie?

— Obawiam się, że, niestety, tak. — Miało być z ironią, lecz zabrzmiało jak naga, żalosna skarga.

— Pan jest po prostu tym wszystkim zmęczony. To okropne codziennie tu przyjeżdżać, w takie warunki.

— Nie sądzę, żeby znalazł się dobrodziej, chętny przyjeżdżać za mnie. A jeśli sam nie dopilnuję, to...

Szukał nerwowo papierosa, tutaj niczego, niczego, do ciężkiej cholery, nie można znaleźć, od dwóch dni bezskutecznie szuka swoich okularów do czytania.

— Nie jestem dobrodziejką, ale, oczywiście, będę tu przyjeżdżać. — Uśmiechnęła się w jakiś nowy, nie znany mu sposób, może przy tym Milewskim się nauczyła. — Dam sobie ra-

dę, u albertynek skończyłam uniwersytet spraw przyziemno-
praktycznych.

Znalazł papierosy, zapalił, okularów nie znalazł, ale —
ona na pewno je znajdzie.

— Dlaczego pani to robi?

Czemu pytał, skoro znał odpowiedź. Prostą, a zarazem
nieskończenie absurdalną. Poznajesz, Anno, ten szary budy-
nek za drzewami? Oddział dla podsądnych, to właśnie tam,
przed blisko ośmiu laty

w przedziwny sposób i w dodatku zupełnie bezwiednie
przekroczył lekarskie oraz ludzkie kompetencje — i stworzył,
nie spłodził, jak — być może — swoją córkę, ale literal-
nie stworzył

człowieka, osobę, istotę, jest, stoi obok, czarny trencz, ja-
sne włosy, dziękczynny wzrok,

a bycie Panem Bogiem zobowiązuje, pomyślał, od Boga
wymaga się miłosierdzia, i to nieskończonego miłosierdzia,
a już na pewno

nie wypada, aby Bóg odtrącał własne stworzenie.

— Czemu pan się uśmiecha? — spytała.

Ptakon

nadal krzyczał i huśtał się na kracie, lecz myliła się, bo to nie żadna symulacja, tylko sygnał, znak,

i ci, do których został wysłany, odczytali go właściwie. Pacjent z oddziału uzależnień, przyjęty do Centralnego w tym samym dniu co Kulik, wycofał się nagle z pierścienia gapiów, odszedł w zacisze między sosny, po czym, nie tracąc z oczu zajścia, wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

— Siedzi w oknie i piłuje mordę, chcesz posłuchać? — Skierował aparat w stronę sądówki; mężczyzna rozparty z tyłu srebrnometalicznego mercedesa uśmiechnął się, łowiąc uchem daleki odprysk krzyku.

— Świr — mruknął.

— Myślisz, że on to do nas adresuje? — Absurdalność i lekka niesamowitość całej sytuacji zaczęły nagle rozpierać pęcherz, więc rozgarnąwszy szlafrok wysikał się na pień sosny; mocz mieszał się z żywicą, Kulik wrzeszczał.

— Tak... tak myślę. — Czupryna spod lekko opuszczonych powiek patrzył na wyprzedzany konwój; ciężarówki miały duńską rejestrację i wiozły owce; bezmyślne owcze pyski przytknięte do prześwitów skrzyni. — Świr — powtórzył,

a przed tygodniem tym samym określeniu posłużył się w rozmowie z adwokatem Kulika. Mecenas Grotkiewicz spotkał

się z nim w małym motelu przy autostradzie, jednym z tych, które kontrolowali,

i Czupryna patrzył z mieszaniną ubawienia i podziwu na tego dystyngowanego pana: a propos, de facto (bo z tym kojarzyli się Czuprynie inteligenci) oraz ą—ę i wszystkie daty z historii Polski, a przy tym takie skurwysyństwo na mordzie, że aż zapiera dech,

kiedy Grotkiewicz, wysłuchawszy, co miał mu do powiedzenia, lekko odchrząknął i nadal spokojnie posilając się na jego rachunek — kurwa mać, jak on mu zazdrościł tej elegancji w posługiwaniu się sztuccami! — zrobił... nie pamięta co, jakieś nowe, obce słówko, wyleciało z głowy...

— Zróbmy résumé — rzekł Grotkiewicz. — Oferuje pan pomoc mojemu klientowi w zamian za obietnicę, że on z kolei pomoże panu w pewnych sprawach na terytorium Szwecji?

— Dokładnie — potwierdził Czupryna.

— Pan Kulik dogłębnie to rozważy i osobiście udzieli panu odpowiedzi.

— Nie przez pana mecenasa?

Nóż i widelec w absolutnej harmonii, właśnie takiej, co jest źródłem piękna, operowały w mięsie i w mnogich sałatkach.

— Prosił tylko, żebym przekazał mu pańskie warunki, a dalej on przejmuję pałeczkę.

Pierwszy kontakt z Kulikiem nawiązali jeszcze w śledczym. Stosowną drogą dowiedział się, że może liczyć na pomoc Czupryny, którego osobiście nie znał, ale oczywiście słyshał o nim, tak jak cały kraj, bo nie było tygodnia bez napa-
du lub wybuchu bomby, których prasa nie wiązała by z tym pseudonimem.

Kulik miał świadomość, że nie chodzi o altruizm, więc wysłał Grotkiewicza, by wywiedziało się, jaka jest cena.

— Kiedy już będę w wariatkowie — od początku, jeszcze przed decyzją sądu, pewien był, że tam trafi — niech zain-

stalują na którymś oddziale jednego ze swoich i czekają na mój znak.

— Po co tak komplikować? — Adwokat odruchowo zszedł do szeptu; przykładając do wszystkiego własną miarę, bał się, że w pokojach widzeń zainstalowano podsłuchy. — Jestem przecież w stałym kontakcie z Czupryną.

— Ja nie powiem „tak” Czuprynie, ja to powiem losowi. — W oczach Kulika pełgały blaski dziwnego rozmarzenia, płomienie świec chybotliwe w podmuchu myśli. — A z losem godny jest rozmawiać tylko mój język. Innym językiem nie wierzę... — Przerwał, zapatrzył się w jakąś pustkę. — Chyba że są wyrwane.

I Grotkiewiczowi na wspomnienie tych słów i wzroku tka się między żebrami lodowata pajęczyna,

lecz ten, który zaprosił go do restauracji, nadal widzi przed sobą kamienną twarz wytwornego pana i słyszy ten sam grzeszny spokój w głosie,

z jakim adwokat mówił o „ofercie pomocy” i „pewnych sprawach na terytorium Szwecji”, choć dobrze wiedział, że pomoc polegałaby na odbiciu Kulika ze szpitala, szwedzkie sprawy zaś to tamtejszy rynek amfetaminy, na który Czupryna chciałby wejść, i do tego potrzebny mu Kulik, gdyż przez pięć lat mieszkał w Sztokholmie, więc zna tam najciemniejszy zakamarek.

— Ja przekażę, a wy musicie czekać na znak od niego. Zapewnił, że będzie bardzo wyraźny.

— Znak? — Czupryna z irytacją siorbnął piwo; Grotkiewicz skrzywił się, bo nie znosił, jak ktoś siorbie.

— Przeklnie kratę, cytuję jego słowa, i ma to zrobić w taki sposób, że wszyscy wkoło zauważą. Cóż — adwokat uśmiechnął się — pan Rafał jest typem ekstrawaganta.

— Raczej świra — sprostował Czupryna, który teraz, wieziony przez szofera, wie już, że krata została przeklęta, a co za tym idzie, trzeba podjąć odpowiednie kroki. Pierwsza rzecz — zadzwonił do Sylwika.

Jednym lepiej, drugim gorzej, normalny dzień na oddziale. Bednarczyk już spaceruje po korytarzu, Lewandowska twierdzi, że mąż podczas odwiedzin u niej odbywa stosunki z innymi pacjentkami.

— Niby poszedł po gazety dla mnie, ale przyuważyłam, gdzie go po drodze zanosło. A ta, co leży na szóstce, to przecież stara prostytutka. Już dwadzieścia lat temu spotykał się z nią w Kandelabrach.

Nie była w stanie tego wysłuchiwać, zaleciła zwiększone dawki, jak nie pomoże, zmieni po raz kolejny lek, przy okazji trzeba przejrzeć najnowsze piśmiennictwo dotyczące obłądu zazdrości, weszła do swojego gabinetu,

gdzie na biurku siedział kot, biało-rudy włóczykij, który od pewnego czasu wchodzi tutaj oknem jak do siebie, a znowu zapomniała okno zamknąć. Drzemiącą w fotelu, z kotem na kolanach, zastał ją Kozerski.

— Zadomowił się u ciebie.

Otworzyła oczy, zaskoczona spojrzała na zwierzaka, i — jakby akceptując fakt jego zadomowienia — pogłaskała przybrudzone futro.

— Wezmę go ze sobą do albertynek.

Ich dłonie spotkały się na kocie.

— Naprawdę się do nich przeprowadzasz?

Skinęła głową.

— Janek nie wróci do domu, póki tam mieszkam. Jest zbyt delikatny, żeby mi to powiedzieć, więc błąka się nie wiadomo gdzie. Boję się o niego, Stefan.

— Nie odzywał się?

— Dzwonił rano do szpitala. Pytał, czy nie brakuje mi pieniędzy. — A Kozerski zamyślił się nad wielorakością znaczeń oraz kontekstów, skoro są ludzie, którzy cierpią z braku takiego pytania i takiej troski, oraz ci, którym sprawia ona ból; zdjęła kota, wstała, włączyła do kontaktu elektryczny dzbanek. — Dojrzałeś, jak rozumiem, do szóstej kawy?

Przytaknął; najchętniej wzmocniłby ją odrobinę, ale napoleona miał u siebie, trzeba by iść, a już tak dobrze mu się siadło, a na nim kot; zresztą przy Ance starał się nie pić — nie lubił tego niemego wyrzutu w jej oczach.

Zwrócona do niego profilem, przepłukała nad zlewem szklanki, i sypała do nich kawę jakoś tak dziwnie, naprzemienne, z przesadną dbałością, by do obu nasypać tyle samo,

ale się nie udało, albowiem ta z lewej wyobrażała jego, a ta z prawej męża — i w niej było więcej kawy; teraz stanęła do Kozerskiego twarzą, jak gdyby zasłuchana w wewnętrzny głos, któremu odpowiadała, dzwoniąc

w szklanki łyżeczką.

— W tej jest więcej, Stefan — oznajmiła tonem dziecka.
— Bo Janek jest lepszy od ciebie.

Zachowując przytomność umysłu, spróbował się uśmiechnąć.

— Gdyby było na odwrót, wyszłabyś za mnie.

— Nie obracaj tego w żart. Jest lepszy, bo nie przeszedł na moją stronę. A ciebie udało mi się przeciwną. Zmusić do zdrady. Tak, Stefan, dokonałam tego, że sprzeniewierzyłeś się swoim zasadom, swoim poglądom na dobro i zło, a Janek wytrwał. Mimo że mnie kochał.

Przemawiała do nikogo, nie widząc jego oczu, nie śledząc reakcji,

zbyt silnej, by się mogła nie odzwierciedlić na twarzy; niepokój starego psychiatry wobec oczywistych, podręcznikowych objawów, i ten gorszy, wywołany samą treścią słów,

które, choć minęły się z prawdą, były jednak w prawdę wymierzone.

— Nie tylko ty, bo i matka Aurelia, i wszyscy, którzy okazali mi kiedykolwiek życzliwość. Widzisz, Stefan, zło walczy przeciwko wam wszystkimi metodami, a jedną nich jest posłanie do waszego obozu tak zwanego nawróconego. I to nieistotne, że on, w swoim subiektywnym przekonaniu, może się czuć

nawrócony naprawdę, bo chodzi o efekt: byście pochylając się nad nim, wybacząc, roztkliwiając, rozmiękczyli się, utracili zdolność do jednoznacznych ocen, żeby zatarała się wam granica między dobrem a złem!

— Bogu dzięki, że biskup tego nie słyszy. — Westchnął, ale to właśnie była woda na jej młyn.

— Chrystus przez nakaz miłości i wybaczenia próbuje zamazywać normy moralne. I właśnie dlatego tak się do Niego garną celnicy, Marie Magdaleny i dobre łotry. W Chrystusie znajduje fałszywe ukojenie Raskolnikow i Anna Bielczyk! Ale Janek, który nie jest chrześcijaninem, a tylko zwykłym przyzwoitym człowiekiem, nie uległ zaślepieniu, i widzi prawdę!

— A cóż to jest prawda? — zacytował.

Znów posłużyła się szklankami: jedna symbolizowała zło, druga dobro. Postawiła je na przeciwnych rogach laminowanej obudowy zlewozmywaka, która w ten sposób stała się nagle kosmosem.

— Między nimi nie ma żadnej łączności! Ani przez miłość, ani przez wybaczenie! Bo zło od dobra różni się wszystkim, jak woda i ogień, jak materia i antymateria, rozumiesz? I trwa walka, a tu — pokazała środek blatu — przebiega linia frontu. I ja na zawsze będę po drugiej stronie, choć próbowałam się do was przedostać.

Wolno, coraz wolniej gładził sierść kota.

— To dość odrażające, ale będę go musiał uśpić. Idzie lato, nie można stale zamykać okien, a on, cholera, nauczył się tutaj wlaźić.

Przerwała monolog, tak jakby nagle została przelicytowana.

— Przecież powiedziałam, że go zabiorę.

— Zabierzesz, albo nie zabierzesz, masz sto ważniejszych spraw na głowie, a ja już jestem za stary, żeby wysłuchiwać pouczeń od dyrekcji.

Strącił kota z kolan, wstał, podszedł do przeszklonej szafy z lekami.

— Cholera, nie masz fenobarbitalu? A co będzie, jak ktoś dostanie padaczki?

Zwrócony do niej plecami, z irytacją szperał wśród fiolek, butelek, pudełek.

— Trudno, podam mu dożylnie etanol, nawet nie poczuje.

Odpakował strzykawkę, i w tej samej chwili, tak jak oczekiwiał, poczuł na ramieniu gwałtowny zacisk jej dłoni.

— Zwariowałaś? Odgrywasz się za to, co powiedziałam?

Oswobodził rękę, odwrócił się i spojrział

w oczy tej, która w obronie kota gotowa była rzucić się na podłogę, własnym ciałem osłonić.

— Nie. To ty zwariowałaś. Masz dziś normalną wrażliwość, żal ci nawet zwierzęcia, a tworzysz na swój temat durne, maniachejskie teorie! Lepiej nalej do tych szklanek wrzątku.

Chwilę potem postawiła przed nim kawę.

— Przeraziłeś mnie, Stefan.

— I vice versa. — Uśmiechnął się z wysiłkiem i odruchowo rozejrzał za kieliszkiem, bo akurat tę kawę koniecznie potrzebował wzmocnić; fatalnie, że nie przyniósł jednak butelki. — Pamiętasz, jak kiedyś próbowałaś wyjaśniać tajemnicę dobra i zła dysfunkcjami w płatach skroniowych? Teraz robisz to samo, tylko używając jeszcze mniej pewnych narzędzi. Za to o wiele bardziej autodestrukcyjnych.

— Masz rację — przyznała z pokorą, którą go zaskoczyła; nabrał przekonania, że to był stan napadowy i na razie minął. Paragnomen albo rzeczywiście padaczkowy równoważnik? Zastanawiał się, czy Ance robiono kiedykolwiek tomografię mózgu, chyba tak, pewnie po tym wypadku dla wykluczenia krwiaka, szkoda, że Woronicka nie pokazała mu tych zdjęć.

Anka już myślała i mówiła o Lewandowskiej.

Sylwik, czyli Sylwester Koczbowski, był czwartym z grupy, która zamordowała Olka Błaszaka; najmniej fartownym, bo nie uratowali go psychiatrzy, jak Kulika i Żanetę, ani nie skorzystał, jak Pietkiewicz, z dobrodziejstwa amnestii; z zasądzonych ośmiu lat odsiedział ponad sześć i właśnie w więzieniu poznał sławnego Czuprynę. Dziś był jego doradcą, prawą ręką, sługą najbardziej zaufanym,

który o każdej porze dnia i nocy miał wstęp za zasięki pod prądem oraz patrole z rottweilerami, gdzie w pałacyku z mauretańską wieżycą czekał boss,

i teraz także czekał, w wyłożonej dębową boazerią bibliotece, za gigantycznym rzeźbionym biurkiem, w fotelu z mnóstwem złotych okuć, na tle skórzanych grzbietów książek z tłoczonym złotym liternictwem, i ze złotym wielkim sygnetem na palcu, co połyskiwał w rytmicznym ruchu,

którym Czupryna zanurzał kielbasę w słoiku z musztardą i — ociekającą musztardą — podnosił do ust.

— Siadaj, Sylwik.

Więc Sylwik usiadł po drugiej stronie biurka, posłuszny, ale niespokojny, bo przeczuwał, jaki rozkaz spłynie zaraz z wyżyn tronu, a choć jak pies spełniał dotąd wszystkie, przed tym akurat wzdragał się całą duszą i kiszka, które chyba nie jak należy się zwinęły i od splotu słonecznego promieniował ból, gdzieś na dół, ku pachwinom, ssący, coraz dokuczliwszy.

— Sprawy dojrzały do tego, że trzeba wyjąć Ruletkę. — Czupryna dojadł kielbasę, zakręcił słoik, wytarł dłonią usta. — Technicznie no problem, bo ten szpital praktycznie nie pilnowany, kilku sanitariuszy z gazem i góra trzech policajów. O inszą inszość się rozchodzi: o dyskrecję, kumasz? Żeby nas nikt nie kojarzył z tą sprawą. O układzie z Ruletką wiemy tylko my dwaj, i tak ma zostać.

Choć zeszytniał mu kark, skinął głową.

— I dlatego skontaktujesz się z chłopakami ze Śląska:

wiesz, Arnold-srarnold end kompanij. Bez żadnych przypu-
cowanek, normalna umowa–zlecenie, zrobią swoje, inkasują
sto baniek na ryj, jasne?

Tym razem kręgi szyjne odmówiły posłuszeństwa.

— Czupryna, jesteś pewien, że to dobry pomysł?

— Arnold rutynowany zawodnik, myślę, że se ne posra.
Ale jak masz lepszego na widoku, okej, ja się nie upieram.

— Nie chodzi o Arnolda, tylko o Ruletkę. Widzisz, ja go
znam od małego, jeszcze z Nadola...

— Przecież wiem. Debiutowaliście razem.

— To był mój błąd, Czupryna. Najgorszy błąd w moim
życiu, że się z nim związałem.

Boss zmrużył oko i patrzył na niego pytająco, ale Sylwik
milczał,

bo nie potrafił wytłumaczyć

tego zniewolenia, kręgu magicznej mocy, który wytwa-
rzali wokół siebie Rafał

i Żaneta, Żaneta i Rafał, duet ze wspólnym mózgiem,
przeklęty mutant, diabeł w dwóch osobach.

Okej, on wszystko rozumie: śmierć, ból, to są normalne
narzędzia pracy, i trzeba ich użyć, jeśli ktoś zdradził, albo nie
oddaje długu, zresztą u Czupryny to nie dzieje się często,
Czupryna jest mądry i dla byle gówna nie urządza jatki, po-
łowa z tego, co mu przypisują w telewizji to fantazje dzienni-
karzy; i za to właśnie Sylwik go ceni i poważa,

i boi się, że kiedy do gry wejdzie Kulik, reguły nagle się
zmieniają.

— Przecież wiesz, dlaczego nazywają go Ruletka. Bo nig-
dy nie można przewidzieć, jaki numer wywinie. Ludzie z Na-
dola mieli go dość, kumple od podstawówki, z tej samej ulicy.
Sprzedali go. Ze strachu, rozumiesz?

— Sylwik, zakonotuj se jedno: ja się Ruletki nie boję. —
Znow zmrużył oko; to był taki jego ulubiony mimiczny żar-
cik. — Do hazardu zawsze miałem farta. A w razie co, sam

wiesz: nieśmiertelni są tylko w kinie. I Kulik też to wie. Więc spoko, Sylwik, spoko, wszystko jest pod kontrolą. Jeszcze dziś skontaktujesz się z Arnoldem.

Opuszczał rezydencję odprowadzany przez kulawego ochroniarza, Wańkę, podobno weterana wojny w Afganistanie. Od sztucznego stawu, który Czupryna, miłośnik wędkowania, kazał zrobić i zarybić, ciągnął ziąb, mokry, paskudny, przenikający pod poły płaszcza.

— Co, pan Sylwik, chołodno? — pyta Wańka.

A ciało przypomina sobie wtedy chłód innej wiosennej nocy,

gdy odwoził Żanetę do tego jej slumsu na końcu miasta; wyszli z dyskoteki w Młodzieżowym Domu Kultury, gdzie Rafał totalnie się schlał i nawalił jakimś spidem, więc już po pół metra wypierdolił się z hondą na glebę,

o co miała do niego złość, bo wielka pani, piętnastoletnia gówniara, niewycieczna wracać piechotką, i kazała mu dzwonić po taryfę,

ale Kulik w ogóle już nie kojarzył, więc z tego dzwonienia rozjechał automat, waląc w niego ze łba; Żaneta śmiała się, ale ciągle była wkurwiona, aż nagle przypomniała sobie, że Sylwik też ma motor.

Pojechali na skrót, taką długą zwirowaną aleją, wysadzaną starymi lipami, których korony szczyły się, tworząc tunel,

i czuł jej ręce na łopatkach oraz przywarcie ciała, i obrażał ją sobie z tyłu na siodełku, aniołka w białym dzinsowym komplecie, z włosami rozwianymi podmuchem pędu; mały kocmołuch z Dubois, z której Rafał zrobił pierwszą laskę dyskotek, i on, jak wszyscy w mieście, zazdrościł mu tego arcydzieła,

kiedy rżnąc inne dziwki, fantazjował, że to Żaneta leży pod nim, na nim, z jego kutasem w ustach.

Kazała się zatrzymać, poszła się wysikać za lipy, a gdy wróciła, chciała łyskacza, bo wymacała mu pod kurtką pierśiówkę. To był black and white, identiko jak ten, który wyprowadził z barku ojca i teraz chciał z powrotem wstawić,

zanim zgred przyjedzie z tych swoich manewrów, nara-
dy sztabowej, czy gdzie go tam, kurwa, wcięło na trzy dni,
w każdym razie z jakiegoś chlania, po którym na bank będzie
chciał walnąć klina, więc barek musi być kompletny, inaczej
koniec, co na drodze, to nieprzyjaciel, wazon, telewizor, syn,
wszystko natowskie czołgi i trzeba rozpierdolić. Ale wziął na
siebie to ryzyko

i dla Żanety zerwał nakrętkę. Motor stał oparty o drzewo,
a oni usiedli w trawie na jego kurtce. Zauważył, że Żaneta
pijąc trzeźwieje,

choć to nie jest zwykła trzeźwość i nie umiał nazwać ta-
kiej trzeźwości, bo on sam, tak jak ojciec, potrafił być tylko
schlany albo trzeźwy normalnie, i nie znał żadnych miesza-
nych stadiów.

Nawijali chuj wie o czym; Żanet dalej miała żal do Rafa-
ła, że nie odwiózł jej z dyskoteki, nie zamówił taryfy, a jeszcze
nie podziarkował się jakimś szmalem, jak obiecał; domyślał
się, że oni we dwoje przewalają frajerów, ale wolał nie znać
szczegółów; ty, Sylwuś, nie bierz z Kulika przykładu, bo jego
w razie co stary wybroni, a ja jestem za krótki, przestrzegaj
ojciec, i za sześć tygodni okazało się, że miał rację: Rafałowi
lekarze zapisali pastylki, a Sylwkowi sędziowie osiem lat.

Ale tymczasem trwa jeszcze tamta noc: rozpijają łyska-
cza, a on mówi do niej Żanet, tak jak Kulik, i rękami rów-
nież go naśladuje, wsunął rękę pod bluzkę, drugą przesuw-
a po udach,

po tych udach w obcisłych levisach; a ona była pijano-trzeź-
wa, albo trzeźwo-pijana, i kolanem pocierała mu o rozporek,

jednocześnie dopijając do dna flaszkę, pustą wyciepała
za siebie w trawę.

— No, Sylwik, dosyć tego brandzlowania. Albo mnie rzniesz, albo odwozisz do chałupy.

Po czym szybko, rzeczowo rozebrała się i położyła nie-
dbale gotowa;

jak w swoje sny wszedł w nią, w sny o niej tak bliskie
spełnienia, że dwa pchnięcia, i już po śnie, i tylko na tyle był
przytomny, żeby cofnąć,

lecz nie dość, aby dostrzec wyraz twarzy, więc nie zro-
zumiał, czemu ta twarz z niechęcią się odsuwa, brzydzi jego
pocałunkiem.

Jak się rzeczowo rozebrała, tak samo ubrała; i nagle, za-
pinając suwak spodni, roześmiała się.

— Będzie afera, jak się Rafał dowie.

Dotarło do niego, czyją dziewczynę zerznął — i ze stra-
chu wytrzeźwiał.

— Dla ciebie też nie byłoby dobrze. — Trwożnie szukał
w niej współniczki; ale drwił z takiego współnictwa
uśmiech, który dojrzał w świetle brzasku.

— Mną się nie przejmuj. Najwyżej oberwę po ryju, Ale
ty, Sylwik, już jesteś ded. — Wstała z ziemi, przeciągnęła się,
ziewnęła. — Pozałujesz, że cię kurwa matka nie wyskrobała.

— Zaneta! Ty mu przecież nie powiesz! — Patrzył na
schodzące nad lipami słońce, świadomy, że wstaje najgorszy
dzień jego życia, jeszcze nigdy nie czuł takiego strachu, nig-
dy tak szybko nie biło serce.

Wzruszyła ramionami.

— Nigdy nie okłamuję Rafała. Nie możesz tego ode
mnie żądać.

Kłęczał przed nią na swojej stłamszonej kurtce z bieleją-
cą plwociną spermy, wiedząc, że są tylko dwa sposoby: zatłuc
ją albo zgodzić się na każde poniżenie.

— Ale możesz prosić — szepnęła; piętnastoletnia kur-
wa, co umiała przejrzeć go na wylot i ani przez chwilę nie
bała się, który sposób wybierze.

Wańka uśmiecha się serdecznie i częstuje papierosem; rotweiler Wańki, przekonany, że to coś do jedzenia, przysiada na zadzie i nachalnie poszczekuje.

— *Pios kurit' chocziet.* — Były komandos jest rozbawiony jak dziecko.

A potem odjechała na jego motocyklu; biegł za nią, nie żeby odzyskać własność, lecz by wytłumaczyć, że przez ten motocykl wszystko się wyda, bo Kulik nigdy nie uwierzy, że podarował jej tak za friko.

— Żaneta! Posłuchaj! On się od razu domyśli!

Znikała w perspektywie alei. Strumień żwiru, proporczyk płowych włosów.

— *A do mienia, pan Sylwik, przyjeżdża syn. Nawierno mu się w Polsce spodoba. I charaszo, atiec i syn dażny byt' wmiestie, razem, tak się u was mówi? Żle, jak chłopak żiwiot biez atca.*

— Nie wiem, Wania. Nie mam dzieci. — Otworzył pilotem beemwicę. — Nie mam dzieci, nie mam żony, tylko bryki się w życiu dorobiłem.

— Maszyna potrzebna — zgodził się Rosjanin. — Ale syn bardziej.

I nagle zawróciła; nabierając prędkości, jechała prosto na niego, w niego, nisko pochylona nad kierownicą skupiona twarz; zdążył uskoczyć do rowu i tylko żwirem oberwał, po czym zakrwawiony włókł się dwa kilometry na pogotowie, gdzie mu przemyli, opatrzyli, ale to były jakieś paskudne rany, nie chciały się goić i jeszcze sześć tygodni później miał na twarzy plaster,

a ona to samo skupienie, bo zabić rzecz poważna, misterium, sakrament; brał w wyznaczonej kolejności saperkę i uderzał — ze strachu, by oddalić ciosy od własnego ciała, zasłonić się Olkiem Błaszakiem jak tarczą,

choć i tak będzie następny, wie o tym, to tylko kwestia czasu, wtedy ocalił go, paradoksalnie, kryminał, ale Rafał i Żaneta nie znają przebaczenia, nie znają przedawnienia, nie zapomną,

mimo że jego szef nigdy w to nie uwierzy, uzna za wyrost, bełkot, więc próżny trud tłumaczyć

facetowi, co ma tęgi łeb na karku i jest cholernym twar dzielem, ale gównu wie o prawdziwym piekle. A Sylwik widział piekło; nie w ciągu sześciu lat pod celą, choć tam też niejedno się działo, i nawet nie na służbie u Czupryny,

lecz w lipowej alei o świcie, i potem, kiedy wmanewrowali go w bezsensowny, rytualny mord,

a teraz nastąpi trzecia, ostatnia, odsłona, musi nastąpić, jeśli ten szalenciec znowu znajdzie się blisko; Zygmunt Rafał Kulik,

a być może również Żaneta, której późniejszych losów Sylwik nie zna, lecz wcale nie zdziwiłby się, gdyby nagle pojawili się oboje.

Ochroniarze podnieśli szlaban przed beemwicą i pozdrowili wyjeżdżającego gestem ręki.

Spytał, czy nie potrzebuje pieniędzy, ale to był pretekst, smutny wybieg, aby usłyszeć jej głos, bo Anka miała na koncie ponad sześć tysięcy, wiedział o tym,

tak jak wiedział, że się przecenił, i decyzja, którą podjął, okazała się przerastać jego siły, skutki decyzji przerosły jego siły, nie oszacował ich wtedy, sił i skutków, wracając z Nadola, pędząc na złamanie karku, migały drzewa, betonowe słupki, same zakręty go niosły, i nie przeczuł, co będzie po wyhamowaniu, czym okaże się noc, dzień i jeszcze jedna noc bez Anki,

bez jej głosu, więc wszystkie budki telefoniczne w mieście pchały się natrętnie przed oczy, gdy błąkał się od mola do Kauliny Morskiej, wzdłuż i wszerz przemierzając Jarosławiec,

gdzie byli z Anką po ślubie, i gdzie teraz bezwiednie jej szukał, kłamiąc przed sobą, że to po prostu jego miejsce wakacji od lat, urlopów, wypoczynku — i tylko dlatego je wybrał.

Liczył, że poprosi, żeby wrócił, porozmawiał z nią, wysłuchał wyjaśnień, jako że wiara w powrót i jakieś ostateczne wyjaśnienie ciągle mu towarzyszyła, nie słabła, nie umiał jej się pozbyć, choć wiedział, że to właśnie ona, ta wiara, w splocie z pamięcią, tworzy jego pętlę.

Ale powiedziała tylko, że nie potrzebuje, gdyż ma konto, rzeczowo, bez śladu arogancji, z jaką mogłaby potraktować taką troskę. A potem:

— Nie wiem, Janku, gdzie jesteś, ale proszę cię, nie bądź sam!

Namawiała, żeby się przemógł i pojechał do rodziców, choć przecież musiała wiedzieć, że kto jak kto, ale stary Milewski słowa nie powie w jej obronie, jeżeli zostanie w rzecz wtajemniczony.

Nieprawdopodobne! Jesteś pewien, że to ona? Wiem, psychopaci czasem potrafią wzbudzać zaufanie, ale żeby aż do tego stopnia? — taka, lub bardzo podobna byłaby reakcja człowieka, który przed niespełna trzema laty zajechał przed Kaliną Morską swym nowym BMW, albo toyotą, a może mercedesem,

i stał w progu kawiarni z nieśmiałością, co kontrastowała z wozem, sygnetem na palcu, wszechmocną książeczką czekową w kieszeni,

a oni jedli śniadanie, zabawnie późne, po miłości, na którą nie dość było lipcowej nocy, więc przenieśli miłość i noc do stolika, i to emanowało z nich; starczyło widzieć gest, z jakim ta dziewczyna podała mu kajzerkę, a wcześniej posmarowała dżemem, bo syn miał zawsze wielkie, niezgrabne łapy i marnie sobie radził w takich sprawach.

— Nie chcę wam się narzucać, ale byłem w interesach w Słupsku i pomyślałem sobie...

Pomyślał sobie, że czas najwyższy przerwać ten nienormalny stan rzeczy, iż od lat praktycznie ze sobą nie rozmawiają, a Janek żeniąc się urządza cichą, kameralną uroczystość, na którą ojca zaprasza wyłącznie z obowiązku.

Zabrał ich potem na obiad do restauracji i gdy na moment zostali z synem we dwóch przy stoliku, powiedział, że nie warto kłaść się do łóżka z byle kim

— jeżeli istnieją takie dziewczyny jak Anka — i chyba zawstydził się powagi tonu, bo szybko skontrapunktował ironią: — W moich ustach musi ci to brzmieć jak najobrzydliwszą hipokryzja.

Rzeczywiście, tak brzmiało, ale w nim wygasł już bunt, gdyż ojciec nagle stał się po prostu — drugim mężczyzną, który ma prawo żyć jak chce i traktować kobiety jak chce.

— Ona cię kocha, Jasiu. To się niezwykle rzadko zdarza. Czterolistna koniczynka, nie zmarnuj tego.

A choć raz pierwszy od wielu, wielu lat życiowa mądrość starego wyjadacza była po jego myśli, ani trochę jej nie potrzebował,

odkąd nie tylko miał w sobie jego krew, lecz także moc, iżby przekazać ją dalej, bo dzięki Ance to, co było załęczonym dziedzictwem, przeobraziło się w twórczą siłę,

a w takiej odmienionej, dorosłej krwi płynie już przecież własna mądrość.

Więc jeśli miewał niekiedy wątpliwości zasiane słowami żony, natychmiast za sprawą jej dotyku, pocałunku czy samej tylko obecności odzywał się ten inny, ważniejszy, rozum krwi — i gasił,

dlatego dopiero dziś wracają wszystkie słowa-zagadki, naonczas wyrugowane i unieważnione, przypomina je sobie wyraźnie, także największą nurtującą go wtedy zagadkę — zahermetyzowaną w milczeniu Anki przeszłość. Bo strumień płynął tylko w jedną stronę, to tylko on

posyłał zwierzenia jej miękkim ramionom i żarliwemu za-

słuchaniu; nie dla ulgi, to dolegliwe zostało powiedziane dawno, na początku, gdy odwoził ją samochodem do klasztoru, lecz po to,

aby wnikające w Ankę jego wspomnienia i myśli powróciły z ciszy spojrzeniem, dotykiem rąk, bezgłośnie przysięgą — jestem przy tobie.

O matce: bardzo mało, dziwnie i niechętnie, tyle zrozumiał, że żyje, ale z jakichś względów nie utrzymują kontaktu.

O rodzinnej miejscowości: taka wieś na południu.

O pierwszym chłopaku: spotkanie, które nigdy nie powinno się zdarzyć.

O czasach sprzed pobytu u albertynek: jak przed urodzeniem.

Teraz przypomina sobie, że właśnie w tej lodziarni przy głównej ulicy, dziś, przed sezonem, zamkniętej na głucho, pomyślał nagle, patrząc na Ankę, że jako bardzo młoda dziewczyna mogła wejść w konflikt z prawem; jadła lody, w śmieszny, dziecinny sposób oblizując łyżeczkę, a on wymówił jej imię — nie jako zakłęcie przeciwko domysłom, lecz po to, tylko po to, aby na niego spjrzała. A domysły nie potrzebowały zakłęcia,

nie bolały; przez trzy lata były gdzieś w dalekim tle i właściwie dopiero teraz sobie o nich przypomina, siedząc nad piwem w tej samej restauracji, do której zaprosił ich wtedy ojciec,

i patrząc na piętnastoletnie, szesnastoletnie gówniary przy barze, które obsługa natychmiast powinna stąd wyprosić, a jeszcze lepiej wezwać gliny z wydziału do spraw nieletnich; to był, uświadamia sobie, ów najdalszy punkt, gdzie docierały domysły, podejrzenie, że Anka była kiedyś taka jak te dwie, choć nic, naprawdę nic, poza samą niejasnością życiorysu, nie mogło na to wskazywać.

Kurewki spostrzegły zainteresowanie Milewskiego i za chwilę miał je przy stoliku. Jedna była Edyta, druga Klaudia, przyjechały tu na jakiś kongres przemysłowców.

— A co wy macie wspólnego z przemysłem?

Zachichotały.

— *Nothing*. Ale na takich imprezach zawsze jest wesoło, a my jesteśmy rozrywkowe dziewczyny.

— Młode jesteście — zauważył.

— Ty też nie stary — powiedziała Klaudia.

— Bo stary to jest tylko pies — dodała Edyta,

I znowu chichocik,

który nagle umilkł, bo twarz mężczyzny zmieniła się, i tak jakoś nieprzyjemnie na nie patrzy.

— Wiecie, co to jest saperka? To taka wojskowa łopatką na krótkim trzonku, którą można przeciąć kość jak tasakiem.

Wyłapała ostrzegawcze spojrzenie kumpelki, sama też zresztą czuła, że coś tu zaczyna śmierdzieć. Facet ma prawie łzy w oczach i gapi się na nią tak, jakby mu była coś winna.

— Powiedz: mogłabyś uderzyć czymś takim człowieka? I to nie w złości, ale na zimno, wiele razy, żeby bardzo powoli umierał... Pomyśl, mogłabyś?!

— Jezu! Pewnie, że nie! — prawie krzyknęła, i po chwili: — Ale żeś, kurwa, temat znalazł.

Klaudia dała znak, żeby się zrywać.

Człowiek zwany Arnoldem spojrział na zegarek i uśmiechnął się. Lubił, kiedy wszystkie elementy dokładnie ułożonego planu przystawały do siebie: sekunda do sekundy, człowiek do człowieka, bez żadnych pęknięć — lubił fachową robotę.

Chociaż swój pseudonim wzięł od Schwarzeneggera, którego przypominał budową, ani trochę nie miał mentalności napakowanego komandosa, a już najmniej hajcowały go rzeźniczkę widoki. Wielbił za to nowoczesną, „myślącą” broń, broń XXI wieku, jak mawiał z emfazą w głosie, te wszystkie amerykańskie pociski, co lecąc nocą nad miastem, odnajdują właściwy dach, właściwy szyb kominowy i tamtędy

dostają się do właściwego pomieszczenia, gdzie eksploduje ich ładunek o niewielkiej mocy, ale owa niewielka moc najzupełniej wystarcza. I taki chciał być sam, jak jego elektroniczni idole — bez niepotrzebnych zniszczeń zawsze punktowo trafiać w cel,

tak jak podczas ataku na ten szpital; 23.15 — po aptekarsku odmierzona dawka semtexu rozwała drzwi, 23.16 — sanitariusze i policjanci związani i odurzeni chloroformem, a równocześnie następny wybuch robi wyrwę w murze otaczającym szpitalny park, i tam — 23.18 — bo tyle trzeba, żeby przebiec od budynku, czeka już na nich w mikrobusie Tadek Kaplica, silnik włączony, drzwi otwarte, chłopaki nurkują do środka, Arnold wpycha Kulika, odjazd; 23.19 — są już na głównej szosie.

— Niecałe pięć minut. — Twarz Arnolda jaśnieje. — O nas, kurwa, powinni robić seriale, a nie o jakiejś drużynie A!

Rozluźnienie, komando ściąga kominiarki, Kulik szpitalną pizamę, których podaje mu ciuchy; syczą otwierane puszki piwa, błyskają płomyki zapalniczek,

więc dysonansem brzmi krzyk kierowcy:

— Wszyscy na podłogę! Blokada!

Na dźwięk pierwszej detonacji podeszła do okna; drugiej, gdzieś na obrzeżach parku, towarzyszył błysk, który zobaczyła między drzewami, i wtedy w jej zaparkowanym na dole cinquecento zaczął piszczeć alarm;

wyłączyła komputer, posyłając pożegnalne spojrzenie czterem krzywym, z których każda obrazowała przebieg cyklofrenii leczonej innym środkiem. Gdy była przy samochodzie, od strony głównej bramy szpitala usłyszała

strzały;

dwa, trzy pojedyncze, szybko po sobie następujące, i nagle seria z broni maszynowej. Psy szpitalne, których obecności nawet nie zarejestrowała, bo były na dworze czymś tak

naturalnym jak żywiczny powiew nocy, zawarczały ostrzegawczo, a mniejszy podszedł do Anki, nie wiadomo — bronić jej, czy odwrotnie, liczył, że ona go obroni.

— Strzelają, piesku. — Zapaliła papierosa i sama czujnie jak zwierzę łowiła uchem roztopione w ciemnościach zamieszanie,

jak gdyby w czarną, nieprzenikalną topiel ciśnięto nagle coś dużego i ciężkiego, nie dojrzysz co, a jedynym świadectwem jest kuliście rozbiegająca się fala

nawoływań, tupotu ciężkich butów, a to wszystko ma początek między sosnami, tam gdzie sądówka — i gdzie

Rafał Kulik.

A wtem niebo pokryły wirujące niebieskie refleksy „kogutów” i błysnęły w zaroślach latarki; wprost na ognik jej papierosa szła latarka, ktoś z latarką,

policjant z latarką.

— Czy pani jest lekarzem?

Jednak bronić jej chciał ten pies, zjeżony rzucił się do podkutyh buciorów, złapał zębami bojówki.

— Max, do mnie! — krzyknęła i kundel posłusznie wrócił w płamę światła, i znowu stali w niej razem oślepieni.

— Tak, jestem lekarzem. Ale dlaczego pan mi świeci prosto w oczy?

Opuścił latarkę.

— Była próba odbicia więźnia z oddziału dla podsądnych. Mamy postrzelonego, tam, zaraz przy bramie. Gdyby pani doktor mogła...

Nie musiała wracać na górę, wszystko, co potrzebne do udzielenia pierwszej pomocy, wozila zawsze w samochodzie.

— Psy zostają! Zostają! — nakazała

i poszła za policjantem, za rozszerzającym się klinem światła, w kierunku bramy, którą portier już otworzył i właśnie wjeżdżał przez nią radiowóz.

— Gdzie ta sądówka? — spytał zza opuszczonej szyby

młody kierowca; wskazała, że prosto i w prawo za drugim pawilonem.

Ale centrum zdarzenia było poza bramą, na szosie, przy której stał szpital, szerokiej, czteropasmowej obwodnicy miasta, w obu kierunkach zatarasowanej przez policyjne wozy

oraz mikrobus volkswagen z rozbitą przednią szybą i na sflaczałych oponach, przedziurawionych grotami stalowej taśmy; wielki, połyskujący gad, najeżony ostrymi łuskami wypełził prosto pod koła, przebił i unieruchomił. Pięciu mężczyzn klęczało przy mikrobusie z rękami skutymi na plecach, zastygłych w respekcie dla karabinów,

wycelowanych w nich bynajmniej nie dla blefu, tu nie było dla blefu i na czczy postrach,

o czym świadczyło ciało leżące na asfalcie, oświetlane zewsząd latarkami, jakby gwoli wyeksponowania grozy

rozrzuconych kończyn i нефизjologicznie skrzyżowanego tułowia, a jeszcze bardziej urągało anatomii ułożenie głowy, odchylenie w bok, tak jakby wyrastała z lewego ramienia,

a przykłąknąwszy nad ciałem zobaczyła, że szyję przestrzelono pociskiem dużego kalibru, który dokonał dekapitacji,

i że to głowa człowieka od jedenastu lat będącego już martwym, dla niej martwym,

od kiedy w liście z więzienia zażądała, by nigdy nie próbował nawiązywać z nią kontaktu, bo samo życie pokazało, że nasza znajomość do niczego nie prowadzi, tylko do nieszczęścia. Taka prawda, Rafał, i moja kumpelka dobrze mówi, że w nasz horoskop od początku była wpisana totalna klęska; ta mała, ruda, ta od szklarni, знаła się na astrologii, więc udowodniła Żanecie czarno na białym. I chyba zrozumiał, bo nigdy, o ile wie, nie starał się jej znaleźć, a przez pierwsze lata u albertynek bardzo się tego bała;

nie ze względu na siebie, swojego stosunku do niego była pewna, lecz na matkę Aurelię, siostry, podopiecznych; i pamięta, że dopóki czas nie odrealnił jej wizji, kładła w nocy

obok łóżka nóż, odprysk przemocy, odprysk przeszłości, który napawał ją obrzydzeniem, ale strach o bliskich był silniejszy.

— Co, Anka? Od takich przypadków to ja też mógłbym być lekarzem. — Podniosła wzrok: stał nad nią komisarz Olędzki i cała chmara innych policjantów, zwarty pierścień policjantów wokół nich,

więc pomyślała, że to prawie kalka sceny ich aresztowania o czwartej nad ranem siódmego maja w 1987,

gdy Rafał spał przyćpany i tylko ona usłyszała kroki na schodach, ciężkie kroki, szybkie kroki, mnóstwo podkutych butów, i podniosła się do pozycji kłęzącej, kłęczała na łóżku nad Rafałem próbując go dobudzić, a oni wtedy, barkami, z kopa wylamując drzwi, wpadli do środka, niebiesko się zrobiło od glin w tym hotelowym pokoju, bo miała rację, że jechali za nimi cały czas, a Rafał śmiał się, że jest przewrażliwiona, nikt nie miał prawa widzieć, jak zrzucili ciało Olka z mostu, zapamiętać numerów rejestracyjnych;

ani jej bić, „nie masz, chuju, prawa jej bić!” — krzyknął Rafał, który przywykł, że to on dyktuje w Nadolu wszelkie prawo, ale porucznik w odpowiedzi się uśmiechnął i uderzył drugi raz, i tylko dlatego nie spadła z krzesła, że skute ręce przepletli jej przez oparcie; „Rafał, on na pewno ma dzieci” — powiedziała; „Tak, Żanet, już my je znajdziemy”; „I któregoś dnia dostanie paczkę, otworzy, i... jak myślisz, Rafał, będzie się wtedy tak uśmiechał jak teraz?” — pamięta, że żadne ciosy, kopniaki nie mogły wygasić tego dialogu, bo byli znów jak w transie, nakręcenii, aż wreszcie porucznik wrzasnął „dosyć!” i kazał zaprowadzić do „suki”.

— Pieprzony desperado! Tamci — Olędzki wskazał skutych przy volkswagenie — wszyscy mieli giwery, ale grzecznie oddali. A on z gołymi rękami wystartował do moich chłopaków.

Było tak, jakby ten człowiek, od jedenastu lat martwy, nagle, przez swoją rzeczywistą śmierć, nie tyle ożył, ile na powrót stał się kimś dla niej ważnym,

bo przecież, uzmysłowiła sobie, właśnie teraz odbywa się nad Kulikiem prawdziwy sąd, i ona, ta należąca do niego, jest sądzona również.

W tym momencie nadjechała karetka pogotowia i przy zwłokach zastąpił Ankę właściwy lekarz, a Olędzki klnąc, że będzie musiał tłumaczyć się ze wszystkiego przed prokuratorem, wprosił się do niej na kawę.

— Czy konieczne było użycie broni? Czy denat zagrażał życiu lub zdrowiu policjantów? — Szli przez park, a komisarz zgrzyźliwie przedrzeźniał antycypowane pytania; kabura z ogromnym koltem kołysała się jak wahadło irytacji w rytm kroków, tak długich i szybkich, że z trudem za nim nadążała. — Aha, a przede wszystkim, dlaczego, wiedząc o planach odbicia Kulika, nie zabezpieczył pan należycie oddziału? Bo, kurwa, dostałem cynk w ostatniej chwili! I tak cud, że udało się na czas zablokować szosę!

A w jej gabinecie przestał gadać z prokuratorem i rozparł się w fotelu: strudzony wojownik, któremu, zamiast stać oparta o biurko, powinna usiąść na kolanach, całą sobą nagrodzić odwagę; idąc za jego wzrokiem spostrzegła pasmo swojego ciała — jako coś zupełnie obcego, nie jej był pępek, obnażone wcięcie w talii nad obcisłymi džinsami, a pod bluzką, która się z nich wysunęła.

— Jesteś najwspanialszą dziewczyną, jaką znam, wiesz?

Poprawiła bluzkę; tak, wiedziała, że podoba się Olędzkiemu — ilekroć do nich przychodził, a przychodził często, wyciągać Janka na tenisa, zawsze dawał jej to mniej lub bardziej aluzyjnie do zrozumienia, z reguły mniej.

A wtem jego ton i wyraz wzroku zaczęły dryfować, i w następnych słowach nie była już dziewczyną, a zaczynała być

kimś innym, kim? I choć zawsze drażniły ją zalecanki komisarza, wraz z ich ustaniem poczuła się niepewnie.

— Podziwiam cię, Anka. I dzięki tobie świat wydaje mi się lepszy. Szumnie brzmi, że odzyskuję wiarę w ludzi, ale rzeczywistość tak to mniej więcej jest. — Zapatrzył się w szklankę z kawą, upił łyk, odstawił na poręcz fotela. — Pomyślałem, że może właśnie dziś potrzebujesz, żeby ci to ktoś powiedział.

— Dlaczego właśnie dziś?

...bo zabił Rafała? Bo wie o jej przeszłości od Janka? A może zawsze wiedział, przecież jego sekcja na pewno sprawdza rodziny prokuratorów.

Nie wyjaśnił. Milczał. Skończył kawę.

— Pójdę już. — Westchnął ciężko. — Boże, co za dzień! Gdyby nie te parę chwil z tobą, chyba polazłbym się uchlać. Ale jedno dobre, wiesz? Że nie ma już tego skurwysyna Kulika.

Była pewna, że mówiąc to, patrzy na nią badawczo, jak gdyby testował reakcję. A może robił to od początku? Może po to kazał ją przyprowadzić do zwłok, gdzie przecież jej kwalifikacje nie były na nic potrzebne, sam śmiał się, że lekarzem od takich przypadków potrafi być każdy. I czemu właśnie ją zawołali? W Centralnym jest dziewięć oddziałów i na każdym w nocy dyżuruje lekarz.

— Trzymaj się, Anka. — Lekko, przyjacielsko pogłaskał jej ramię. — I pomyśl czasem ciepło o starym Olędzkiem.

...i jeszcze jeden dzień bez Anki oraz noc po nim.

O piątej rano recepcjonistka pensjonatu Kalina Morska otworzyła drzwi mężczyźnie, który chciał wyjść; jego bezsenność otarła się o jej rozespanie, krzesząc iskierki zdziwienia; przywykła, że nocny dyżur na zapleczu recepcji odmierzają natarczywe dzwonki i wtedy musi wstawać z kozetki, wpuszczać zapóźnionych, podpitych, często głupio, zaczepnie zagapionych w jej negliz pod pospiesznie narzuconym byle

czym; ale prawie nie zdarzało się, żeby gość tak rano wychodził, po co wychodził?

Cicho zapukał do jej pokoiku, prosząc, by otworzyła mu drzwi, i wyszedł, na taki ziąb bez wierzchniego okrycia, wielki chłop, a jak dziecko

— pomyślała ogarniając się szlafrokiem, pod którym łono nagle zaczęło mu współczuć, przez półsen, instynktownie,

a kiedy zamknęła za nim, za znikającym, przepadającym w zarannej mgle, i wróciła do siebie, jedno ramię wysunięte już ze szlafroka zastygło, i dziewczyna z recepcji cała zastygła w bezruchu, bo przez sekundę wyobraziła sobie, że ten człowiek,

człowiek o świcie, poszedł się zabić.

Ale Milewski bał się śmierci, więc i ta droga była odcięta. Mógł wpaść do niebytu przez przypadek, biegnąc, pijąc, łykając luminal, uciekając; kto ucieka na oślep, może nie spostrzec urwiska,

lecz żeby skoczyć tam świadomie, brakowało odwagi, i czuł się tchórzem, i czuł się głupcem,

którego mózg w trzeciej dobie bez chwili snu zdawał się żywą, każdym cierpiącym zwojem drwiną z sokratejskiej formuły: o piątej rano Milewski wiedział, że nie wie nic, poza jednym

— że ani sekundy dłużej nie wytrzyma w czterech ścianach, więc choćby w mgłę, choćby w tę mgłę za oknem, poskręcaną jak jego mózg, co wie, że nic nie wie,

byłe stąd wyjść, tyle wiedział.

I przepadły, zgubiony we mgle, odnalazł się koło falochronu; szedł po falochronie jak po krawędzi, mając po lewej kipieli, przygłuszoną, przywaloną betonowymi krzyżakami, które przypominały łapy monstualnego gada, co spełzył z falochronu, ażeby się napić, lecz naprzód przygwoździł wodę i rozboleśniał,

i to jest hen, aż po szwedzkie wybrzeże ból, Bałtyk bólu kołysze się w nim, uderzając o żebra, aż coraz trudniej iść, więc usiadł, nogi zwieszając poza krawędź, i jego stopy oparły się na śliskim, obryzganym kamieniu, pewnie zielonym od wodorostów, lecz noc nie zwróciła jeszcze barw, więc nie widać,

podobnie jak nie rozpoznaje, czy to ten sam kamień, z którego Anka skakała do wody i pod wodą opływała go jak ryba,

żywiół obudził w niej bowiem naturę ryby; pamięta, że w tamten lipcowy poranek określił istotę naturalnego piękna jej ciała,

bo choć mówiąc o takim pięknie, zwykle we frazeologicznej zbitce, daje mu się właśnie miano naturalnego, to jednak chodzi niezmiennie tylko o dyskobola, Wenus z Milo oraz tysięczne akty, tylko o ludzi,

podczas gdy ciało Anki nosiło zamię natury prawdziwszej, pierwotnej i animalnej, było rybą w wodzie, kotem na słońcu, ciepłym królikiem we śnie

— czujne, zwinne, w każdym ruchu atawistycznie doskonałe,

ciało Anki, jakże różne od tych zewsząd powszechnie narzucających się i oferowanych z cywilizacyjnej sztancy ciał białych kobiet końca XX wieku, magazynowych, wielkomiejskich, multimedialnych,

których erotyzm sprowadzono do jakiegoś modnego bełkotu, reklamowej sztuczności, absurdu szybkich numerów Miry.

A ona również go pragnęła; z prostą szczerością uczuć, która zawsze kontrastowała u Anki z tajemnicą, powiedziała, że z nim, przy nim i przez niego — miłość zmysłowa może być czysta, i z mnóstwem, mnóstwem gwiazd, jak pogodne niebo nad plażą.

— A to jest dla mnie czymś nie do uwierzenia, Janku: ty, ja, ta noc. I to, że mam dyplom, że jestem lekarką. Boję się, że to sen i nagle się obudzę.

— Pani doktor Milewska — szepnęła i objął ją; czy to było tu? Czy bliżej portu? Tam, gdzie siedzi mężczyzna z wędką, niepozorny, z łysiną, w której odbija się brzask.

„Widzisz, jak twoja pani doktor elegancko leczyła!”

Wstał, odepchnął wspomnienie Jadwigi Bielczyk i podszedł do wędkarza,

bo musiał przejść obok niego, uciekając w stronę portu, byle gdzie, szybkim krokiem rozpraszając koszmar, który załagał się nawet w stawach, i wędkarz był jakimś punktem, końcem drogi, dobrym, złym, jak każdy inny; zatrzymał się nad łysą głową.

— Albo pan przechodzisz, albo siadasz! — Łysa głowa zirytowała się.

Usiadł; niewidzialny dla oczu zapatrzonych w spławik.

— Byle pan tylko dziobem nie kłapał. Przepraszam za bezpośredniość.

Tym wymuszone milczenie trwało do pierwszej ryby. Łysy podciął ją wprawnie, pacnęła na falochron, przez siłę wyższą porwana,

po czym siła wyższa rozwalila jej łeb o kamień, Milewski przymknął oczy, ciemnością solidaryzując się z losem ryby, niestety, musiał otworzyć, dalej być.

— Coś ze zdrowiem czy kłopoty? — zagadnął wędkarz, mierząc go spojrzeniem dużych, okrągłych oczu, w których zdawało się utrwalone permanentne zadziwienie nad światem, kamień węgielny mądrości.

— Był pan kiedyś w sytuacji bez wyjścia? — spytał Milewski.

Żółte, ciemno nakrapiane dłonie nabiły na haczyk, robaka? kawałek mięsa? miał tego czegoś pełną puszkę i bez obrzydzenia zanurzał w niej palce, tak jak w swoim życiu.

— Czasami faktycznie miewałem wrażenie, jakby wszystkie światła pogasły. Coś podobnego opisali w Biblii, w Księdze Hioba.

— Nie czytałem Biblii.

Zarzucił, że świstem żyłki, jakby smagnął batem — za nieznajomość świętych ksiąg! Za ateizm! Ale wzburzenie nie trwało długo.

— A ja trochę się zapoznałem. Wtedy, jak mi córa umarła. Miała dwanaście lat. Głupie, zaniedbane zapalenie płuc.

W przezroczystości wody widać było rybę, która nieufnie okrążała przynętę; zamiar połknięcia łamał się w zygzakach nagłych skrętów, frywolnych esach-floresach ogona.

— Na śmierć to już, panie, nie ma lekarstwa. Ale na wszystko inne coś zawsze można poradzić. A jak pan sam nie wiesz, to spytaj się ludzi, którzy już to przeżyli. Bo nie ma tak, żeby jakaś rzecz przydarzyła się tylko panu jednemu na świecie.

Pomyślał, że jest przynajmniej jeden taki człowiek, i zdziwił się, że tak łatwo się poddał, kończąc dochodzenie bez przesłuchania głównego świadka.

— *Niet, niet, pan Sylwik, pajdiom siuda. Boss guliajet nad aziorom.*

Nie rozumiał, jaki czort wyciągnął Czuprynę z domu o trzeciej w nocy na ten cholerny ziąb. I to jeszcze nad staw, który Wańka nazwał jeziorem.

Ale posłusznie zboczył z centralnej alei wiodącej do pałacyku i okrężnie przez zarośla i trawniki szedł w mgłę, coraz gęściejszą, im bliżej wody.

— *On zły. Zatiem paszoł na pragutku.*

Niskie czoło Czupryny, sztucznie podwyższone przez zakola, wychynęło nagle z oparów jak księżyc, a w ślad za nim poświata błyszczącej skóry płaszcz. Stał Czupryna nieruchomo i ciężko jak pomnik,

i jak z kamienia wyciosana była dłoń, którą Sylwik uści-
snął.

— Słyszałeś?

— Tak. O pierwszej podali w radiu.

Wańka dyskretnie stanął opodal, nie człowiek, ale sprzęt,
rower, na którym ktoś przyjechał i odstawił pod drzewem.

— Może miałeś rację, Sylwik, może dobrze się stało
w gruncie rzeczy.

Czupryna szukał czegoś w kieszeni, pewnie papierosa,
więc, już-już szykując się usłudnie podać ogień, wyjął zapal-
niczkę.

Ale wielkie zwierzę dłoni nie wyłaziło z nory.

— A jednak nie miałeś prawa za mnie decydować.

Drgnął.

— Nie wiem, o czym mówisz, Czupryna!

Z głębi kieszeni odpowiedział mu jego własny głos; wpi-
erw stłumiony, potem już bardzo wyraźny, kiedy ręka wyciągnęła
magnetofon.

— ...za dwadzieścia minut, najpóźniej pół godziny
uzbrojona grupa zaatakuję Centralny Szpital Psychiatryczny.
Chcą uwolnić Rafała Kulika. Przekażcie to Olędzkiemu!

Szczęknął przycisk, głos umilkł, i taśma z cichym szme-
rem przewijała się do początku.

— Chcesz posłuchać jeszcze raz? — spytał Czupryna,

a Sylwik uświadomił sobie, że był jeszcze drugi, podobny
szczęk w powietrzu, a to Wańka odbezpieczył swojego maka-
rowa. — Widzisz, Sylwik, gliny nagrywają takie telefony. A ja
mam dostatecznie długie ręce, żeby wydobyć od nich taśmy.
Nawet z Komendy Głównej.

Wtedy w niepojętym optycznym efekcie zobaczył swoje od-
bicie, unoszące się w słupie mgły nad szuwarami.

— Musiałem to zrobić — powiedział twardo. — Spółka
z Kulikiem skończyłaby się dla nas wszystkich tragicznie. Tłu-
maczyłem ci, ale nie chciałeś słuchać.

Dziwny refleks rozwiewał się, tracąc wyrazistość.

— Kulik i Żaneta nie nadają się do współpracy. To jakbyś chciał współpracować ze skorpionami.

— Kto to jest Żaneta? — zainteresował się Czupryna, ale wobec braku natychmiastowej odpowiedzi, machnął zniecierpliwiony ręką, a na ten znak Wańka trzykrotnie pociągnął za spust — i już nie było Sylwika.

Ani Żanety, która w nim istniała.

— Nie sądzisz, że powinnaś pojechać do domu?

Podczas obchodu miała twarz koloru kredy, i poruszała się jak automat; według jego obliczenia — nie kończący się dyżur Anki trwał już czwartą dobę; od tego wieczoru, kiedy Milewski ją opuścił, a ona podała Bednarczykowi phelonex. Teraz próbowała zasnąć, lecz to udało się jedynie wtulonemu w nią kotu, temu samemu, który posłużył Kozerskiemu do eksperymentu i którego naprawdę chętnie by się pozbył, żeby nie przypominał już o całym zdarzeniu i rozmowie. Leżała na fotelu, po swoim, embrionalnie pod kocem, okna gabinetu szczelnie zasłoniła żaluzjami — zrozumiał, że chroni się tu, gdzie zawsze był jej drugi, a teraz jest jedyny dom, i że w takim razie jego rada nie miała żadnego sensu.

— Pamiętasz, Stefan, wtedy, na sądówce, zapytałeś, czy boję się śmierci.

— Dziś już chyba wiesz, że to pytanie z naszego żelaznego repertuaru. — Jego wzrok błędził po świeżo zadrukowanych kartkach: setki kartek, jakby ktoś rozerwał w tym pokoju opasły podręcznik — ale to był podręcznik tworzący się, tworzony, i patrząc na Ankę, zaczął się obawiać, czy starczy jej sił, aby temu zalegającemu biurko i podłogę chaosowi kazać przeistoczyć się w ład; minionej nocy, mimo jej wydarzeń, również pracowała — była na stronach kilku ame-

rykańskich uniwersytetów, po drodze zahaczając o Zurych, gdzie zainteresowała ją praca jakiegoś immunologa, kilka dni wcześniej, zanim to wszystko się stało wokół niej, wspominała, że chodzi o jeden z neurohormonów, jego rolę w systemie odpornościowym, słuchał piąte przez dziesiąte, głowa bolała, niewiele rozumiał.

— Wczoraj Kulik, dzisiaj Koczbor. Podobno znaleźli go na wysypisku śmieci. — Zapaliła papierosa z paczki zagrzebanej w strony szwajcarskiego doktoratu. — Ale nie boję się, tak samo jak wtedy się nie bałam, tylko dziś bardziej mi żal, zwłaszcza tego. — Wzięła do ręki tytułową stronę *Neurologische Frage und...* — Pewnie to egoizm, Stefan, ale sama dla siebie chciałam wiedzieć. Nie żeby zdobywać stopnie naukowe, ale tak ze zwyczajnej ciekawości, rozumiesz?

Miał jej tłumaczyć? że ci dwaj, dawni — nawet w myślach starał się zmiękczyć określenie — ci dwaj dawni współoskarżeni w jej procesie zginęli, ponieważ byli zawodowymi przestępcami, i dla żadnego innego powodu nie pociągnięto tej nocy za spust; po co? skoro każdym nerwem potrafił zespolić się z Anką, podzielić jej własny, ważniejszy, punkt widzenia, punkt przerażenia — Kulik zginął prawie na jej oczach, rano z radia dowiedziała się o śmierci tego drugiego.

Więc milczeli,

także wtedy, gdy Karol przydźwigał do jej gabinetu obraz.

— Pani doktor prosiła... — Zobaczył ordynatora i trochę się speszył, stojąc w progu ze swym wielkim, chorym malowidłem, którym zasłaniał się jak tarczą. — Prosiła, żebym przyniósł.

I wobec ich niemej zgody oparł obraz o ścianę, między komputerem a szafą z lekami;

Anka nie powiedziała, kogo symbolizuje Ptakon, brzemienny w ptaki kary, lecz Kozerski domyślał się; i może dlatego ukrył przed nią, że jest z tą osobą umówiony.

— A więc są śmiertelni — powiedziała odkładając gazetę, tandetną popołudniówkę, której nikt w tym domu nie czytał, póki nie zaatakowała z witryn kiosków, wszystkich kiosków w mieście,

jak gdyby pękł skrzep i pamięć rozbryznęła się, plamiąc gazety fotografią jego twarzy; z pierwszej strony patrzył na Martę Rafał Kulik, więc kupiła, czytając szła do domu, i milczała przy stole,

aż odłożyła — był już tylko kawałkiem papieru, skoro dotarło do niej, że nie żyje.

— Śmierć zwycięża wszystkich. Nawet tych, co wierzyli, że jest po ich stronie.

Mężczyzna, który przed dziesięciu laty poślubił Martę, był mechanikiem samochodowym, więc nie całkiem pojął sens jej słów. Ale razem z nią cieszył się, że choć okrężną drogą, sprawiedliwość dosięgła wreszcie morderców. Olka nie znał, to stało się, zanim spotkał Martę,

dziewczynę, której brata zamordowały bandziory, jak scharakteryzował ją w rozmowie z rodzicami; opowiedział o niej, bo od samego początku miał pewność, że to nie będzie tylko zwykłe chodzenie ze sobą — nic nie mogło być zwykłe z kimś, kto przeżył taki koszmar,

ale poprzysiągł, że uczyni z niej normalną kobietę, żonę, matkę swoich dzieci; tylko nigdy przy Marcie nie wspominajcie o tej historii — prosił — udawajcie, że o niczym nie wiecie. Więc w rodzinie zapanowała zmowa milczenia o Olku, przerywana tylko przez teściową; nie lubił tych wizyt w Nadolu, cmentarnej atmosfery,

bo w miasteczku, skąd pochodziła jego żona, istniał jak gdyby tylko grób

człowieka, o którym wiedział, że to dzięki niemu, przez jego śmierć, mógł się zbliżyć do Marty; inaczej ani by spojrziała na chłopaka bez matury, nieśmiałego i słusznie zakompleksionego na punkcie swego wyglądu; ona, długonoga, wy-

soka, z płomieniami czerwonorudych włosów, bujnych, zawsze rozpuszczonych, skończona piękność, za którą często oglądał się, gdy idąc na uczelnię, mijała warsztat, gdzie pracował,

i tak trwało kilka miesięcy, póki nagle nie zobaczył jej zupełnie zmienionej, a potem jechał do siebie do Błonia i za kierownicą starego fiata zamyślił się, spoglądając na ustrojone przy szosie kapliczki; był maj, miesiąc Matki Bożej, a nieznajoma miała właśnie twarz Marii stojącej pod krzyżem.

Był, wiedział o tym, przypadkowym ratunkiem, gdy nagle okazało się, że nie ma, ani tam w Nadolu, ani tu, gdzie studiowała, nikogo naprawdę bliskiego; co takiego powiedział Marcie? chyba coś w tym sensie, że jeśli samej jej zbyt ciężko, gotów wziąć na siebie część ciężaru, bólu, kłopotu, cokolwiek by to było; oczywiście wyraził się niezgrabnie i dziwnie, bo przez płot warsztatu, przy którym stał w chwili, gdy tamtędy przechodziła,

i była w takim stanie, że gdyby do niej nie zagadał, „nie wiem, czy nie odebrałabym sobie życia” — powiedziała kilka dni później Marta Błaszak,

która została z nim do dziś, nosi teraz jego nazwisko, urodziła dwóch jego synów, choć nigdy go nie kochała,

tak jak innych facetów, dawniej, przed śmiercią Olka, ceniąc w nich męskość, polot, dowcip, a nieraz także samochód i styl ubierania się. A Staszek niczego z tego nie posiadał, ale miał w sobie dobroć; tylko tyle, i aż tyle w świecie, na którym istnieli Kulik i Anka „Zaneta” Bielczyk,

przez co ten świat był skażony, nie nadający się do zamieszkania, wroga planeta, teren po wybuchu nuklearnym; nikomu nie ufała — najbliżsi przyjaciele mogli zadać cios,

tak jak ta dziewczyna, która przecież mieniła się jej przyjaciółką, przygarnięta przez Martę trochę z litości, bezdomne zwierzę odpłacające nie tylko przywiązaniem, ale wręcz narzucaniem się, nawet do akademika potrafiła do niej dzwonić,

gadać, paplać, radzić się w różnych babskich, a właściwie dziewczęcych sprawach, bo mimo że szlajała się z facetami po dyskotekach i prawdopodobnie ostro puszczała, była chwilami zaskakująco infantylna. — Marty — mówiła do niej z angielska,

zawsze bez gustu, wyzywająco ubrana i wymalowana, i zawsze nie domyta sierotka z najgorszej dzielnicy miasta. Olek podkochiwał się w niej, mama bez entuzjazmu tolerowała, a Marta — chyba nawet polubiła

psychopatkę, choć to słowo niczego nie tłumaczy, nazywając nie ujmuje lęku przed mocą, której żadne nazwy się nie mają, wymykającą się określeniom, przewidywaniom, rozsądkowi; przed mocą udzieloną grupie nadludzi po to, aby krzywdzili zwykłych, małych, słabych; oni — buńczucznie stojący ponad prawem i sprawiedliwością, skoro nikt nie chce, nie umie, każdy zbyt strachliwy jest, by ująć się za jej krzywdą, wymierzyć karę — nie ma kary, Kulika w ogóle nie sądzono, Anka „Zaneta” wyszła po pięciu miesiącach.

Czas leczy rany — myślał Staszek, patrząc na Martę, lecz nie wiedział, że nie ma czasu dość długiego, by wyleczyć z lęku o dzieci, o siebie, o męża,

wydanych na łaskę i niełaskę nadludzi,

z których dwóch, dowiedziała się z popołudniowej gazety, nie żyje, jeden leżał na śmietniku, rozumiesz, Staszek? na śmietniku, jak zdechły szczur!

Marta chce się śmiać, krzyczeć z radości, i błogosławić, tak, bądź błogosławiona jedyna prawdziwa sojuszniczko i pocieszycielko; dzięki ci, o śmierci!

— Nie chciałem ci mówić. — W głosie męża i teraz wyczuła wahanie. — Dzwoniła dzisiaj ta kobieta, ta Anna Bielczyk.

Przymknęła oczy.

— Zaneta?

Sala sądowa. Nadludzie ironicznie uśmiechają się z ławy oskarżonych, i Anka, składając zeznania, też się uśmiecha, opanowana, spokojna w granicach lekkiego uniesienia, w które wprawiają ją własne kłamstwa.

— Oni nie chcieli mu nic złego zrobić, Wysoki Sądzie. To Błaszak pierwszy zaatakował Rafała. Miał w ręku żelazny drąg i krzyczał, że wszystkich zatłucze. Mnie też groził.

I na koniec z dramatyczną emfazą:

— Dlaczego mi nikt nie wierzy? Gdyby Olek żył, poświadczyłby, że mówię prawdę!

A potem korytarz sądu. Przeszła tuż obok, prowadzona przez policjanta; krótka wymiana spojrzeń.

— Nie znałaś mnie, Marty, co nie?

Modliła się, żeby policjant wyjął z kabury pistolet i strzelił kurwie między oczy, zgasił w nich rozbawienie, triumfującą ironię, za ten strzał oddałaby w tym momencie wszystko — swoje życie, życie matki,

ale on tylko ją lekko popchnął.

— No, przechodź, przechodź, córcia!

Mięczak, co Żaneta natychmiast wyczuła, i szarpnęła się, aż się zachwiał; gruby, jowialny, nieporadny — żywy symbol świata, który skapitulował przed nimi.

— Trzymaj gable przy sobie! Chyba jestem dziewczyną!

— Sprawiała wrażenie osoby trochę niespełna rozumu, — Określenia, których Staszek używał, były łagodne jak cała jego natura.

— Co mówiła? — przerwała mu ostro.

— Bardzo nieskładnie.

Ten telefon odebrał przed trzema godzinami, gdy Marta była w pracy. Mimo że przedstawiła się nazwiskiem, które słyszał wielokrotnie, nie wymawiane, złowrogim przekleństwem zalegające w myślach żony,

nie od razu zrozumiał, z kim rozmawia, tamta dziewczyna

pochodziła przecież z jakiegoś marginesu marginesów, ojciec pijak, matka kurwa, więzienie,

a to był głos inteligentny, Marta tak mówi i jej koleżanki z uniwersytetu; to się da poznać nawet przez telefon.

— Nie mam prawa prosić o przebaczenie, bo to byłby z mojej strony moralny szantaż. Gdyby pan jednak mógł powiedzieć ode mnie Marcie, że wiele lat temu... — przerwała — ...że od wielu lat żyję zjednoczona z nią w bólu.

Zabrzmiało sztywno jak oficjalne kondolencje, ale żadnych innych słów nie wypowiedziały ściany, biurko, podłoga, białe meble jej gabinetu; czuła się jak cudzoziemka, która nie nauczyła się języka dostatecznie, by wyrazić uczucia i myśli, i tylko mechanikowi samochodowemu jej sposób mówienia mógł się wydać inteligentny.

— Czemu pani dzwoni? Bo tamci dwaj zginęli? Ja i moja żona nie mamy z tym nic wspólnego.

— Wiem — powiedziała bezdźwięcznie. — Takie rzeczy nie od nas zależą. To się po prostu dokonuje.

Przestał rozumieć; poza jednym — że nie wolno dopuścić, by lęk tej kobiety wdarł się do ich domu.

— Niech pani nigdy więcej do nas nie dzwoni.

— Nie będę. Chciałam tylko, zanim...

Odłożył słuchawkę. Prawie w tej samej chwili do jej gabinetu wszedł Kozerski, a potem Karol przyniósł Ptakona.

Miał mocne postanowienie, że nie powie Marcie o telefonie, ale przez dziesięć lat niczego przed nią nie ukrywał, więc zwyczajnie nie potrafił.

— Najdziwniejsze, że wystawiała się jak osoba kulturalna.

Marty to nie zdziwiło; gdy pięć lat temu jej adwokat starał się doprowadzić do ponownego uwięzienia Anny Bielczyk, usłyszał od jakiegoś urzędnika prawie wprost, że fakt zapisania się na studia przekreśla winę;

zresztą dla wymiaru sprawiedliwości nie ma winy. Ani

kary — liczy się tylko resocjalizacja. A potem ten pogląd podzielił sam Prezydent Rzeczypospolitej.

Rozważała, czy nie napisać do władz uczelni i samorządu studenckiego listu, w którym odsłoniłaby przeszłość ich słuchaczki i koleżanki, by dokonało się chociaż moralne potępienie,

ale — jak długo, ile razy można się upokarzać, prosząc o sprawiedliwość, od instancji do instancji, śmierć i mękę Olka niosąc przed sobą jak tekturową żebraczą tabliczkę?

Raz jeszcze spojrzała na gazetę, zdjęcie Kulika na pierwszej stronie, zaraz pod datą, 19 kwietnia, przełomowy dzień, pierwszy dzień wolności,

w którym przekonała się, że oni, nadludzie, nie tylko są śmiertelni,

lecz że również — bywają słabi.

Hotel miał kształt niesymetrycznej podkowy; dłuższe ramię było jasno oświetlone, krótsze ciemne, jako że trwał tam remont i tylko kilka pokoi na pierwszym piętrze udostępniono gościom. Recepcjonista skierował go do jednego z nich.

— Na stałe chce pan tu mieszkać? — spytał człowieka, który sprawiał wrażenie, że niewiele widzi wokół; zamarł

w brzydkim rudym fotelu, i gdy jutro, pojutrze remont dotrze tutaj, i przyjdą po stare meble, on się nie poruszy, zniknie razem z fotelem.

— Uważa pan, że zachowuję się jak gówniarz? Tak, to bardzo śmieszne, że trzydziestoletni facet kompletnie się pogubił!

Pagórki kolan wielkoluda wypiętrzyły się ponad krawędź stołu; Kozerski przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko.

— Prosił mnie pan o rozmowę, słucham.

— Nie o rozmowę, o pomoc! — Wzrok Milewskiego, ciepły i lśniący, przykleił się do jego twarzy. — Jest pan psychiatrą,

a przy tym człowiekiem bezwzględnie uczciwym. Może powinienem powiedzieć w odwrotnej kolejności, sam nie wiem...

— Z całą pewnością jestem psychiatrą. — Uśmiechnął się. — Ale nie sadzę, żeby panu akurat była potrzebna taka pomoc.

— Tak — przyznał Milewski. — Nie dane mi było zwariować. Być może wtedy ujrzałbym to wszystko w innym świetle. Łatwiej mógłbym się w nią wczuć.

— Zareczęm, że nie. — Palce Kozerskiego oderwały folię z paczki cameli; kciuk i wskazujący zmięły w kulkę. — Nasza znajomość — zawahał się i poprawił: — moja przyjaźń z Anką trwa ponad dziesięć lat i — to jest nie kończące się wtajemniczenie.

— Jest chora psychicznie? Inaczej: czy była chora wtedy?

— *Tempora criminis*? Według psychiatrii, stanu wiedzy na dziś, nie. — Następnym do zmięcia w palcach był urywek złotka, pod nim dwadzieścia ustników, równo, w ładzie, jakże obcym ich rozmowie. — Zresztą, jak panu wiadomo, sąd nie zastosował artykułu dwudziestego piątego. Choroba przyszła, a może rozwinęła się, później, wtedy właśnie ją poznałem.

Zrozumiał, że Milewski odbywa teraz drogę wstecz, w kierunku przeciwnym do tego, z którego on przyszedł, i dlatego pyta, jak możliwe, że była kiedyś tak bardzo inna, licząc, że wyjaśnień udzieli psychiatra,

a psychiatra tymczasem nie pojmuje, jak możliwe, że stała się tak bardzo inna; i to przede wszystkim ich różni, kierunek, oraz dystans, bo prawdziwe dziesięć lat, to nie dziesięć lat ścieśnione w myślach i wyobraźni, nieprawdopodobna kompresja grożąca wybuchem.

— Jaka była? Czy mógłby mi ją pan profesor opisać?

Odniosł wrażenie, że ten biedak nawet teraz nie przestał być prokuratorem — i przesłuchuje; odpowiedział zwięźle:

— Brzydka, brudna, zła.

I po chwili:

— Po co pan pyta? To przecież oczywiste, że mogła budzić wyłącznie wstręt.

— Ale w którymś momencie nastąpił przełom, pan mówi o przyjaźni; przyjaźni z kim?

Zielony neon z nazwą hotelu świecił w szyby i przedziwnym rykoszetem odbijał się w popielnicze,

którą mężczyzna chwycił nagle tak, jak gdyby chciał nią cisnąć o ścianę, albo w Kozerskiego,

zapalającego papierosa; lecz złagodził gest i tylko podsunął mu ciężki kryształ z zielonym refleksem na dnie, odbiciem liter, pretensjonalnych, małpujących gotyk, które świecą z dachu przeciwnego skrzydła,

niestrudzone od zmierzchu do świtu, tak jak wzrok lokatora tego pokoju, zeszytwniały po wielonocnej bezsenności.

Nie skłamał mówiąc o przyjaźni, jak również nie rzutował swoich uczuć wstecz, niby prostaczek, co pojednawszy się z nieprzyjacielem, utrzymuje i wierzy, że tak naprawdę zawsze go lubił. Nie, Kozerski niczego nie odwołuje, nie chce odwoływać: była studentką Bielczyk, i Żanetą, było i trwa ich niepojęte spotkanie.

— Powiem panu coś, co mnie samemu wydaje się dziwne: myślę, że razem z nią uwierzyłem w mit o powtórnym narodzinach.

A może — nie powiedział, nie przyznał się rozmówcy — przełom był, gdy pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu? A niedługo potem jakaś zwykła z początku rozmowa przeciągnęła im się do rana, i szyby jej gabinetu zaszarzały światem, kiedy się zorientował, że opowiedział swoje życie; pamięta, że zrozumiał wtedy sens instytucji płatnego słuchacza zwierzeń, o czym przeczytał w jakiejś książce: to działo się w Anglii, krótko po zakończeniu wojny, *for 15 p. you're allowed to tell how your house was bombed, for one phound you're allowed to relate your most cruel war experience*, przy stolikach

młode dziewczyny, skupione, życzliwie zainteresowane, kolejka chętnych na kilometr,

a on załatwił to sobie za darmo, przy sześciu kawach i kilkudziesięciu papierosach, których niedopałki spiętrzyły się po brzegi popielnicy, jak gdyby wypełnionej jego życiem.

— Znam ten mit — rzekł Milewski, mocno akcentując ostatnie słowo; zachnął się.

— A faktów pan nie zna?! Dobrze, zostawmy mity jej schizogennej fantazji, łaskę mojemu przyjacielowi biskupowi, ale, niezależnie, jak to nazwiemy, stało się jednak, do cholery, coś uchwytnego i wymiernego. A my dwaj, proszę pana, prawnik i lekarz, powinniśmy chyba mieć szacunek dla faktów.

I w ciszy, która zapadła po tych słowach, ciszy w Janie Milewskim, dotknął delikatnie jego ramienia.

— Dzięki Ance przekonałem się, że naprawdę istnieje coś takiego jak „syndrom świętych”: osobowości zdolne do najbardziej radykalnej konwersji, moralni ślepcy, którzy nagle odzyskiwali wzrok i których Kościół wynosił później na ołtarze. To właśnie Anka — i taką musi pan ją przyjąć lub odrzucić.

— Kocha mnie — powiedział Milewski, jak gdyby pytał, czy to dość dla sądu, któremu od tylu godzin przewodniczy.

Kocha go — pomyślał echem. — Na swej drodze między złem a dobrem, gdy wyrwała się piekłu, by szturmem zdobywać niebo, nagle poznała tego człowieka — i dla niego, po prostu, została na ziemi. Panie Janku, niech pan ją tu na ziemi zatrzyma, pan jeden potrafi; ja, stary lekarz, proszę...

Ale milczał, bo nie umiał wyrazić tego, tak w rozmowie.

Marta Błaszak odezwała się o 19.30,

gdy w telewizji zaczynało się główne wydanie wiadomości; włączyła telewizor, by sprawdzić, czy w skali globalnej dzieje się już coś, co mogłoby potwierdzać przepowiednię Karola,

nie dlatego, że wierzyła jemu osobiście, był przecież tylko schizofrenikiem, ale jednocześnie ponad wszelką wątpliwość także znakiem, kolejnym z serii nieomylnych;

po własnym zmartwychwstaniu, poznaniu Janka, powtórnym zjawieniu się Rafała i jego śmierci, i po śmierci Sylwika,

następny znak kodu zrozumiałego tylko dla niej, bo dla niej jednej przeznaczonego.

— Nigdy więcej nie składaj kwiatów na jego grobie! — powiedziała,

i Anka odruchowo podniosła słuchawkę, choć wcześniej nie dzwonił telefon, martwa i cicha była komórkowa nokia oraz wielki panasonic na biurku Janka, a mimo to mieszkanie wypełniło się głosem, we wszystkich pokojach mówiła do niej Marta,

wtedy przypomniała sobie o CB radiu, które mieli w najmniejszym pokoiku za kuchnią, w tak zwanej służbowce, będącej składem rupieci, jak ten sprzęt od miesięcy nie używany; poszła tam.

— Nigdy więcej, słyszysz! — powtórzyła siostra Olka.

Zobaczyła, że aparat nie jest włączony.

Tego dziennika, brulionu w siermiężnej szarej oprawie, nie prowadziła od dawna; a ostatnie zapiski też powstały po długiej przerwie — miesiącach, latach tak zwykłych, że niewartych upamiętniania, kiedy czas przełomu dobiegł końca i już spowszedniało nowe życie, wcielenie, rola, potocznie mówi się „służba Bogu”,

ale unikała tego określenia, podejrzewając, że mimo pozorów uniżoności zawiera pychę; nie była Anną, która odczytywała znaki i czuła się wybrana — po prostu: nie umiając niczego zmienić, postanowiła zmienić wszystko, cezura, cięcie, wyjście poza krąg. Ciekawość naukowca z nawyku kazała śledzić proces przeistaczania się w zakonnice Aurelię,

i dzień po dniu rzetelnie rejestrowała eksperyment na sobie, aż do końcowego wyniku, gdy to, co było aktem rozpacz, stało się sensem. Wtedy zarzuciła dziennik, zresztą nie miała już czasu po objęciu zwierzchnictwa nad przytułkiem.

Aż do pojawienia się Anny. *Telefonował biskup Księżopolski. Chce, bym przyjęła pewną dziewczynę na salowa. Istotnie z naszych dwóch salowych pożytek niewielki — Różia stareńka, a Irena zagląda niestety do kieliszka i niedługo będę zmuszona jej wymówić. Ta dziewczyna ma 16 lat i została skazana za udział w morderstwie. Nie rozumiem, czemu w takim razie nie siedzi w więzieniu, ale podobno miewa zaburzenia psychiczne, słowem — ostatnia osoba, jaka powinienam przyjmować pod ten dach. Jednak prośbie biskupa nie wypada odmawiać, więc bardzo niechętnie wyraziłam zgodę. Teraz trzeba będzie stale czuwać, tak jak rok temu czuwało się przy furiacie Antonim. Cóż, muszę to traktować jak jeszcze jedno wyzwanie.* Uśmiechnęła się nad ostatnim słowem, ono zresztą pojawiała się bardzo często w tych notatkach, słowo neofitki, bezwzględnie szczere, choć przecież ślepo powtarzane po wielkich nauczycielach — dzisiaj nigdy nie powiedziałyby o wyzwaniu, jeśli już to o nieskończonym obowiązku. *Ma na imię Anna i, jak to mawiała gosposia moich rodziców, „z twarzy widać co za jedna”.* Stała w przestronnej, wysoko sklepionej sieni, która przez kontrast dodatkowo ją pomniejszała, szesnastolatką, choć wyglądała na pierwszy rzut oka dziecinniej, niska, szczupła, w cienkiej skórzanej kurtce, mimo że zimny marzec, na ramieniu po dróżna torba, na spodniach krew,

Aurelia pomyślała, że to od menstruacji, nogawka na udzie ciemnoczerwona, i zastanawiała się, jak taktownie zwrócić jej uwagę.

— Jestem Bielczyk Anna — przedstawiła się jak należy w sądzie, prokuraturze i na policji. — Zostałam tu skierowana do pracy.

Ich wzrok spotkał się na krwawej plamie; dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Szklęm się skaleczyłam. Jakby się znalazło trochę spirytusu i jakiś plaster... Przepraszam za kłopot.

Zaprowadziła ją do pokoju pielęgniarki; wtedy żyła jeszcze siostra Deotyma, prawdziwa weteranka, w wojnę zabiegowa u Jana Bożego, i gdy Anna ściągnęła spodnie, starszuszce przyszły na pamięć czasy byle czym opatrywanych postrzałów, strzępami koszul i prześcieradeł tamowanej krwi,

ta zaś użyła własnych rajstop jako opaski uciskowej i zarazem tamponu, wepchnęła w udo, w wyrwę rozległą na centymetry, głęboką, jakby zwierzę wyszarpnęło zębami.

— Panie Boże, toż to trzeba zaraz lekarza! — zakrzyknęła Deotyma z tym charakterystycznym zaśpiewem kobiety z Kresów. — Ty durna! — zwróciła się do niej z poczciwym gniewem. — Ty zakażenia możesz dostać! Wiesz, co to jest zakażenie? Bywa, że nogę trzeba potem ucinać!

Ale Anna bez większego zainteresowania spojrzała na swoją ranę, *nigdzie w literaturze, nawet u naturalisty Zoli ani u Dostojewskiego, nie spotkałam postaci, która choć trochę przypominałaby tę dziewczynę.*

— Czy siostrzyczki pozwolą mi zapalić papierosa? — zwróciła się do Aurelii i Deotymy, która ze spontanicznym oburzeniem sprostowała:

— To jest matka przełożona! Zapamiętaj!

I po chwili:

— A palić można.

Bo mocno zapadł jej w świadomość widok rannych przewyciężających ból papierosami, i stąd, choć sama oczywiście niepaląca, uznawała papierosy za rodzaj środka znieczulającego. *29 marca. Anna, jak dotąd, nie sprawia kłopotów. Jest posłuszna, pracowita i mało mówna, natomiast mnóstwo pali. Już nie potrafię sobie jej wyobrazić inaczej niż z papierosem. Za piętnaście minut przyjechało pogotowie, szczęśliwie*

nigdy nie musiały długo na nich czekać, bo Aurelia jako dawny pracownik naukowy Akademii Medycznej miała dobre stosunki z tutejszą służbą zdrowia,

i lekarz, taki typ, co przejrzał na wskroś brudy świata, tylko zerknął na gatunek fizjonomii oraz rodzaj rany — i od razu spytał rzeczowo:

— Samookaleczenie czy twój facet jest psychopata?

Pomyślałam wtedy, że ona sprowadza tutaj, chociażby już w warstwie pojęć, zło najbardziej wulgarne, takie, nad którym pochylić się nie pozwala proste obrzydzenie. Właśnie — wulgarność zła i całą jego antyestetykę poznaję i doświadczam patrząc na Annę. 11 kwietnia. Anna zgodnie z wymogiem prawa zameldowała się na posterunku policji. Wcześniej komendant ostrzegwał mnie przed nią. Opowiadał w budzących grozę szczegółach o zbrodni, którą popełniła. Podobno również, choć nie jest to do końca dowiedzione, wybiła oczy współwięźniarce. Boże! Jakby nie dość mi było tego, co wiem o niej od biskupa Adama.

Spotkałam ją później w ogrodzie, wracała z policji. Być może rzeczywiście usunęłam się ze ścieżki, aby uniknąć przypadkowego fizycznego zetknięcia.

— Proszę się mnie nie bać — powiedziała do mnie. — Już nigdy nikomu nie wyrządzę krzywdy.

Ale mną nie strach powodował. Wiem, uczucie odrazy w stosunku do człowieka powinno być mi obce i — wyrzucam sobie, że tak nie jest.

Stare notatki, wyblakłe wspomnienia, przez lata nie odświeżane, czas, który był, skoro istnieją te kartki, ostatnie zapisane, po nich nic, dziennik urywa się w połowie brulionu, i na tych wolnych stronach, gdyby potrafiła, powinna napisać dalszy ciąg,

historię swojej najdziwniejszej bliskości z drugim człowiekiem, przyjaźni, która wymyka się potocznym określeniom, więc nawet samo słowo „przyjaźń” niekoniecznie mu-

si być tym najlepiej rzecz oddającym; zresztą nie wie, bo nigdy przedtem, ani w dzieciństwie, ani na studiach jako młoda dziewczyna, nie miała przyjaciółek; rozmowy z koleżankami odstraszały mialkością, płytkością, tematycznym ubóstwem, nigdy nie potrafiła znaleźć wspólnego języka z tymi, dla których spirala DNA była tylko nudnym problemem książkowym do wkucia na pamięć przed klasówką lub kolokwium, prawdziwe zaś emocje wyzwalała spirala antykoncepcyjna oraz faceci, faceci, faceci, i ciuchy, ciuchy, ciuchy; dziewczyny głupie jak pisma kobiece, podczas gdy ona, jeszcze jako uczennica, prenumerowała dodatek naukowy *Timesa*, i oczywiście była to wiedza i pasja, którymi z nikim nie mogła się podzielić

przez gruby mur, sanitarny kordon niechętnego szacunku kobiet

oraz przez pierścień obławy, którym ją otoczyli mężczyźni, dość inteligentni, by stać się partnerami do rozmowy, którzy jednak już po kilku spotkaniach woleli stawać się samcami; w dzieciństwie miała Kaję, foksterierkę — i pamięta te natrętne molestacje na spacerach, psy z całego podwórka, jak koledzy z całego uniwersytetu, instytutu, zespołu: ich słowa, gesty, uśmiechy, podrygujące zadki, wyzieraające z sierści czerwone penisy.

Pierwszym człowiekiem był Andrzej, i świat bez niego stał się bezładny, a drugim Anna — młodsza siostra, której nigdy nie miała? córka, której nie zdążyła urodzić Andrzejowi? Człowiek jakże odmienny od niej, a przecież tego samego intelektualnego formatu, bez reszty dzielający jej pasję, i — mimo całej różnicy przyczyn — także los. *20 kwietnia. Spytałam Annę, czy nie chciałaby się uczyć. Zdziwiła się, że istnieje taka możliwość. Z wyraźną dumą powiedziała, że chodziła do liceum, czemu nie od razu dałam wiarę. „Mnie nauka przychodzi łatwo — pochwaliła się — wystarczy, że raz coś przeczytam, i na ogół już rozumiem. Inni muszą się*

uczyć na pamięć i to im zajmuje dużo czasu, a ja zauważyłam, że jeśli rozumiem, to zapamiętuję automatycznie”. Taki mi dała krótki wykład z mnemotechniki oraz psychologii uczenia się. Być może wystaram się o przyjęcie jej do któregoś z katolickich liceów, jeśli dyrekcja zgodzi się w jej wypadku na tryb eksternistyczny. 24 kwietnia. Anna wyznała mi, skąd wzięła się ta rana na nodze. Nie umiała zapisać rozmowy, zapiąć w gorset dialogowych kresek i akapitów — po co, skoro i tak do końca życia pamiętać będzie każde słowo wypowiedziane wtedy w jej pokoju; Anna, która miała zwyczaj pracować do późnego wieczoru, na te godziny zostawiając mycie korytarzy i schodów, zobaczyła w szparze pod drzwiami palące się światło — i zapukała.

— Pani... matka przełożona — poprawiła się — też, widzę, pracuje do późna. Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać.

Miała na biurku sterty rachunków, to wszystko należało wpisać do księgi, bo dźwigać krzyż Chrystusa, dumnie brzmi, lecz w jej wypadku oznacza na co dzień żmudną papierkową robotę, zamówienia, sprawozdania, pokwitowania; obok, od miesięcy odłożone na drugi plan, książki — *Homo electronicus*, wiersze Eliota, Tatarkiewicza *Dzieje pięciu pojęć*.

— Powinnaś kłaść się wcześniej spać — uznała za właściwe pouczyć. — Wstajesz codziennie o piątej, sześć godzin snu to za mało.

— Schody lepiej myć na wieczór — nie zgodziła się. — Przez noc wyschną i nikt się nie poślizgnie.

Lecz było oczywiste, że nie w tej sprawie przyszła, i czy w ogóle w jakiejś jasno określonej? Poczęstowała ją herbatą.

— Wiem, że nie możesz wytrzymać bez papierosa. Strącaj popiół do tego kufła. — Podsunęła reklamowy kufel Heinekena, który nie wiedzieć jakim cudem zaplątał się do tego pokoju, gdy przejmowała zwierzchnictwo nad zakładem, już był, choć chyba nikt nigdy nie pił tutaj piwa.

Anna wodziła po wnętrzu niespokojnym spojrzeniem, jak gdyby szukała jakiegoś ważnego, pilnie potrzebnego przedmiotu — ukrytego za kopią *Złożenia do grobu*? Może w wykuszu wysokich okien z witrażami? Albo wetkniętego pomiędzy książki?

— Żal mi tych ludzi — powiedziała nagle, i Aurelii przypomniało się, że już wcześniej, pierwszego dnia, to samo powiedział jej wzrok,

gdy zobaczyła na korytarzu Słonika, pana Leona, Kasię i innych; zmrużyła oczy i zrobiła grymas, który — wobec mimicznego ubóstwa jej twarzy — można było również wziąć za obrzydzenie.

— Tak, ja wiem, oni nie zdają sobie sprawy, jacy są, i dlatego tak bardzo nie cierpią, ale mnie ich żal — powtórzyła, a do Aurelii dotarło, że to oczywiste uczucie, tak ludzkie, że aż banalne, wyraża osoba, która z uczuciami ludzkimi miała dotąd nie więcej wspólnego niż daltonista ze światem barw, i zrozumiała, że Anna przyszła do niej, żeby opowiedzieć o nowym, dziwnym doznaniu, dźwięku strun, których istnienia w sobie, w człowieku — ani się domyślała; myśla podłogę, a ta muzyka grała w niej coraz głośniej, i w długim, ciemnym tunelu korytarza nagle pojawiło się światło

półkolem wychodzące spod progu drzwi, więc odłożyła ścierki do wiadra, wstała z klęczek — i poszła zapukać tam, do matki Aurelii.

Jadąc tutaj, sama, w skrajnie niehigienicznych warunkach, za pomocą kawałka szkła usunęła tatuaż, który, wedle jej przekonania, miał potwierdzać związek z szatanem. Przyznała się, że była satanistką, i zapewniała, że teraz chce się zmienić. Tak, jak gdyby to chodziło o jakąś pospolitą przywiarę, którą wyplenić można w drodze pracy nad sobą. Doprawdy, tkwią w tym niezamierzone pierwiastki groteski i czarnego humoru, i nie wiem, jakiego rodzaju pracę nad sobą powinna podjąć.

30 kwietnia. Po rannej mszy Anna prosi mnie o Pismo Święte i pyta — przytaczam dosłownie — „na której stronie to jest opisane?”. I wskazuje przy tym na obraz przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, który wisi w refektarzu. Podział na Stary i Nowy Testament to dla Anny abstrakcja, więc sama wskazałam jej fragment u Mateusza. Szybko przebiegła wzrokiem wersy, po czym dostała histerycznego ataku. Z nieskładnie wypowiedzianych słów zrozumiałam, że w przeddzień popełnienia zbrodni jadła kolację w domu tego chłopca, przy jednym stole z jego matką i siostrą. Płacząc trawestuje zdanie odnoszące się do Judasza Iskarioty — „byłoby dla mnie lepiej, gdybym się nie narodziła”.

4 maja. Pani dyrektor szkoły uważa Annę za wyjątkowo zdolną i widzi możliwość przeprowadzenia z końcem wakacji egzaminu z materiału dwóch pierwszych klas. Tym sposobem, gdyby oczywiście zdała, nadrobiłaby stracone lata i o czasie przystąpiła do matury.

6 czerwca. Kapelan więzienny odesłał mi list, który Anna napisała do niego, prosząc o odczytanie podczas nabożeństwa. Rozumiem, że nie mógł tego uczynić. Po pierwsze, ze względu na wielokrotne przywoływanie odrażających i obscenicznych zdarzeń z więziennego życia, po drugie zaś — z powodu samej poetyki. Sugestywnie przedstawionej wizji kary wiecznej, którą zaczerpnęła z prymitywnych filmowych horrorów, a także, niestety, z doświadczenia własnych okrutnych praktyk. „Będziecie jako te szczury, które z Górką torturowaliśmy nad palnikiem! Przypomnijcie sobie ich ciała, stwardniałe z bólu na kamień, i ten pisk, bo taki sam wydadzą z siebie wasze gardła!”. A na koniec: „To wszystko mówię wam ja, najgorsza z was, którą nazywałyście Żanetą, i wiem, co mówię, albowiem, choć otoczona przez samych dobrych, przyjaznych ludzi — za życia już jestem w piekle”.

18 lipca. Przygotowuję Annę z biologii, chemii i angielskiego. Jestem zaskoczona łatwością, z jaką przyswaja na-

wet najtrudniejsze zagadnienia. A także jej ciekawością, bo co chwila zadaje mi pytania daleko wybiegające poza to, co zawiera podręcznik licealny. I tak na przykład zeszło się nam na teorię uporządkowania i chaosu, słuchała w jakimś dziwnym, jakby spalającym ją od wewnątrz skupieniu, a potem powiedziała, że przypadek zachodzić może, według niej, wyłącznie w grach liczbowych, w budowie atomu zaś, a zwłaszcza żywej komórki widać wyraźny plan. Nie mogła oczywiście wiedzieć, że powtarza słynne słowa Einsteina.

29 lipca. Czy zamiarem Boga było ulżyć mi w mojej samotności? Czy przeciwnie, doświadczyć bolesnym zawodem — gdyby miało się okazać, że ona jedynie mną manipuluje?

6 sierpnia. Anna nie wie, czy została ochrzczona, nie przypomina sobie, czy przystępowała do Pierwszej Komunii. Podobno matka kazała chodzić na religię, ale do kościoła było daleko, więc jej się nie chciało. Dziś uczestniczy we mszy, czyta Ewangelię, ale jej świeżej dąży wiara — jeśli to już jest wiara? — zatracą się w jakichś zdumiewających fantazjach. Jedynie człowiek całkowicie odcięty od korzeni chrześcijańskich może z taką swobodą wplatać Pismo do swoich prywatnych mitów. O podobnym zjawisku często opowiadają księża misjonarze.

11 sierpnia. Po miesiącu nauki niemal od podstaw Anna czyta po angielsku Davida Coperfielda.

20 sierpnia. Anna zdała egzamin ze wszystkich przedmiotów poza językiem polskim; polonistkę, urodzoną hen przed wojną we dworze pod Nowogródkiem i absolwentkę Uniwersytetu Wileńskiego, razi jej plebejski sposób mówienia i agramatyzmy. Pani dyrektor jest jednak po stronie Anny i wyznaczyła powtórny termin za tydzień.

22 sierpnia. Sumienie zadaje Annie z każdym dniem gorszy ból. Czy, gdybym wyciągnęła do niej dłoń, starając się przynieść ulgę — sprzeciwiłabym się tym samym Bogu? Czy jestem w prawie wyciszać w niej Jego głos, nawet zadający tak wielkie cierpienie?

27 sierpnia. Z poprawkowego egzaminu pisemnego z polskiego dostała czwórkę. Na obniżenie oceny miały wpływ błędy stylistyczne, merytorycznie natomiast, co przyznaje sama nauczycielka, praca jest na dobrym poziomie i zawiera ciekawe myśli. Czerwony długopis staruszki polonistki zakreślił następujący fragment: „Lady Makbet znalazła w nim współnika już kiedy się żenili. Bo urodzeni zbrodniarze ciągną do siebie, a czynienie zła zastępuje im miłość”.

28 sierpnia. Anna nadal nie śpi po nocach. Pomyślnie zdany egzamin nie poprawił jej samopoczucia. Dziś rozmowa o samobójstwie i przerażający pomysł Anny, jak samobójca może oszukać Boga i włączyć Go do swojej gry.

29 sierpnia. Za zdanie egzaminów dostała ode mnie zegarek. Powiedziałam, że odtąd ma wiedzieć, która godzina i o której należy kłaść się spać. Przede wszystkim szkodzi jej bezsenność i ten problem należy rozwiązać w pierwszej kolejności. Z jedzeniem jest trochę lepiej, choć oczywiście przy tak ciężkiej pracy, jaką wykonuje, powinna jeść więcej. Wygląda blado i mizernie. I nadal mnóstwo pali.

5 września. Jaki los czeka tę dziewczynę? Nie wątpię, że przy swojej inteligencji i zdolnościach skończy szkołę, być może podejmie studia — i co dalej? Jeśli kiedykolwiek odejdzie stąd — to gdzie? I w jakim celu? By zostać czyjąś żoną, matką? Nie wiem, i na razie proszę jedynie Boga, by nie pozwolił jej wrócić do zła.

8 września. Anna rzuciła się pod pociąg.

Odruchowo zamknęła dziennik, choć śmieszne jest cienką okładką zeszytu zasłaniać się przed pamięcią; 8 września rano stwierdziła nieobecność Anny — była jeszcze na mszy o szóstej, a potem nikt jej nie widział. Nie miała wątpliwości, że to ucieczka, i czuła w sercu ból,

który jest dziedzictwem pokoleń oraz doświadczeniem milionów, a mimo to wciąż zagarnia nowych i nowych

wodzów, kochanków, apostołów, aby odradzać się w ich jednostkowym przeżyciu upokorzenia, zdrady, wydrwienia idei.

Odkładała moment, gdy zgodnie z obietnicą daną komendantowi posterunku będzie musiała powiadomić policję

i — uruchomić obławę na człowieka,

który za uczucie odpłacił prostacką nielojalnością; coś prymitywnego, zwierzęcego było w ucieczce Anny,

tej domniemanej,

lecz również — w rzeczywistości, gdy nie mogąc znieść bólu, torturowany szczur, wyrwał się, przepadł w ciemnościach,

i po raz pierwszy widziała twarz Anny bez tej bruzdy boleśnie wyżłobionej ponad kącikiem ust i frasobliwego sfałdowania nad brwiami, twarz bielszą niż bandaże i poduszka, i tak łagodną jak wzniesienia krzywej na monitorze.

— Nie odchodź! — prosiła. — Tak wiele jeszcze chciałam ci opowiedzieć. O Wszechświecie, w którym od galaktyk po najdrobniejszą komórkę jest Bóg, i o chwili, w której ta prawda do mnie dotarła, pokonała mnie, potężna fala, leżę na niej, ufnie, i już nie tonę; a choć tak bardzo się różnimy, Anno, Jego miłość jest jedna, więc i jedna jest dla nas droga ocalenia.

Na jej ręce bezwładnej, przebitej igłami kroplówek, widziała zegarek, swój prezent, który odmierzał czas, ich czas w sali OIOM-u prowincjonalnego szpitala. Chciała, by Annę przewieziono do kliniki Akademii Medycznej, gdzie znając większość profesorów, zapewniłaby jej najlepszą w kraju opiekę, ale ordynator słusznie uznał, że dziewczyna nie przeżyłaby transportu.

Odchodziła od jej łóżka tylko do szpitalnej kaplicy; modliła się o życie tej, która — to przysięgła sobie, Annie, Bogu — jest odtąd jej córką, i taki akt duchowej adopcji, ryzykowny, zważywszy, kogo dotyczył, miał być czymś na kształt błagalnej ofiary,

którą Bóg przyjął, wysłuchał modlitw, i jak niekiedy nauczyciel nie wystawiając oceny zwraca uczniowi wypracowanie do poprawy, tak i On zwrócił życie, zamiast rzucić w ogień jak zielsko. Anna odzyskała przytomność 11 września.

— Urodziłam się 11 września — powiedziała; bo umysł pod grubą warstwą bandażu od razu pracował sprawnie, „trzy dni byłaś nieprzytomna, Anno”, więc szybko dodała trzy dni do daty, którą dobrze zapamiętała, skoro miała być datą jej śmierci. W połowie listopada opuściła szpital.

— Witaj w domu — powiedziała nowa matka dziewczyny, której matka prawdziwa nie zareagowała w ogóle na telegram,

choć Aurelia podała adres, numer telefonu i prosiła o pilny kontakt z zakonnym domem opieki w Złotogórzcu, lub — tu także adres i telefon — ze szpitalem miejskim, gdzie córka po ciężkim wypadku leży na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej, i — żeby wszystko było dla tej prostej kobiety jasne — dodała, że stan jest krytyczny.

— Na pewno nie była ideałem matki — oceniła Anna z chłodną rozważą. — Ale na swoją miarę, na miarę biednego, skrzywdzonego przez los człowieka, kochała mnie, tak sądzę. — I dodała: — Może kiedyś, za kilka lat, spróbuję prosić o wybaczenie. Teraz byłoby to i bezcelowe, i okrutne.

Lecz nie wszystko, co mówiła, cechował podobny realizm; to właśnie wtedy powstawać zaczęła konstrukcja myśli, fantazji, mitów — mur, którym odgradzała się od Aurelii; te kartki zapisane jej infantylnym charakterem, zamknięte w jednej szufladzie z dziennikiem — do nich nie wracała nigdy,

po jedynej lekturze, gdy Anna położyła rękopis na biurku; była wiosna, prawie dwa lata od wypadku, przygotowywała ją do egzaminów wstępnych.

— Czy mogłaby matka rzucić okiem?

Przeczytała przy niej, a potem bez słowa schowała do szuflady, i Anna zrozumiała, że nigdy nie uzyska aprobaty dla

myśli, które przelewała na papier, przesiadując w ogrodzie ze swymi podopiecznymi; Słonik był głęboko upośledzony, oligofrenia na tle zespołu Downa, natomiast mężczyzna zwany panem Leonem z punktu widzenia medycyny stanowił zagadkę. Miał blisko dwa metry wzrostu,

z czego niemal połowę stanowiła głowa, długa, jak rozciągnięty cień jajka, i on cały był niby deformujący rzut, własne odbicie w krzywym zwierciadle, żywe, chodzące po świetle, w zastępstwie oryginału o normalnych proporcjach ciała, który nigdy się nie narodził. Lekarze twierdzili, że nie dożyje wieku dojrzewania, a tymczasem miał już trzydzieści lat i był ogólnie zdrowy.

— Jestem umysłowo niedorozwinięty — powtarzał w kółko słowa, które gdzieś o sobie zasłyszał, i to samo obwieścił Annie, gdy myła framugę drzwi w jego sali; to było przed 8 września, Aurelia zapamiętała taki obrazek: dziewczyna ze szmatą w ręce, którą zanurza w kubelku wody z proszkiem, a on, zapatrzony to w kubelek, to w ruch jej dłoni, z uporem powtarza swoją prezentację,

aż przerwała, z irytacją wyjęła ścierkę, odłożyła, i nagle — stając na palcach dotknęła jego podbródka, nosa, czoła, tak jakby brała miarę.

— Panie Leonie, w takiej dużej głowie jest mnóstwo miejsca na rozum. Już ja się kiedyś panem zajmę!

Nauczyła go zbierać naklejki od zapalek, karty telefoniczne, czytała mu na głos książki. Pan Leon zachwycił się mową bohaterów Verne'a, którą nazwał, za podpowiedzią Anny, wykwinną, i odtąd wspólnie zgłębiali sztukę wykwinnego wysławiania się, a także manier,

korzystając z podręcznika *savoir-vivre'u* Kamyczka, co również dla niej samej było z pożytkiem.

— Jak mam iść na uniwersytet, to muszę mieć trochę oglądy — powiedziała rzeczowo.

Wtedy jeszcze obie myślały o biologii; zamiar Anny, żeby zdawać na medycynę, zaskoczył Aurelię,

a zwłaszcza towarzyszący mu problem etyczny, który dziewczyna sama dostrzegła i precyzyjnie wyraziła.

— Czy ktoś, kto odebrał życie, ma prawo życie ratować? Czasem myślę, że nie, a czasem, że ma nie tylko prawo, ale i szczególny obowiązek.

Aurelia, jak student na egzaminie testowym, zakreśliła drugą odpowiedź, czy prawidłową? Ale ukryła moment wahania, za to Anna miesiąc później zakreśliła wyłącznie prawidłowe odpowiedzi — i została przyjęta na Akademię Medyczną.

— Może powinnaś napisać do mamy. Byłaby z ciebie dumna.

Ale przyszła lekarka pokręciła przecząco głową.

— Jeszcze nie czas. A poza tym, co tu mają do rzeczy moje studia?

Tego Aurelia nie rozumie, boi się, lęk podsuwa najgorszą możliwość — dlaczego dziewczyna, która jakże często ma słuszość, coraz częściej, w sprawach trudnych, również kiedy mówi o swojej matce, dlaczego

ta sama dziewczyna pisze o sobie coś, co jest zacytnem, a zarazem nie zamierzoną parodią świętej księgi, pisze tak: *Gdy siły Światła i Ciemności walczą o władzę nad człowiekiem, jest nim Anna. Gdy wydzierają sobie świat, ona jest światem. Anna z dzielnicy slumsów, córka nie znanego ojca, urodzona dla potęg Dobra i Zła i między obie podzielona. Kurwa, złodziejka, narkomanka pod imieniem Żaneta służąca Panu Ciemności, który sprawił, że gdy zadawała ból, odczuwała rozkosz, jak oblubienica. A więc, zamiast rodzić, zabijała, zamiast dawać życie, odebrała życie. I musiał w mękach zginąć Syn Człowieczy, który został do niej posłany. A ona nie poznała Go, niczym Judasz spożyła z nim wieczerzę, po czym wydała na śmierć. Przykuty do belki, jak do ramion krzyża, patrzył gasnącymi oczami na tę, któ-*

raę umiłował, a ona odplaciła mu bólem Golgoty. I wzrok Jego mówił: wybacź jej, albowiem nie wie, co czyni, i dalej, dalej, na kilkanaście stron w takiej samej poetyce, o śmierci i zmartwychwstaniu po trzech dniach, gdyż Żaneta umarła, a dziewczyna, która przysła na świat 11 września, była ożywiona duchem Olka, i oboje powstałi do nowego życia, połączeni węzłem spirytualnych zaślubin; był z nią,

gdy zdawała maturę i egzaminy wstępne na uczelnię, towarzyszył jej, tak jak innym dziewczynom ich chłopcy, trzymał za rękę, gdy asystent wychylał się z sali, prosząc następnego, przytulił, kiedy na drzwiach wywieszono wyniki.

— A potem poszliśmy na spacer do parku, Olek obejmował mnie, a ja przytuliłam policzek do jego ramienia, i tak szliśmy piękną, pustą aleją, przy której rosły klony i kasztanowce, a ich cień leżał pod naszymi stopami jak klawiatura fortepianu.

17 lipca. To nas łączy: uświęcona pamięć o naszych zmarłych, chociaż w tak różny sposób odeszli. Sensem życia Anny jest ekspiacja. Mogę patrzeć na to, albo z wyżyn niewinności, wszak porównanie z Anną zdaje się obracać wniwecz każdą moją winę, lub przeciwnie, na własną miarę uczyć się od niej sztuki przewycięzania w sobie zła. (...) Może naprawdę ten bestialsko zamordowany chłopiec nie umarł cały i jakaś jego częśćka żyje w Annie, przyczyniając się do jej moralnego odrodzenia?

4 sierpnia. Psychiatra Kozerski uważa, że Anna nie jest psychicznie chora. Ale nie czytał przecież jej zapisków, przy nim nie zdradziła się z pokrewnym urojeniom wielkościowym przekonaniem, że w pewnym sensie jest osobę wybraną.

5 sierpnia. Czyż właściwie jest obłąd? Spaczeniem umyśtu tylko czy, jak mówi wyrażenie potoczne, chorobą duszy? Jeśli więc nieśmiertelnego pierwiastka istoty ludzkiej dotyczyć może choroba, jakże odbywa się Sąd? Protestanci znajdują na to od powiedź w doktrynie predestynacji, tak organicznie obcej

moim soteriologicznym wyobrażeniom. „Nazywam się Legion, albowiem jest nas wielu „ — powiada głosami złych duchów ewangeliczny oblakany, a wtedy Chrystus każe demonom opuścić jego ciało i wstąpić w wieprze. A zatem ozdrowienie pozostaje sprawą Łaski; modłę się o Nią dla Anny. Przerwała czytanie, usłyszawszy turkot samochodu po wyboistej drodze, a gdy podeszła do okna, mrok podwórza rozbieliły światła taksówki, którą przyjechał ten, na kogo czekała, bo już wczoraj umawiał się telefonicznie; to był powód, jego zapowiedziana wizyta, że sięgnęła po latach do starych zapisków, już jest, idzie po schodach, więc Aurelia musi zamknąć w szufladzie swój dziennik i nedorzeczny utwór Anny, zawsze leżały tam razem i w jednej szufladzie pozostaną, a ten przybysz jest obcy.

Znał tę kobietę. Anka mówiła o niej „matka Aurelia”. Z naciskiem na słowo „matka”. I wtedy nieodmiennie w jej głosie pojawiała się uroczysta nuta — kult matki, matriarchat,

rzeczy o których, wychowany w kulturze komputera, miał bardzo słabe wyobrażenie; kiedyś przeczytał, że cała cześć oddawana Matce Jezusa to nic innego jak dawna pogańska adoracja ziemi i przyrody, powtórzył w jakiejś dyskusji, czuł się mądry.

Znał tę kobietę. Wiedział, że była kiedyś wybitnym cytologiem, lecz pod wpływem nieszczęścia wstąpiła do klasztoru, i tak właśnie wyglądają te, które pod wpływem nieszczęścia tam wstąpiły: twarz ściągnięta, wąskie, ściśnięte usta, wzrok nieprzyjazny wszelkim przejawom radości. A jeszcze ta jej wyniosłość, w genach to ma, po księżętach Woronickich i grafach von Spee.

Wysoka, chuda sylwetka w szarym habicie; ostre, klasyczne rysy Rzymianki. Na swoim ślubie kątem oka wyłowił jej zamyślenie, złowróżbne, mądre zasępienie się wieszczki; później podeszła, gdy stali w sieni kościoła, bo na dworze rozpadało się i tam przyjmowali życzenia. Zapamiętał krótki, męski uścisk

dłoni z długimi palcami, pięknej jak u pianistki, twardej jak u robotnicy. Na Ankę patrzyła, on był tylko kimś stojącym obok, i miał wrażenie, że jego żona nie wytrzymała siły tego wzroku i spuściła oczy; mała dziewczynka, nie wiedział czemu, skarcona. A potem — podmuch, gdy otworzyły się ciężkie drzwi i zakonnica wyszła prosto w zrywającą się burzę.

A ostatnio stała się sławna; widział z nią telewizyjne wywiady. Jej dom opieki w Złotogórze przedstawiał się teraz głównie na pomoc chorym na Alzheimera.

— Dzień dobry, matko Aurelio — powiedział nieśmiało, bo i ona, i surowy wystrój gabinetu, a przede wszystkim jego sytuacja odbierały pewność siebie.

Księżna pani lekko skinęła mu głową, chciał podejść, pocałować w dłoń, ale wykonała władczy gest „niech usiądzie”, więc nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami, i było trochę tak, jakby jego ręce kurczowo ścisnęły fornalską czapkę; usiadł na twardym krześle przy prostej ławie z deski i dwóch bali.

— Czy mogę poczęstować pana herbatą? — spytała, a on odmówił.

Mimo to nastawiła czajnik na elektrycznej kuchence, która cały czas była włączona, żeby dogrzewać wielkie, zimne pomieszczenie; chyba godziłoby się nazwać je komnatą, pomyślał. A w tej komnacie na pewno często rozmawiały ze sobą: arystokratka, naukowiec, kobieta prawie święta z wypuszczoną z więzienia dziwką, prymitywną psychopatką, sadystką — o czym? Jeżeli Anka stała się człowiekiem, jego dziewczyną, żoną, to cud metamorfozy musiał dokonać się właśnie tutaj, przy tym samym stole, przy którym teraz siedzi

i pytając patrzy na surową przeoryszkę; pewnie wyjaśni mu, że to Chrystus — spojrzal na wiszący nad jej głową krucyfiks — i skłamię, bo to jest tylko figurka odlana z brązu,

a realnie panuje tu i oddziałuje duch tej kobiety; powie: łaska, a on na to: nieprawda, to ty! — i nie wyjdzie stąd dopóty, dopóki nie wyjawi mu, jak tego dokonała.

— Przeglądając archiwalne akta natknąłem się na proces karny przeciwko mojej żonie — odezwał się nagle, bo tak to musiało zabrzmieć po długim milczeniu, którego Aurelia nie przerywała, nie zagajała rozmowy, przyrządzała sobie barwę.

Odstawiła czajnik, ale zaraz jej dłonie odzyskały zgubiony rytm: wzięła go z powrotem i zalała esencję z mlekiem. Z dużym glinianym kubkiem, ręcznie malowanym w czerwone maki, podeszła do stołu; usiadła naprzeciwko Milewskiego.

— Ostrzegałam Annę, że pan dowie się prędzej lub później. Radziłam, żeby sama powiedziała o swojej przeszłości, ale — zabrakło jej odwagi.

Przymknęła powieki, sprawiała wrażenie zmęczonej.

— Tego oczywiście nie można sprowadzać do samej życiowej taktyki i proszę nie rozumieć w taki sposób sensu mojej rady. — Teraz spojrzała mu prosto w twarz; zobaczył, że ma zjawiskowo piękne oczy, koloru morskiej wody, więc nagle wrócił Bałtyk i to nadbrzeże sprzed zaledwie kilkunastu godzin. — Anna, ukrywając przed panem te fakty, postąpiła wyjątkowo nieuczciwie. Powiedziałam wprost, że nie zamierzam być współniczką w tej niegodziwości, i odtąd, zauważył pan pewnie, spotykamy się tylko przy okazji świąt.

W nagłym porywie zaczął bronić żony.

— Kochała mnie! — Niech ta nadęta maska, ta cholerna Pallas Atena wie, że poza murami jej klasztoru i etyki istnieje czasem miłość. — Czy matka nie rozumie, przed jakim stanęła wyborem?

To było zimne, nieprzyjazne, listopadowe morze — w jej oczach.

— Nie pojmuję, czemu Anna obdarzyła uczuciem kogoś tak przeciętnego jak pan.

Powiedziała to bardzo cicho, więc pomyślał, że się prześluszał. Ale treść słów potwierdzał wzrok matki Aurelii.

— To wszystko, czym mogę służyć. Żegnaj pana.

A gdy zaskoczony wstał i wyszedł, spojrzała odruchowo na biurko, na szufladę, gdzie spoczywała tajemnica, do której nikt inny nie mógł mieć dostępu; stare zapiski, lekko przerwane, zarzucone

w tym dniu, kiedy — pierwszy i jedyne raz — Anna śniła jej się jako kochanka.

— Jeździła na grób pani brata?

— Nie wiedział pan? Co roku na Wszystkich Świętych i w rocznicę śmierci. Panu oczywiście mówiła, że ma w tym czasie dyżur.

— Nie będzie już więcej kłamać. — Siła przekonania w głosie Janka, ton triumfu załamywały się w końcowym wybrzmieniu, przechodząc w smętną bezdźwięczność.

Uklęka przed niską półką z tym pudłem, złomem, rzeczą od dawna popsutą, i dlaczego akurat dzisiaj to ożyło, przemówiło? Janek zamiast dzwonić, użył CB, kręciła gałkami, szarpała suwaki, naciskała klawisze — ale nie miało to wpływu na ich głosy.

— A ja wam mówię, że ta kurwa się nie posłucha. Co jej teraz zależy na przebaczeniu? Ma pół mieszkania, w sądzie zażąda jeszcze więcej...

Zawsze miała chrypę, ale nie aż taką; i chyba jest pijana jej matka.

— Przekonamy się, pani Jadwigo. — Marta jest cierpliwą, cierpiętniczą, tak wyuczona bólu, że niesłyszalny w łagodnym głosie. — W ostateczności możemy zawsze pójść na policję. Zbrodnia zgwałcenia nie przedawnia się po jedenastu latach.

— Nic nie rozumiecie! — krzyknął Janek — Naszym obowiązkiem jest dać jej szansę. Anka, mówię do ciebie!

— Słucham — powiedziała cicho.

— Czy potrafisz dowieść, że naprawdę siebie nienawidzisz?

— Dzieciaku, o czym ty mówisz? Ta dziwka czuje się królową, boginią. Wielka pani doktor w trzypokojowym mieszkaniu!

— Udowodnisz? — spytał Janek.

— W jaki sposób? — Zbliżyła usta do radia i oddech zmatowił szybką skalę.

Po tamtej stronie szepty, łowi je, bezskutecznie próbuje dosłyszeć. I dopiero matka powiedziała głośno i wyraźnie:

— Niunia, jeżeli to zrobisz, jak Boga kocham, wybaczę ci, wszystko wybaczę. Ale ty nie jesteś na tyle odważna.

— Mała, tchórzliwa sadystka! Tylko innym, bezbronnym, umie zadawać ból! — Marta przerwała na chwilę, by się uspokoić, wzięła głęboki oddech. — Ale jeśli wykonasz wszystkie polecenia, też ci wybaczę.

A potem Janek przedstawił warunki, na jakich mieli jej przebaczyć; kilka razy słyszała go w sądzie — mówił dokładnie tak samo.

Ta dziewczyna z pierwszego piętra naprawdę ma klasę. Przypomina mu Brigitte Bardot,

w której kochał się trzydzieści lat temu, napisał do niej, dostał odpowiedź i był najszczęśliwszym chłopakiem w całym Hamburgu, póki zawistny Karl Heinz nie uświadomił mu, że BB dostaje najmarniej kilkaset listów dziennie i w związku z tym zatrudnia specjalnych sekretarzy, którzy w jej imieniu odpisują

idiotom, zbrodcom i takim napalonym gówniarzom jak ty — uśmiechnął się złośliwie piegowaty Karl Heinz; i to był pierwszy miłosny zawód, forpoczta przyszłych, nacierających zewsząd nieszczęść oraz utrapień,

mających za swe źródło kilkanaście centymetrów kwadratowych krocza; jego biednego, wciąż głodnego, oraz krocza kobiet gotowych zaspokoić ten głód jedynie za pieniądze,

żony, którym płacił, kochanki, którym płacił

aż rozumiał pewnego dnia, że najtaniej wychodzi płacić po prostu kurwom,

a zwłaszcza tu w Polsce, gdzie za sto dolarów może przez kilka godzin poobracać nastolatki,

blondynki o pospolitych rysach, jakie lubił, kultura bowiem, uduchowanie, rozum, jeśli odzwierciedlą się na twarzy kobiety, są skazą gorszą od owłosienia i chorób cery,

a twarz tej dziewczyny z dołu jest właśnie niczym nie skażona, biologiczna

jak jej ciało, które obserwował idące po schodach, pośladki w obcisłych dżinsach i to wcięcie nad biodrami stworzone, wyrzeźbione dla męskich dłoni, uda, które rozkłada otwierając się

tak jak drzwi swojego mieszkania — i znika za nimi sąsiadka z dołu, bo nie dla niego jest, lecz dla faceta, co wygląda jak koszykarz i rżnie ją bezustannie, nie tylko w nocy, latem, gdy okna są otwarte, o wszelkich porach słyszy spazmowanie tej małej

— i wtedy zaczyna przeglądać ogłoszenia agencji towarzyskich.

A teraz przyszła do niego. Stoi w progu, za nią mrok klatki schodowej, przed nią przytulne światło przedpokoju i pięćdziesięcioletni mężczyzna w szlafroku. Rozpięta bluzka odsłania czarny stanik, oczy pijane albo po prochach.

Doktor Werner Laab, przedstawiciel koncernu Grundiga, uśmiecha się i wykonuje zapraszający gest,

ale sąsiadeczka nie po to przyszła, po co przyszła? Jej niemczyzna jest vortrefflich, a mimo to nic nie rozumie, jakie ogródek? Jakie grządki? No tak, posadził w zeszłym roku w ogrodzie trochę róż, bo lubi kwiaty — i był zaskoczony, gdy wreszcie schwycił sens prośby.

— Ale bardzo proszę o zwrot, to rodzinna pamiątka. Dziadek używał jej nad Mozelą.

Lecz nie tylko dlatego się zawahał; było tak, jak gdyby po-
życzał do innego świata. Próg jego mieszkania stanowił gra-
nicę światów — ona znajdowała się poza nią.

W górze zgniatająca kubatura bólu;
czy zmierzch zakrył sufit, czy na przestrzał
widzi czarne niebo, w którego kamień wbiła się bezgło-
śnym krzykiem.

Wcisnąć się w podłogę, odpłynąć, odpłynąć na wielkiej koły-
szącej się tratwie.

— Zrobiła to! — krzyknęła Marta.

— Dlaczego?

W radiu trzaski, łączność na chwilę się przerywa.

— Dlaczego? — powtórzyła.

— Żebyś poznała, jak to jest, kiedy zabiją ci kogoś bli-
skiego.

— Nie masz nikogo bliskiego, więc to i tak będzie tylko
namiastka.

— Tego nie wolno wam zrobić! — Czołgała się do radia,
próbowała wstać, upadła.

Znowu te trzaski, a może to śmiech.

— Niech się pan zatrzyma.

Taksówkarz spełnił polecenie, lecz był dziwnie nieufny.
Potężny, nieprzyjemnie milczący facet każe mu nagle stawać
gdzieś na pustkowiu. W oddali, na wzgórzu, majaczyły kon-
tury klasztoru albertynek; wieżyczka kaplicy z krzyżem

i krzyże po lewej stronie szosy, cmentarz, to pewnie tu
pochowana jest Żaneta.

Kazał kierowcy czekać i odprowadzany jego podejrzliwym
spojrzeniem, wszedł między groby; zapalniczka, za pomocą

której usiłował rozczytać w ciemności napisy, na nic się zdała — za słabe światło, podmuch gasił płomień, parzyła w palce; wrócił do taksówki w nadziei, że kierowca ma latarkę; miał, ale pożyczając, jeszcze podejrzliwiej mu się przyjrzał.

— Tam leży ktoś z rodziny?

Lecz pasażer nie odpowiedział, oddalił się, i widać było tylko światełko wydobywające z mroku kolejne krzyże, póki nie zatrzymało się nieruchomym żółtym punktem, wilczym okiem — pod czarną ścianą lasu.

Żaneta, nazwisko nieczytelne, a może świadomie tak napisała, żeby nie dało się odczytać, pewnie tak, chciała uniknąć konfliktu z administracją cmentarza, choć o tych grobach chyba wszyscy zapomnieli; dziwne, pomyślał, człowiek umiera i zostaje zakopany gdzieś przy szosie, prawie na wysypisku śmieci, a w takim razie, czy nie wszystko jedno, kim był i czy miał jakieś personalia; i tak samo nikogo nie zainteresowało przez blisko 10 lat, że leży tu dziewczyna bez nazwiska, która zginęła śmiercią tragiczną 8 września 1988; „na śmierć, panie, to już nie ma lekarstwa”, przypomniał sobie nagle słowa wędkarza,

i od mogiły Żanety z wilgotnym, zgniłolistnym powiewem nadciągnęło przecucie niemocy, bezlitosnej jak paraliż, której dozna — stojąc nad prawdziwym grobem Anki.

Taksówkarz zobaczył, że światło zachybotало, po czym zaczęło się zbliżać; mężczyzna wyłonił się z ciemności, zgasił latarkę, i zaraz — z ulgą pomyślał — wsiądzie z powrotem, odjadą stąd, skończy się to jakieś misterium, które cholernie mu się nie podoba; nim przeszedł przez szosę, zatrzymał się jeszcze, przeczekując nadjeżdżający samochód,

nad którym człowiek przestał panować, więc stał się bezwładną bryłą żelaza, za oślepiającymi światłami rozpędzoną w śmiercionośnych zakosach i zygzakach; niemal otarł się o bok jego poloneza, a potem odrzuciło go w prawo; zobaczył, że pasażer zdążył się cofnąć na pobocze, potknął się, upadł,

lecz błyskawicznie podniósł się, przebiegł jezdnię, otworzył drzwi.

— Wracamy! — Ręką nerwowo pokazał w tył, w perspektywę zamykającą się wzniesieniem, skąd przyjechali, i gdzie poleciał na złamanie karku ten pieprzony wariat — Chyba pijany. Widział pan coś podobnego? — Tak sówkarzowi jeszcze trzęsą się łapy.

— Wracamy! — powtórzył Milewski ostro.

Uskakując spod kół, zdążył bowiem dostrzec twarz kierowcy; cinquecento prowadziła Anka,

widząc przed sobą tylko rozmazane bryły i plamy, z których intuicyjnie odgadywała, czym są, gdy jechała wprost na nie 140 na godzinę,

o czym nie wiedziała, tak jak nie wiedziała, że nie panuje nad kierownicą,

i tylko dlatego, że знаła tę drogę na pamięć, dotarła aż tu, minęła Janka, taksówkę, w ogóle nie widząc, nic już nie widząc, poza wzniesieniem, które było ostatnim odcinkiem — i ostatnią szansą;

jeszcze kilka sekund dojazdową aleją do klasztoru, podrzuciło na kamieniach, na koleinach,

a potem cinquecento staranował bramę — i z wyłamanym skrzydłem na masce stanął na dziedzińcu,

z którego łoskot, nagły, tuż pod oknami wyrwał Aurelię z odrętwienia; po wyjściu tego człowieka siedziała bez ruchu, z kubkiem w maki ściśniętym mocno w dłoniach; jejmu nie wolno było, czego nie wolno — nie potrafiła nazwać, i w ciemność za szyby rzucała kaleki, bezsensowny zakaz

trwania czegoś, co jest daleko, poza zasięgiem, w jądrze nocy — i sprawia, że dziś nie ma tutaj Anny; jej miłość, jej nowa, wielka wina,

Aurelia przymknęła powieki, lecz nie pod ich małym niebem ten huk, szcęk metalu, jakieś szkło się rozprysło. Nim

podeszła do okna, usłyszała, że Anka ją woła; stoi w światłach swojego samochodu jak na scenie, a on, tworząc jedną bryłę z odłamkiem bramy, wydaje się scenografią jakiegoś dziwnego spektaklu.

— Matko Aurelio!

Miała wrażenie, że dalej słyszy jej wołanie przez grubą, bez okien, ścianę korytarza, którym biegła do schodów,

a Anna była już na dole w sieni, siostra Hortensja jej otworzyła; cicha chłopka z Poznańskiego, która poznała głos, lecz nie mogła poznać Anny, więc cofnęła się

przed budzącą grozę obcością, a dłoń zawisa bezradnie po „w imię Ojca”, i jakby zapomniała, co dalej, czym jeszcze imieniem można zakłąć dzieło się, by wróciło w zwykły nurt, który dotąd płynął obok Hortensji.

Anna jedną rękę trzymała pod czarnym płaszczem, a drugą wczepiła się w habit, prawie ściągając Aurelię z ostatnich stopni.

— Niech matka dzwoni na policję! Oni zaraz tu będą!

Dwie twarze — Hortensji i Anny — jakże różne, pomyślała na marginesie strachu, który płynął do niej przez dotyk, kurczowy chwyt dłoni,

bo twarz każdego człowieka wychyla się z innego świata, z innej kryjówki.

— Chodź do mojego pokoju! — Użyła tonu, którym niegdyś rozkazywała Annie. — Hortensjo, zamknij drzwi.

— Zamknij na sztabę! Czekaj, pomogę ci! — Grubej stalowej sztaby, trzysta lat broniącej tego domu przed rabusiami i żołdactwem kolejnych wojen, nikt już od dawien dawna nie używał; rdzą pokryta, stawiała opór, gdy Anna — jedną ręką — próbowała wsunąć ją w obejmę.

— Obudźcie siostry! Hortensjo, gdzie jest dozorca?

Nie trzeba było budzić; rósł i rósł szary krąg zakonnic w sieni,

lecz Anna nie widzi Felicji, Justyny, Honoraty, nie dostrzega zdumionych spojrzeń Marcjanny, Faustyny, Bernardety, i innych, z którymi przez siedem lat mieszkała pod jednym dachem, jadła przy wspólnym stole, modliła się w kaplicy.

— Anno, proszę cię, chodźmy na górę!

Z tych kobiet żadna nie wie, skąd przyszła mała posługaczka, i dzisiaj imponuje im, że jest panią doktor; po co burzyć w prostych umysłach taki obraz? ale — Anna nie chce stąd iść, zмага się ze sztabą.

— Mój mąż, Marta Błaszak i moja matka...

Przerwała, zasłuchiwała się w szum silnika za drzwiami; Milewski rzucił na deskę rozdzielczą sto złotych, a kierowca nie zrozumiał, czy to już koniec — oby koniec! — kursu, czy ma czekać na pasażera i uczestniczyć dalej, dalej w noc, w tym czymś, niesamowitym, kalekim jak cinquecento obok, wrak przywalony żelastwem, bez przedniej szyby, wgnieciona maska — doigrał się wariat, a tamten drugi nie lepszy, wyskoczył, dzwoni jak na alarm, szarpie drzwi,

w których drzenie, klekot rygła o klemę, Anka patrzy, słucha, wątył zamek za chwilę puści.

— Otwórz, Hortensjo — nakazała matka przełożona,

a w tym samym momencie zobaczyła to, do czego zabraniała zbliżyć się wyobraźni: naprzeciw struchlałych zakonnic stała dziewczyna, która zaraz zada cios w krtań, wybije oczy, nogi Anny ugięte w kolanach naprężają się, gdy ze zwierzęcą zwinnością przerzuca ciężar ciała z jednej na drugą, szybko, naprzemiennie, rytmicznie, w rytualnym tańcu walki,

i nagle, jak w popisie sztukmistrza, w jej dłoni pojawia się przedmiot, tnąca stal na drewnianym trzonku, tasak? siekierka? Poznała — to właśnie tym, takim narzędziem Anna zabiła.

Hortensja krzyknęła ze strachu, a równocześnie Milewski uderzeniem barku otworzył drzwi. I razem z nim wtargnęły do sieni głosy.

- Są na górze, w sypialniach!
- Marto, proszę cię!
- W pierwszej na lewo śpi ten Słonik, od niego zacznij!
- Janku, nie słuchaj! Oddaj mi broń!

Za plecami olbrzyma zakonnice poczuły się pewniej; strach ustępował zaciekawieniu.

— Oddaj mi pistolet — powtórzyła i Aurelię uderzył kontrast jej szaleństwa z łagodnością głosu.

— Możesz dużo prosić, kurwo! Pan prokurator jak psów wystrzela tych twoich debili!

— Mamo, wiem, że mnie nienawidzisz, ale co oni są winni? Janku, posłuchaj, ja przyjmę każdą karę, zrobię wszystko, czego zażądacie, ale na Chrystusa zaklinam cię, nie rób im krzywdy!

Uklękała zagradzając mu drogę do schodów.

— A ty oszczędziłabyś Olka, gdybym uklękała przed tobą? — spytały jego buty.

— Już to widzę, tylko by się śmiała, kurwa jedna! — odrzekła dłoń, którą do niej wyciągnął; wszędzie, wszędzie ma te odbiorniki, te strzykawki z głosem; tysiąc dziobów, co przebiły powłoki Ptakona.

— Aniu, ty jesteś chora! — odważyła się powiedzieć Hortensja.

Lecz odwaga nagle się cofnęła, wtłoczona z powrotem w gardło, i cofnęły się wszystkie zakonnice, bo Anka wyjęła spod płaszcza rękę.

— Zobacz, zrobiłam, co mi kazaliście...

Uniosła, by zademonstrować — dłoń i nadgarstek zniekształcone rozziwem przecięć, martwe jak rękawiczka.

— Posłuchaj: amputuję tu, do łokcia — potem oddasz mi pistolet i odjedziesz. Przyjmujesz układ?

Była szybsza, nie zdążył jej wyrwać saperki.

I w ciemności halucynacje ustały.

Szedł,

wdychając zapach nie nazwany imieniem brzozy, sosny,
paproci,

mchu, bo takich nazw nie mógł dać woniom miesz-
czuch. Szedł,

myśląc o narodzinach tych wszystkich roślin; od najwyż-
szego drzewa

po zapyziałą trawkę, każde wzrosło tam,

gdzie wiatr miał kaprys powierzyć ziemi jego zarodek,

więc olszyna, którą minął, tak samo powstała przypad-
kiem

jak on, Stefan Kozerski. Ktoś wszczepił w niego

zdolność rejestrowania i odczuwania,

a potem wyciągnął kartę z talii, i kazał rejestrować oraz
odczuwać to a to; mógł co innego, kart bowiem

ma bez liku, a nawet te jakies z rękawa, lecz ostatecznie

i tak każda okaże się czarnym pikowym asem, kartą śmier-
ci, taka sztuczka.

Droga wygarbiła. się nagle piaszczystym wzniesieniem, jak gdy-
by wprost ku przezierającej przez szary błękit słonecznej tar-
czy, a kiedy wszedł na szczyt, zobaczył zakole doliny z lustrem
wody; było tak, że wspinał się do słońca, które tymczasem

staczało się w jezioro, a zatem, osiągnąwszy wierzchołek, znalazł je u swoich stóp, rażące w oczy wielkie iskrzenie w dole,

i tam właśnie wypatrzył dach, kryty blachą, a przez to, we wspólnym odbłasku, zlewający się z wodą. Trawa była zroszona, śliska, więc schodząc, dla pewności stawiał stopy bokiem,

kiedy na dole, pod lśniąącym dachem, w sypialni pachnącej intensywnie świeżym drewnem ścian i mebli — większość zrobił sam, jak stary książę z *Wojny i pokoju* odkrył bowiem nagle urok pracy stolarza — inny, o wiele młodszy mężczyzna, czuwał przy swojej żonie. Z taką samą, nieporadną troską, z jaką Kozerski starał się nie pośliznąć, leżał przy niej,

w szerokim na cały pokój łożu, z którego był szczególnie dumny, opus magnum jego pracy, wykonanej tu przez maj, czerwiec, lipiec,

kiedy była w szpitalu, a on, dojeżdżając co dzień z tego odłudzia, zdawał relację z postępów; z rudery jakiejś leśniczówki, chaty rybackiej, może budynku dawnej przystani wodnej — powstawał dom, też nad jeziorem, jak ten, w którym spędzili swoją pierwszą noc, lecz tym razem — ich własny.

Co widzi pod powiekami ta dziewczyna, czujna w półśnie, odkąd brzask odbity od wody zajrzał w okna? Była w tyłu miejscach złych, odpychających; czy wie, gdzie jest i obok kogo się przebudzi — Anka? Drgnęła gwałtownie, gdy ściągnął pled, którym się otuliła, a potem znieruchomiała, kiedy położył się na jej nagości; mimo że chciał być delikatny, brał ją wbrew jej woli — zrozumiał po raz kolejny. Ze szklanymi oczami lalki czekała, aż skończy, po czym cicho poprosiła, by ją z powrotem okrył kocem.

W milczeniu paliła drugiego papierosa, gdy Kozerski zapukał do drzwi.

— Panie profesorze, gdybym wiedział, wyjechałbym po pana samochodem... Anka na pewno się ucieszy!

Ale nie nazwałby tego radością.

— Zostanę tu jeszcze miesiąc — powiedziała niepewnie, jakby prosząc o zgodę. — Potem spróbuję zacząć pracę doktorską. Do tego oczywiście muszę odstawić leki.

— Odstawisz leki?

Słyszał, jak Milewski za ścianą coś przybija; tak prawdopodobnie wygląda każdy ich dzień: on zajmuje się stolarką, ona leży i pali.

— Przecież nie jestem chora. — I nagle lekko się uśmiechnęła. — Pacjentka bezkrytyczna wobec objawów, brak poczucia choroby. Nieważne, Stefan. Bardziej martwię się ręką. Neurolog nie wróży temu dobrze. Widzisz, nie umiem w niej niczego utrzymać. — Zapalniczka wysunęła się z bezwładnych palców; ponowiła próbę, zdrową ręką zwierając je na zapalniczce; stało się to samo. — On odejdzie — powiedziała nagle, wskazując na ścianę, za którą stukał młotek. Robił półki; książki, które zabrali z domu, były upchane w kartonowych pudłach, a jeszcze dziś wieczorem ustawi je jak należy; ta na dole będzie Anki, ona może przecież tu pracować, nawet w zimie, kupi grzejniki olejowe, uszczelni ściany. — Jutro, pojutrze, odejdzie na pewno.

A ta wyżej na jego literaturę prawniczą, może warto wykorzystać czas i zrobić aplikację adwokacką?

— Czemu tak myślisz? — Kozerski patrzył, jak Anka bawi się paraliżem dłoni: unosi ją prawą ręką i obserwuje bezwładne opadanie.

— Nie myślę, wiem. Wyjdzie, gdy będę spała, zamknie drzwi na klucz, a potem poleje wszystko benzyną i podpali.

— Dalej jest Ptakonem?

Razem z książkami Anki znalazł w pudle gadżet, który przyniosła do domu w ich najgorszym dniu; obracała dziwaczne metalowe kulki, kiedy odczytywał ten jej list do matki, znęcał się, wszczepiał w nią własny ból; teraz pomyślał, że taki przyrząd może pomóc w rehabilitacji ręki, prosta manualna czynność, uruchomić, zatrzymać.

— Stefan! On, nawet kochając się ze mną, jest pełen nienawiści. Milczy, ale ja słyszę, jak jego ręce, lędźwie, uda nazywają mnie kurwą, napierają na mnie, chcą zgnieść jak robaka!

Staął w progu. Usłyszał? Kozerski nie mógł odgadnąć, bo ten człowiek nabrał już takiej wprawy w cierpieniu, że niewidoczne na twarzy; natomiast zmieniła się twarz Anki,

kiedy podszedł, i na jej kolanach owiniętych kocem postawił

zabawkę, jaką kupuje się dzieciom, chyba model układu słonecznego.

— Tu się nie będzie kręcić — powiedziała i zdrową ręką przestawiła na szeroką listwę u wezglowia.

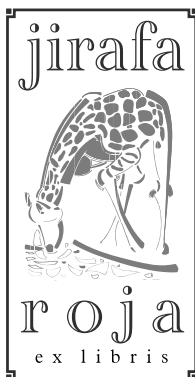
Milewski usiadł na łóżku; wprawił mechanizm w obrót,

i nagle, po raz pierwszy od stu przeklętych dni, tysięcy godzin okaleczonych nieobecnością Anki przy nim, poczuł w dłoni ciepło jej dotyku.

We troje śledzili ruch małych planet, a Kozerski wyobraził sobie, że ta miniatura również produkuje jakieś lata i dni, krótkie jak dla krasnoludków,

i pomyślał, że sam jest takim krasnoludkiem, któremu potrzeba bardzo niewiele czasu; rok, może dwa, tyle, żeby pomóc Ance,

a potem — on i czas obejdą się bez siebie.



ISBN 83-89143-64-X

Cena 29 zł